PO PROCHY GENERAŁA BEMA

JULJUSZ STANISŁAW HARBUT

PO PROCHY GENERAŁA BEMA

WRAŻENIA I ROZWAŻANIA Z PODRÓZY PRZEZ RUMUNJĘ, BUŁGARJĘ, TURCJĘ, PALESTYNĘ I SYRJĘ

Z 30 FOTOGRAFJAMI I ILUSTRACJAMI

WARSZAWA 1929

SKŁAD GŁÓWNY: KSIĄŻNICA-ATLAS

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGR. I WYDAWNICZE TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDNICH I WYŻSZYCH S. A.

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 59

ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE, POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA

W książce tej kreślę opis mej podróży z Warszawy do Aleppa na grób gen. Bema.

Rumunję, Bułgarję i Turcję europejską znam z przed lat kilkunastu, resztę zaś krajów poznałem dopiero poraz pierwszy. W opis ten wplatam i niektóre fragmenty podróży powrotnej, nie wspominając o tem w tekście (n. p. Adampol zwiedziłem w drodze powrotnej), by nie odrywać uwagi czytelnika od samego wątku, a z drugiej strony i celem utrzymania kierunku podróży, ciągłości miejsca i osnowy. Staram się bowiem wskazać, jak w chronologicznej a nawet historycznej ciągłości należałoby odbyć podobną podróż, by niczego godnego uwagi a nawet szacunku, w drodze nie uronić.

Uznałem zaś za wskazane przy tej sposobności poświęcić kilka kartek uwagi Palestynie i Syrji, krajom tak mało nam znanym, a które choć w części bodaj przy tej sposobności należy poznać; a prawdopodobną jest tradycja naszej emigracji, że gen. Bem nie przez Konstantynopol, lecz okrętem do Jaffy, a stamtąd drogą kołową do Aleppa podążył.

W Palestynie byłem w ciągu tej podróży aż dwukrotnie, raz w drodze do Aleppa, poraz drugi zaś w drodze powrotnej do kraju (przez Egipt i Grecję). Tak w jednę, jak i w drugą t. j. powrotną stronę jechałem autem, unikając jazdy koleją, której linja nieraz urywa się, a która zresztą nie pozwoliłaby mi na dojeżdżanie w dowolnym kierunku i na szczegółowe zwiedzenie wszystkiego. Zresztą z wagonu kolejowego oko nie chwyta całej perspektywy. Podróżując autem, siadałem najczęściej obok szofera, by być na przedzie wozu i nie zasłaniać sobie widoku. To samo radzę każdemu innemu podróżnikowi

Drogę powrotną z Aleppa do Jerozolimy wybrałem inną, nie tyle celem urozmaicenia podróży, ile celem poznania jednego

i drugiego kraju w całości, o ile możności w każdym omal ich zakątku; drogę powrotną zmieniłem również ze względu na bezpieczeństwo podróży. Z powrotem bowiem jechałem przez Antiochję prawie bez przerwy bitym gościńcem, wyłącznie wybrzeżem Morza Śródziemnego, pilnie strzeżonem przez posterunki wojskowe. W Syrji byłem cztery tygodnie, w tem w Aleppie trzy tygodnie. W Palestynie byłem za jednym i drugim razem łącznie czternaście dni.

Całą podróż odbyłem sam jeden; nie było to jakąś z mej strony odwagą, ile raczej niezdawaniem sobie sprawy z niebezpieczeństwa tej podróży. Jednak na rachunek rycerskości Arabów, którzy mnie w pustyni napadli, muszę policzyć fakt, że jakkolwiek znalazłem się naprzeciw ich rewolwerów i karabinów, żaden mnie z nich nie uderzył, ani nie trącił.

Fanatyzm Arabów religijny, a nawet narodowy, jest w Azji wielki, a przekroczenie niektórych miejsc uważają Arabowie za profanację ich religji. Dlatego opowiadania podróżników, że którykolwiek z nich był sam lub w towarzystwie innych, n. p. w takiej Mecce, bez specjalnej opieki swego państwa i nieodzownego w tym wypadku konwoju policji arabskiej i wrócił, są bajką. Każdy taki śmiałek został tam przez tłum ukamienowany lub przy pomocy trucizny sprzątnięty.

Nadto niebezpieczeństwo dla zdrowia czai się tu w złej wodzie i w niewinnym na pozór jadzie moskitów. Wypada przypomnieć smutny los, którego ofiarą padł profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr Sawicki, w podróży naukowej po Bułgarji. Prof. Sawicki i jego szofer nabawili się malarji, na którą obaj umarli.

Początkowo nie miałem zamiaru pisać tego rodzaju pamiętnika czy wspomnień podróży. W sprawozdaniach z moich czynności w Aleppie, złożonych na żądanie właściwych czynników, wystąpiłem z wnioskiem sprowadzenia zwłok gen. Bema po przeprowadzeniu poprzednio oględzin wnętrza grobu i ekshumacji szczątków, w dniu 26 maja 1929 roku, w rocznicę bitwy ostrołęckiej. Plan ten jednak nie dał się przeprowadzić, zaczem zaniosło się na odroczenie uroczystości na rok później od poprzednio wyznaczonej, a więc na październik 1929 r., zaczem dopiero teraz powstał we mnie zamiar, a wreszcie postanowienie, napisania tej książki. Z przyczyn jednak natury wyłącznie

politycznej w uznaniu tylko obecnej pory za dogodną dla sprawy sprowadzenia zwłok, postanowiono z początkiem maja 1929 r. przyśpieszyć uroczystość i wyznaczono ostateczny termin sprowadzenia zwłok na dzień 30 czerwca 1929 roku.

Tak więc termin opracowania i druku książki musiałem dostosować do niespodziewanie nowego terminu uroczystości.

(Wróciwszy z podróży w ostatnich dniach listopada 1928 r., pokłuty przez setki moskitów na całem ciele, w grudniu 1928 r. i w styczniu 1929 r. dwukrotnie zapadłszy na malarję, przywiezioną z Syrji, czy też z Turcji, nie byłem w stanie zabrać się do pracy.)

Czas zbyt krótki, bo zaledwie czterech miesięcy na zestawienie wszystkich szczegółów, gdy książka ta nie jest powieścią ani opowieścią, którą ostatecznie można napisać i wydrukować w tak krótkim czasie nawet w najdalszym i najbardziej zapadłym zakątku, odciętym od archiwów, pracowni naukowych i wszelkich ośrodków kulturalnych. Wszak nadomiar wszystkiego sam musiałem starać się o wszystko, co wchodzi w zakres wydawnictwa, porobiwszy w czasie mej podróży najciekawsze zdjęcia fotograficzne sam względnie przy pomocy miejscowych fotografów, których nawet brałem ze sobą na dalsze wycieczki; sam nawet musiałem zabiegać o terminowe wykonanie klisz cynkowych i t. d. Mimo to jednak przełamałem wszystkie trudności i zdołałem książkę tę jeszcze na czas oddać Wydawnictwu, nie będąc jednak już w stanie podać erratów i t. p.

I sama konstrukcja tej pracy nasunęła mi wiele trudności, z których wybrnąłem przez przypomnienie ideologji gen. Bema i podanie kilku nieznanych lub zapomnianych szczegółów historycznych i przedstawienie sprawy samego grobu Bohatera w osobnej książeczce, p. t. „Gen. Bem w Turcji“, która jest niejako drugą częścią czy tomikiem całej mej pracy.

Autor.

DZIAŁ PIERWSZY.

Z WARSZAWY DO JAFFY.

I.

Skromne skłoniły mię przyczyny do przedsięwzięcia tak dalekiej podróży do owej słonecznej krainy, Syrji.

Nie tyle chęć wzięcia udziału w prawie międzynarodowych uroczystościach przewieziena zwłok gen. Józefa Bema z Aleppa do kraju, ile chęć odszukania na podstawie archiwalnych źródeł, do których zdołałem dotrzeć, domu, który tam w Aleppo wystawił dla siebie gen. Bem, w którym mieszkał i życia dokonał, i chęć dotarcia do szczegółów, związanych z jego tam pobytem; nie zniechęciła mnie też relacja z Aleppa, że dom ten został w ubiegłem stuleciu rozebrany. Zachęciło mię i owo wspomnienie lat dziecięcych, gdy ongiś na tarnowskiej Strusinie wieczorami z rodzeństwem u kolan babki słuchałem opowiadań jej, świadka pierwszych dni powstania listopadowego na ulicach Warszawy, to znów, gdy dziad nasz, żołnierz tego powstania, nam wpatrzonym w niego i wsłuchanym, prawił szczegóły niejednej bitwy i niejedne o gen. Bemie, którego zwał dawnym „sąsiadem" z dworku na Burku, już może zapomniane opowiastki, to znów, gdy pochylony — dotąd jakby widzę jego zwisającą siwą czuprynę — nad również starym fortepianem, waląc kościstemi palcami w jego klawisze, podawał nam małym, którzy głowami sięgaliśmy zaledwie wysokości fortepianu, głośnym, wzruszonym basem: „Walecznych tysiąc". I wreszcie skłoniła mię owa w pierwszych dniach zbliżającej się kalendarzowej jesieni, na widok odlatującej części naszego przelotnego

ptactwa, zrodzona gdzieś w głębi serca, jakaś nieukojona tęsknota za wiosną i słońcem.... i ów jakiś nieprzeparty głos, nakaz wewnętrzny, który z chwilą przystąpienia Komitetu sprowadzenia zwłok gen. Bema do realizacji programu, wprost jak gdyby prowadził mię w tę drogę.

Gdy delegacja, mająca przywieźć w ściśle oznaczonym dniu szczątki gen. Bema do kraju, miała ruszyć w drogę dnia 18 września 1928 r., ja wybrałem się wcześniej, bo wyznaczony przez Komitet czas coś zaledwie trzech dni na pobyt w Aleppo, raczej konieczny tylko dla wypoczynku po tak długiej i męczącej podróży i dla załatwienia dyplomatycznych, uroczystościowych i transportowych formalności, okazał się dla mnie osobiście za krótkim.

Dla mnie podróż po zwłoki gen. Bema była czemś więcej, niż zwykłą urzędową wyprawą. Ona była dla mnie na pierwszem miejscu pielgrzymką na ów zapomniany, nieznany bliżej grób żołnierza-tułacza. Wspomnienie czasów naszej emigracji, jakaś dziwna zaduma zrodziła gdzieś w głębi duszy potrzebę chwili skupienia, tak niemającej nic wspólnego z gwarem uroczystości. Skupienia tego w samotności tam, choćby na jeden dzień, pragnąłem i szukałem.

I nie zraziły mnie same piętrzące się przedemną trudności, może jeszcze niedawno nieznane, gdy prawie jedynym paszportem, dowodem osobistym był bilet kolejowy... Wszystkie one były dla mnie drobnostką i wszystkie je, począwszy od szablonów a skończywszy na czasie i przestrzeni, przełamałem.

A więc nie z wrodzonej mi ciekawości lub niewrodzonej niecierpliwości, lecz jako wolontarjusz, patrol czy przednia straż delegacji, ruszyłem pierwszy w tę daleką podróż. Gdy delegacja miała wybrać się na miejsce drogą najkrótszą przez Małą Azję, ja właśnie wybrałem drogę dalszą, dłuższą, bo przez Ziemię Świętą, by z Jerozolimy, a więc z pod mandatu angielskiego, pojechać z tamtejszym generalnym konsulem Rzeczypospolitej, uczynnym dla mnie i delegacji, p. Tytusem Zbyszewskim do Aleppa, znajdującego się pod mandatem francuskim. Bo jakże być w Syrji, a nie wstąpić do Palestyny, która przecież już w starożytności była geograficzną, nominalną, a nieraz i polityczną częścią samej Syrji? To samo, co być

w Rzymie, a nie widzieć papieża. Postanowiłem zatem lepiej przygotowanym i uroczyściej, jak prawdziwy pielgrzym, wjechać do Aleppa, tem więcej, że Bem wedle opowiadań emigracji miał w r. 1850 zwiedzić Jaffę i Jerozolimę.

Nie sądź jednak czytelniku, że zaraz na wstępie roztoczę przed tobą barwny obraz tej niewielu nam znanej, starożytnej, tak pięknej i pełnej słońca Syrji; nie sądź również, że na wstępie pokażę ci Aleppo, to ciekawe miasto i że za rękę poprowadzę cię na grób bohatera i jego niezwykłe losy ci opowiem.

Zanim to choć w części uczynię, zanim rzucę ci garść kwiatów z cudzej grzędy lub kilka ciekawych szczegółów, utrudzę cię nieco choć cząstką mego własnego trudu, podzielę się wrażeniami wstępnych, tak ciekawych etapów tej dalekiej podróży, pozostających nietylko w związku ze samą sprawą Bema, ale i z naszą przeszłością lub też z obecną współczesnością.

Wszak droga ta prowadzi szlakami naszej własnej historji i naszej emigracji.

Wytknąwszy pielgrzymi cykl z Warszawy, dnia 4 września 1928 r., drogą przez delegację wytkniętą, więc przez Kraków i Lwów, uzbrojony od stóp do głów, w stosowane jakby do syryjskich piasków, najlżejszego typu, białe irchowe buciki, takiż biały, odporny na prawie podzwrotnikowy żar słońca, płócienny ubiór, w wygrzebany gdzieś z pomiędzy zapomnianych rupieci angielski, szary korkowy hełm, zbrojny w aparat fotograficzny, plecak, dzierżąc w jednej ręce podróżne juki, w drugiej stary elementarz arabski, zakupiony w Warszawie na Świętokrzyskiej, niczem Ossendowski lub Stanley, wyruszyłem w podróż daleką.

W Krakowie żegnał mię rzewnie przy ruszeniu pociągu w dalszą drogę, hejnał z wieży Marjackiej, odprowadzając wśród wieczornej ciszy aż na drugi brzeg Wisły. W moim, naszym drogim, kochanym Lwowie złożyłem na cmentarzu łyczakowskim na grobie Orląt Lwowskich część ofiarowanych mi na odjezdnem przez znajomych w Warszawie i Krakowie, kwiatów. Przejazd wypadł przez ziemię największych w naszej przeszłości zwycięstw nad znakiem półksiężyca i niepowodzeń, przez ziemię, która przez kilka wieków była pobojowiskiem, wydeptanem przez wyznawców Koranu, którzy w czasie naszej złotej wolności byli nam wrażymi najeźdźcami, wrogami, a później w nie-

woli, najwięcej współczującymi sojusznikami, sprzymierzeńcami, nieuznającymi nigdy rozbioru Polski.

Przez linję historycznych Brzeżan, nietylko tych Sieniawskich i Beniowskiego Brzeżan, ale tych, które w ciągu tego dziesięciolecia dały wojsku polskiemu przeszło 500 oficerów, tych dzisiejszych kresowych Mohortów, wśród nich Rydza Śmigłego, przez linję ruin halickiego zamku, wieżyc Kołomyji, pamiętającej hołd hospodarów wołoskich dla Rzeczypospolitej, okopów Obertyna, w dolinę starożytnego Tyrasu, nad którego brzegami i porohami, otoczone nimbem najcudniejszej z legend, dotąd błąkają się dalekie echa przepowiedni Wernyhory: „Gdy Turczyn konia w Dniestrze napoi...“ Podobno dyplomacja państw centralnych już z początkiem wojny światowej znając tekst tej przepowiedni, rozmyślnie, ad hoc wyrafinowanie dla historycznej demonstracji postarała się o przydział w okolice Dniestru oddziału sprzymierzonego wojska tureckiego...

Droga prowadzi etapami Sienkiewiczowskiej epopeji, szlakami Skrzetuskiego, pana Wołodyjowskiego, Bohuna przez nasze sławne, dawne grodziszcza, przez kraj błogosławiony najżyźniejszemi polami i łąkami, mlekiem i miodem, a ileż razy krwią serdeczną i łzami płynący, który w historji naszej i literaturze zajął jedno z najpoczesniejszych miejsc.

Szumią o tem mogiły przytulonemi do nich oczeretami, jakby ponosząc gwar pancernej chorągwi i szum skrzydeł husarji, przydrożne kurhany, mówiąc opowieść tatarskich i tureckich koszów i zagonów, szeptają dumę o niejednym kresowym hetmanie, to znów dumkę kozacką mołojców lub legendę szwedzkich rajtarów i żołnierzy Rakoczego.

„Znaszli ten kraj?“, ciśnie się na pożegnanie i cisnąć powinno pytanie pod adresem każdego wybierającego się w podróż zagraniczną, brzmiąc nutą „Pieśni o Ziemi naszej“.

Wreszcie widok hucułek na koniu, to znów z dzbanem na głowie lub ramieniu, przypomina mi, że zbliżam się w strony Rzeczypospolitej, tchnące południem.

Zostawiam na prawo szczyty Czernohory, pasziste połoniny, największe w kraju lasy, których nikt tu nie siał, chyba wiatr i ptaki, na lewo zostawiam zdala wierhami i mgłą przesłonięte okopy św. Trójcy, dawne nasze baszty fortec Kamieńca Podolskiego i wzgórza chocimskiego, dwukrotnego pobojowiska.

Żegnam nasze wśród żółknącej już zieleni sady rumiane, ostatnie białe nasze chaty, otoczone festonami szmaragdowego pnącza i bluszczu, przystrojone w malwy i słoneczniki, których tarcze, niby twarze, zwracają się w kierunku mojej podróży i zdają się i one nawzajem mnie żegnać. W zapadającym już zmroku fioletnieją wzgórza i lasy. Już drzemiąc, prawie przez sen słyszę wywoływaną nazwę stacji: Śniatyn-Załucze.

Tak, to już ostatnie rubieże Jej, Najjaśniejszej.

II.

Przez Rumunję.

Ze snu nad ranem zbudziły mię wołania: „Struguri, struguri!" Wjechałem już w granice Rumunji, ściślej Bukowiny, przyjmującej nasz pociąg strugurami, tj. winogronami. Już pierwsza rumuńska, ściślej bukowińska stacja Grigore Ghica Woda, nazwą swą przypomina naszą etymologiczną z Bukowiną łączność.

Już z tego względu Bukowina, a Rumunja ze względu na dawną z Rzecząpospolitą łączność, a obecnie przymierze, zasługują na kilka słów wzmianki i uwagi.

Polacy stanowią tutaj silny odsetek napływowy już od czasów Kazimierza Wielkiego, a w krótkim czasie potem historja zapisuje Bukowinę jako „Kresy Jagiellońskie". Istnieją tu nawet czysto polskie wsie: Pojana, Mikuli, Nowy Sołoniec, Dunawiec, Laurenka, Ruda, Stara Huta, Paltinos, Tereblestie, Bułaje itd., które przed wojną miały swój własny polski urząd gminny z wójtami Polakami na czele. Górale tutejsi noszą się jak w Nowotarszczyźnie i mówią gwarą podhalańską. W miastach dużo Polaków, a ich uświadomienie społeczne wielkie. Bukowina bowiem dała swego czasu kilku posłów Polaków na ówczesny bukowiński Sejm. Blisko 100.000 Polaków na ogólną liczbę mieszkańców 1.000.000, a w tem 300.000 Rumunów, to pokaźny odsetek. Czerniowce, rumuńskie Cernauti, miały przed wojną wielki zastęp inteligencji polskiej, gimnazjum polskie, Bank Polski, polskie sklepy i zakłady przemysłowe; tu wychodziła „Gazeta Polska". Kilkadziesiąt „Domów Polskich", czytelń, „Gwiazd" „Sokołów", nie mówiąc już o kościołach, to placówki narodowe, dzisiaj w największej części przez Rumunów zwinięte. Dzisiaj chyba największa pora o tem Rumunom przy-

pomnieć. Dojeżdżam w stronę najsilniejszej średniowiecznej fortecy wołoskiej, Suczawy. Kilka wspomnień historycznych ciśnie się wprost tu pod jej murami, opowiadającemi nam o niespełnionych Jagiellonów snach, o wpólnym z Wołoszą pochodzie do Carogrodu, zatraceniu połowy rycerstwa Olbrachtowego w bukowińskich lasach. Jakimś doprawdy cudem ocalały z tej wyprawy działa, ulane w pierwszej polskiej ludwisarni Hansa Behema vel Bema pod „Kurzą Stopką" i wróciły do lwowskiego cekauzu. Artylerja ta składała się z olbrzymich oblężniczych, lanych przez Bema, dział: „Dziad" i „Baba", pod których pierwsze zaprzęgano 50, a pod drugie 40 koni, a nadto składała się z taraśnic, haubic i szrubic, również przez tegoż samego Bema lanych. Wspomina o nich niejaki Dobiesław ze Lwowa w współczesnej kronikarskiej notatce.

Nie wiem, czy ów Behem sive Bem, najznakomitszy, europejskiej sławy ludwisarz Jana Olbrachta i Zygmunta Starego, a brat sławnego norymberskiego odlewacza Sebalda Bema, sam odlewca dzwonu Zygmuntowskiego, był spokrewniony z arystokratyczną rodziną von Boemdorf Bemów, a więc i naszego gen. Bema. Prawdopodobnie nie, gdyż nic nie wspomina o tem tablica genealogiczna w książce Włodz. hr. Bema.

W południe mijam i żegnam ciągnące się na prawo siedmiogrodzkie Karpaty, prastarą Batorych, Bemów ojczyznę, wjeżdżam w niziny i żyzne pola rumuńskie, przeważnie kukurudziane, bo chłop rumuński zastępuje chleb przeważnie kukurudzą.

Mijam stację Peris, blisko Tergowisti, gdzie ma swą willę Dr Lucjan Scoupiewski recte Skupiewski, bo chyba jeszcze nie zrumuniał, ceniony jako człowiek i jako jeden z najlepszych w Rumunji lekarzy. W Bukareszcie mieszka i ordynuje przy ul. strada Luminei nr. 17. On to niedawno gościł przez kilka tygodni w swym domu osobistego przyjaciela marszałka Piłsudskiego, bawiącego w Rumunji w charakterze prywatnym. Mimo to jednak marszałek nie uniknął licznych nieoficjalnych i nawet oficjalnych owacji ze strony ludności i władz rumuńskich, podejmowany nawet przez regentów, króla, księżnę matkę, a grecką księżniczkę Helenę i królowę wdowę, Marję. Sprawa sprowadzenia zwłok gen. Bema okazała się najwidoczniej międzynarodową, bo jej temat znalazł się na porządku dziennym nietylko

rozmowy, ale poważnych roważań marszałka i regentów, którzy wraz z królem wyrażali gorące życzenie przewiezienia zwłok gen. Bema nietylko przez Węgry i Budapeszt, ale i przez Rumunję i Bukareszt, komplikując w ten sposób sprawę.

Prawdziwą okazałością Bukaresztu, nienotowaną przez Baedeckera, jest wspaniały gmach kasyna wojskowego „Cercul Militare", przed którego frontem wznosi się może największy w świecie taras kawiarniany z „Cafe Restarant Piccadilly", tak wspaniały, że mu nawet żadna z oryginalnych londyńskich kawiarń na Piccadilly, nie dorównuje.

Tu podają mi herbatę „ceai", w wymowie „czaj", tak jak nawet nie podają nietylko w Warszawie, ale w samej nawet Moskwie: Na cynkowej tacy czajnik z gorącą wodą i szklanka z sitkiem na wierzchu, wyłożonem świeżemi liśćmi prawdziwej chińskiej herbaty. Sam więc zaparzam herbatę i piję.

Na uwagę zasługuje w Bukareszcie, podobnie jak i w Gałaczu strada Polona (ulica Polska).

Rumunja i Bukareszt to przejście południowego wschodu na zachód, połowiczność, mięszanina jednego i drugiego. Leży to już w samej tu przyrodzie. Zima ostra, lato upalne. Zatem i flora na rozdrożu, a za nią ludzie, etnografja, styl w budownictwie cerkiewnem ni bizantyński, ni romański. Naród etnicznie romański, mówiący językiem romańskim, a wyznania prawosławnego. Nawet dorożkarze w swych długich, czarnych rubaszkach przypominają Rosję, a co dopiero, gdy na zapytanie odpowiadają wprost z russka: „Da, da".

Również na peryferjach stolicy, prawie tak wielkiej i prawie tak pięknej jak Warszawa, ciężko wlekące się tramwaje konne, swoim archaizmem strasznie kontrastują z elektrycznym tramwajem w śródmieściu.

Wieczór spędziłem w teatrze na popisie sławnego chóru rumuńskiego Cantarea Romaniei, zapowiadającego wkrótce odwiedziny Polski.

Rumunją winny nasze ciała dyplomatyczne zainteresować się nietylko na polu politycznem i kulturalnem, na którem wywieramy nawet pewien wpływ na Rumunów, ale i na polu gospodarczem. Ekspansja polityczna łączy się bowiem ściśle z ekspansją gospodarczą.

Jak w Czerniowcach, siedzibie polskiego konsula, istnieje towarzystwo „Amicii Poloniei“, tak w Bukareszcie istnieje Liga polsko-rumuńska pod prezesurą prof. Dr Dębickiego. Na kulturalny kontakt obu narodów dobrze wpływają wykłady prof. Rogali i doc. Dra Górki, propagujące wspólne interesy i idee. Żałuję, że nie starczyło mi czasu na odwiedzenie Dra Jana Żalpłachty, znanego ze swych obszernych korespondencji na łamach „Kurjera Warszawskiego“.

Z polskich instytucji działają w Bukareszcie: „Koło Polskie“ i „Polskie Towarzystwo Dobroczynności“.

* * *

Nie wiem, czy Rumunja nad brzegiem krateru bałkańskiego, przechodząca tyle wstrząśnień wewnętrznych, jest dzisiaj krajem szczęśliwym, ale zapewne jej władca, noszący koronę królewską, Michał, Michai I, jest chyba najszczęśliwszym w świecie z pośród panujących. Najszczęśliwszym, bo niezdającym sobie sprawy z powagi spraw i położenia, oczywiście z tytułu swego dziecięcego wieku, jest właśnie ów niespełna ośmioletni król, a raczej królątko. Jedyny to monarcha, który może robić to, co mu się żywnie we własnym zakresie podoba. Przebywa właśnie w tych dniach w Bukareszcie, w królewskim pałacu po powrocie z wakacyj w Sinaia, skąd jednak podobno przybył tylko na kilka dni do stolicy, jak tu opowiadają, na zakupno nowych zabawek, które sobie sam osobiście z wystawy sklepowej ma wybrać wedle własnego oryginalnego upodobania. A więc mimo wszystko już dzieckiem usamodzielnia swoje zdanie. Oby dobry znak na przyszłość. Nad wszystkie zabawy przenosi nietylko kamyki budowlane Richtera i blaszane figury żołnierzy, ale i zabawę w prawdziwych żołnierzy. Sam król-dziecko przebywa stale w otoczeniu dwóch starszych adjutantów, żywych i prawdziwych nie z blachy, kamerdynera i guwernantki Angielki. Podobno chętnie uczy się, a kurs czytania i pisania odbył znakomicie i szybko, tak dalece, że nawet umie się już ładnie, oczywiście tylko na zeszycie, czy tabliczce, podpisać. Obecnie zatapia się w tajniki tabliczki mnożenia i dzielenia. Szkoła królewska ad hoc zorganizowana. Król zasiada do nauki nie sam, ale wspólnie z kilkoma rówieśnikami, reprezentującymi dziecięce pokolenie każdej prowincji, każdej narodowości, zamieszkującej Rumunję. A więc jak widzimy, w organizacji królewskiej szkoły

spoczywa głęboka myśl wychowawcza, polityczna regentów państwa, zaprzyjaźnionego i sprzymierzonego z Polską, które to przymierze ma być rękojmią trwałego pokoju na Wschodzie Europy.

Nad oficjalne swoje ceremonjałem dworskim przepisane otoczenie, król przenosi zabawę niefrasobliwą ze swoimi rówieśnikami, dostojnymi synkami dostojnych dworzan w „zbójców i żandarmów", to znów w prawdziwych żołnierzy. Zresztą najlepiej czuje się na kolanach swej matki, księżnej i babki, byłej królowej.

Dzięki zapoznaniu się w drodze z jednym z bukareszteńskich literatów i dalszym zabiegom, udało mi się w sam dzień mego przyjazdu w porannej porze, dostawszy się do t. zw. „domu bojarów", od strony parku podpatrzeć jego i jego nieletnich podwładnych zabawę w żołnierzy. Na czele szeregu kilkunastu takich chłopaków stanął piękny, jasny blondynek w marynarskiem ubraniu, o czuprynie dużej, opadającej na czoło, na koniu, i to prawdziwym koniu, bo na własnym kucyku, krzycząc komendę Atentiune! (Baczność!) ...Inainte marsz! (Naprzód marsz!) Stai! (Stój!) i wywijając tępą szabelką.

Jednak w największym staje kłopocie, gdy wierzchowiec kucyk, podobno muł, zamiast stanąć dęba, wierzga tylnemi nogami. Wtedy nieodstępny adjutant zsadza króla, podnosząc go obu rękami do góry, a król zapominając na chwilę o swym wojennym animuszu, tuli się czule do swego towarzysza, do kucyka i obejmuje go swemi królewskiemi rączętami, raczy go cukrem, który zresztą wściubski kucyk sam sobie wyszukuje w kieszeni swego małego pana, niemiłosiernie termosząc połami jego bluzy. Dopada drugi przyjaciel, olbrzymi, może zazdrosny budrys, staje na tylne łapy, a przedniemi opierając się na ramionach króla, niejako obejmuje go we własne.

Wtem zabawa się urywa. Oto zbliżają się burgrabia i dowódca pałacu. Sztangret zajeżdża wózkiem, zaprzężonym w dwa kucyki, adjutant i oficer pałacowy stają przed królem na baczność, salutując i meldują czas, o którym król winien udać się na lekcję „teorji"; burgrabia w czarnym żakiecie z cylindrem w ręku, delikatnie rozłącza króla z jego dotychczasowem towarzystwem, król biegnie jeszcze na taras, by z księżną matką i królową babką wymienić ostatniego całusa. Matka wiedzie

rozmiłowanem spojrzeniem za swem dzieckiem. Król żegna się nawet ze swym wierzchowcem i psem.

U bram pałacu rozlega się okrzyk warty, na który z pobliskich koszar wypada już cała kompanja warty honorowej, dobosze uderzają w bębny. Oddział wyprostowany jak mur, prezentuje broń. Sprzymierzony z nami król w towarzystwie adjutantów i dowódcy pałacowego dokonuje przeglądu i sprawdza równanie w pierwszym i drugim szeregu, poczem uradowany ściska wyprostowanemu jak struna, prezentującemu broń oficerowi, nieruchomie przylegającą do biodra rękę. Widocznie jest w dobrej komitywie ze swoją wartą.

W królu odzwierciedla się triumf, energja i dostojność wojskowej władzy. Dobosze milkną. Uroczysta cisza.

Wreszcie król wsiada w towarzystwie adjutantów na wózek, sam chwyta za lejce, ręką przesyła matce jeszcze ostatniego od ust całusa i wyjeżdża. Służba otwiera bramy dziedzińca. Za wózkiem lokaj na koniu i lokajczyk na kucyku.

Tymczasem od strony Calea Victoriei na wiadomość, że król jest w stolicy, zebrały się grupki publiczności, wykrzykując: Vivat! Traiasca Regele! Niech żyje król!

Zebrany przed pałacem królewskim tłum publiczności wezbrał, przeważnie starszemi paniami (prawdopodobnie również matkami), które na widok ślicznego dziecka-króla wprost miejsca sobie znaleźć nie mogą. Kobiety powiewają chusteczkami, mężczyźni wznoszą w górę kapelusze. Kobiety pierwsze intonują, a za niemi cały tłum podchwytuje i nuci narodowy hymn rumuński:

Traiasca Regele	(Niech żyje Król
In pace si onor	W pokoju i honorze,
De tara iubitor	Przez kraj kochany
S'aparator de tara!	I obrońca kraju!)

I znów dobosze uderzają w bębny, warta prezentuje broń, władca Rumunji, Michał I, wyjeżdża na lekcję.

I już daleko od pałacu skręcał królewski pojazd, gdy warczał jeszcze bęben warty pałacowej.

Cóż dopiero musi się tu dziać, gdy Jego Królewska Mość zasiędzie na tronie... Bardzo żałuję, że najmłodszego z władców świata nie mogłem oglądać na tronie.

III.

Przez Morze Czarne.

Pociąg express niesie mię obecnie przez okolicę już nietylko nie żyzną jak dotąd, ale chyba najbiedniejszą część kraju, przez nadmorską część Dobrudży, krainę zupełnie spaloną żarem słońca. Tu ukazują się typowe wiejskie nadczarnomorskie nie domki, ale lepianki z gliny, na których sterczą drewniane kominy, nieraz zwykłe beczki bez dna; aż oko i myśl zżyma się na podobny widok. Strzechy kryte słomą kukurudzianą, na których nieraz więcej kurzu i błota, niż słomy, niektóre wprost jakby z gliny lepione, a więc przeciwstawienie dotąd widzianego dobrobytu chłopa rumuńskiego.

W cztery godziny przez bardzo tu szeroki Dunaj, 2 kilometrowej długości most i port w Czernawoda, staję w Konstancy. Konstanca to starożytne Tomi, gród Owidjusza, a raczej miejsce jego wygnania.

Na środku miasta wznosi się jego pomnik z bronzu. Do roku 1878 pod panowaniem Turcji, miasto zwało się poprzednio z turecka: „Küstendże". Starorzymskie na „Wałach Trajana" zwaliska mówią o świetnej niegdyś przeszłości miasta. Port duży. Zdaleka z pośrodku roju okrętów poznaję mój okręt po trójkolorze republiki francuskiej i po stadzie krążących mew.

Jestto niechybny dla każdego zdaleka znak, że dany okręt wkrótce ruszy. Poznają to mewy po wzmożonym ruchu i przygotowaniach na okręcie, z którym razem gotują się do opuszczenia lądu. Imię okrętu, któremu powierzyłem losy mojej podróży, „Alesia". Jest on własnością przedsiębiorstwa francuskiego. Przy sąsiednim okręcie scena dantejska: Okręt ten ma odjechać w stronę Odessy. Kilku podróżnych przybywszy z zakupionemi w Pradze biletami, dopiero tu na miejscu dowie-

działo się, że mimo zamówionego w Pradze biletu, na okręcie już niema miejsca i że zatem będą zmuszeni czekać tydzień na drugi okręt. Rozpacz, zwłaszcza krzyk i płacz kilku kobiet z dziećmi u piersi dopełnia miary, niema granic, nie znajduje też żadnego posłuchu. Z trwogą biegnę na mój okręt, przed którym wyczekuje tysięczny tłum podróżnych, dowiaduję się, że i tu kilku osobom odmówiono wejścia na okręt z powodu braku miejsca, lecz na moje szczęście i ku mej radości dowiaduję się, że miejsce dla mnie przygotowane, że ktoś z Warszawy telefonicznie czy telegraficznie prosił o miejsce dla mnie i opiekę nademną. Kto to uczynił, nie potrafię na razie określić, sam kapitan nie umiał tego wyjaśnić. Poddaję się oględzinom lekarza okrętowego, który zezwala na przyjęcie mnie na okręt.

Przybywam na pokład mego okrętu kwadrans przed wyjazdem, jednak za karę nie otrzymuję obiadu, który już na pokładzie dawno spożyto. „Tarde venientibus ossa", powiedział jakby w porę Owidjusz, czy też któryś z jego kolegów po piórze. Głodny, ale zato na wstępie syt wrażeń po dokładnem zwiedzeniu małej Konstancy, napawam się widokiem okrętu największego i najokazalszego z pośród tych, któremi kiedykolwiek jeździłem. Kapitan okrętu, szpakowaty mężczyzna, o twarzy opalonej, wysuszonej od wiatrów, sam o wyglądzie suszonej ryby, czynny, ruchliwy jak rekin, a o spojrzeniu wilka morskiego (oby mi przy najbliższem kiedy spotkaniu wybaczył to porównanie), przebiega co chwilę okręt od jego przodu do steru, to wpada do oddziału maszyn, to znów przez tubę wydaje rozkazy załodze. — Iście nowoczesny Nereusz, bożek morski. Odzywa się warkot maszyn, śruby okrętowej, słychać wrzenie kotła; marynarze jak najlepsi ekwilibrzyści spinają się po linach, przerzucając je następnie z hałasem, przesuwają ze zgrzytem łańcuchy, dźwigi żelazne, ładują resztę ogromnej masy desek i setki worów mąki, przeznaczonej z Polski i Rumunji dla Palestyny. Wreszcie załoga podnosi kotwicę. Okręt odbija od brzegu, ląd usuwa się nam z pod stóp, ruszamy w daleką podróż. Za okrętem lecą mewy.

Na okręcie rygor jak w pensjonacie. Istnieje pierwsza i trzecia klasa; drugiej brak.

Urządzenie pierwszorzędne. Otrzymuję osobną kabinę. Ze względu na większość podróżnych amerykańskich, bo okręt ten, gigant Atlantyku, wyjechał z Nowego Jorku, „table d'hote“ głosi w języku angielskim: breakfast h. 7, lunch h. 12, dinner h. 7. Oprócz tego podają drugie śniadanie i podwieczorek; wina i owoców południowych w bród; kuchnia najlepsza, bo francuska. Kucharze to sami murzyni. Okręt mieści około tysiąca podróżnych. Pod pokładem 3-cia klasa, cały labirynt kurytarzy, nieraz długości i 100 metrów, niby ulice, labirynt kurytarzyków i kabin.

To też mieszkańcy tego jakby pływającego miasta z trudem wydostają się na pokład i z trudem odszukują swe kabiny. Stąd różne qui pro quo, zwłaszcza późno w nocy, gdy nieraz spóźniony podróżny zabłądzi do cudzej kabiny; takież samo qui pro quo z powodu różnorodności języków. Wszak to wieża Babel. Jadą omal wszystkich narodowości przedstawiciele.

Rano rozmawia się ze sąsiadem w kabinie po niemiecku, przy śniadaniu zagaduje go przez pomyłkę po francusku, a przy obiedzie znów innym językiem i nim w rozmowie dojdzie się do właściwego języka interlokutorów, musi się dobrze nałamać języka.

W skład pasażerów wchodzą przeważnie więksi i mniejsi kupcy lub kapitaliści, nieco artystów i artystek z nowem engagement i kilkudziesięciu inteligentów amerykańskich, angielskich i francuskich, odbywających podróż po Europie i wybrzeżach sąsiednich części świata. Tematem rozmowy przeważnie jest bieg interesów i konjunktur handlowych i kurs waluty; kilku zaledwie nauczycieli czy profesorów i oficerów w cywilnych ubraniach studjuje pilnie Baedeckera. Z zabaw wiodą prym gra w bilard, w szachy, karty i gra na fortepianie.

We dwie godziny wpływamy na wody bułgarskie. Zdaleka ukazują się sine kontury wojennego portu. To Warna.

IV.

Na pobojowisku Warny.

Mimowoli cisną się historyczne reminiscencje. Kilku wtajemniczonych w dzieje powszechne podróżnych pokazuje zdala rozciągające się za miastem dawne historyczne pobojowisko.

Kontury pola i wzgórz widoczne tylko przez lupę. Tak, cisną się wspomnienia o młodocianym 20-letnim krzyżowcu Władysławie III i jego rycerstwie. Oko mimowoli szuka wspólnej ich tutaj mogiły. Wspomnienia nigdy niezapomnianego i nieodżałowanego Warneńczyka, nieodżałowanej ofiary lekkomyślnej, frymarczanej krwią polską, dyplomacji Cesariniego i niesłowności cesarza greckiego.

I zda mi się chwilą, że zdala widzę dokładnie na wysokim słupie przygwożdżony przez Murada dokument szegedyńskiej, na ewangielję zaprzysiężonej ugody.

Trudno, bym przy tak rzadkiej sposobności nie zatrzymał mej i czytelnika uwagi na może częścią zapomnianem pobojowisku Warny.

Ciągnie się ono na zachód od Warny w odległości przeszło 4 km. od wybrzeża morskiego, między jeziorem dewneńskiem (Ezero Gebedże) a północnem pasmem wzgórz. Zrazu gościńcem, potem przez wonne pola różane, bo Bułgarja wprost słynie z uprawy róż całemi ogrodami i polami i ona dostarcza światu całego kontyngentu najlepszych ogrodników, dojechawszy do 4-go klm. do karczmy (chan), zwanej Czetryk lub też Czatyrłyk, skręcam auto drogą polną na prawo w stronę widniejących tu już zbliska dwóch pagórków, czyniących wrażenie mogił. Są to jednak zwykłe pagórki, które istniały jeszcze przed historyczną bitwą. Oba odegrały rolę najważniejszych punktów

obserwacyjnych i taktycznych, nieme dziś świadki tej wielkiej bitwy.

Na pierwszym pagórku w czasie bitwy stał sam sułtan Murad vel Amurat, kierujący bitwą, na drugim zięć jego Karadża Bej. Wojsko chrześcijańskie, w skład którego wchodzili Polacy, Węgrzy, Serbowie, Czesi, Wołosi, Albańczycy, stało od strony Warny, wojska tureckie zaś na zachód od obu pagórków, a nadto lewe ich skrzydło zajęło część północnego wzgórza.

Sprawa zawodu ze strony Jana Hunyady'ego i koleje bitwy znane. Wstępuję na pierwszy, większy i wyższy pagórek; na nim znajduję duży, szary granitowy czworokątny kamień, wysokości około 2 m., grubości ca 1 m., a na jego wschodniej ścianie niezwykle trudny do odczytania napis, trudny, bo ryty w szarym granicie bułgarskim; litery nie odznaczają się od tła.

Napis w języku łacińskim: Ladislaus Varnensis.

Pod napisem właściwy tekst wyłącznie w języku bułgarskim, odczytany przy pomocy szofera Bułgara mówi: „Wladislaw Jagielloński, polski i ungarski kral tuk zagina na deseti noemwri 1444 zaedno ses christianskoto ricerstwo za werata i za swobodata na Bełgaria" (Władysław Jagielloński, polski i węgierski król, poległ tu dnia dziesiątego listopada 1444 roku wraz ze swem chrześcijańskiem rycerstwem za wiarę i wolność Bułgarji).

U dołu data postawienia pomnika: 10. XI. 1924 r.

Pomnik ten ufundowany przeważnie ze składek polskich, na miejscu przedtem w r. 1856 postawionego przez Polaków z dywizji gen. Zamoyskiego pomnika, w tajemniczy sposób złośliwie w tym samym roku, jednej nocy usuniętego.

Obecny napis prawie nieczytelny, domaga się stanowczo zastąpienia go nowym napisem, wyraźnym, czytelnym.

Grób Warneńczyka dotąd nieodszukany i trudny już do odszukania.

Mieści się najprawdopodobniej między gościńcem a pierwszym pagórkiem, bo tu wrzała najgorętsza pierwsza i druga część bitwy, jedna zwycięska, druga fatalna: tu było właściwe „pole srażenia", tu młody Władysław w upojeniu początkowego powodzenia z junackim bojowym okrzykiem, z mieczem obnażonym, w górę wzniesionym na sułtana, swego konia



Nagrobek Wł. Warneńczyka pod Warną.
Po prawej stronie pomnika konsul polski Maurycy Rogalski (oparty o laskę).

cwałem skierował. I tu tylko na tem polu, janczar Chyzr powaliwszy najpierw cięciem topora konia królewskiego, królowi „bez pardonu głowę usiekł".

Tu na zaoranem polu, w bolesnej zadumie usunęły mi się na ziemię oba kolana i na oba ukląkłszy na głos zmówiłem: „Wieczne odpoczywanie", a za mną ukląkł również na oba kolana wzruszony szofer Bułgar, na głos wypowiedziawszy słowa ojczystej modlitwy, trzy razy znakiem krzyża się przeżegnał i wschodnim zwyczajem głową o samą ziemię trzy razy skłonił.

Tak, bo tu w tem miejscu lub w bezpośredniej jego bliskości poległ nieszczęśliwy, bohaterski król.

Czy jednak w tem samem miejscu mieści się jego grób?

Jak miejsce jego śmierci, na którem w największem skupieniu stałem, uważam za pewne, względnie bliskie, tak miejsce jego grobu uważam tu za możliwe, lecz niepewne.

Trupa jego było łatwiej dawniej odszukać, bo tu był to jedyny trup bez głowy. Turcy bowiem przy podobnej okazji ucinali swym zwyczajem głowę tylko dowódcy przeciwnego wojska, obnosząc ją na lancy po obozie. Głowę zaś króla Władysława wysłali po bitwie do Brussy. Czy i gdzie głowa (czaszka) się znajduje, trudno dziś ustalić; w każdym razie nie była ona w poszanowaniu u Turków z powodu złamania przysięgi przez króla.

Wprawdzie przekopanie całego pola bitwy naprowadziłoby nas na istnienie na jego miejscu całego cmentarzyska i kości, lecz wątpliwe, czy po upływie blisko pół tysiąca lat, znalazłby się choćby jeden cały nienaruszony kościotrup i w dodatku kościotrup Władysława Warneńczyka bez głowy.

Na polach warneńskich ma stanąć wkrótce sumptem polskim wspaniały pomnik Warneńczyka projektu prof. Wittiga.

W istniejącem warneńskiem gimnazjum żeńskiem, „dewiceska" gimnazja", muzeum, znalazłem wśród innych licznych zbiorów dwie gablotki w formie stołu wraz z resztkami zbroi rycerskiej, znalezionemi w jeziorze dewneńskiem przy brzegu, co wskazuje na obustronną zaciekłość końca walki, w której resztki rycerstwa chrześcijańskiego zepchnięte przez nawałę turecką w jezioro, tu zginęły i tu znalazły swój grób. W obu gablotkach znalazłem dwa najzupełniej zardzewiałe miecze, takież dwa brzeszczoty szabel, ostrze topora, kilka ostrzy lanc, buławę, dwie druciane rękawice, kilkanaście rdzą zżartych ostróg, wędzidła, dwie złote, oczyszczone współczesne monety

polskie i inne drobiazgi, a nad drzwiami wchodowemi rycerską koszulkę drucianą.

Oczywiście w polskiem posiadaniu nie znajduje się ani jedna pamiątka, bo ani jednej nie chcą nam instytucje bułgarskie odstąpić.

W Warnie zastałem „Polsko-bełgarsko drużestwo" (towarzystwo), w skład którego wchodzi kilku miejscowych Polaków, lecz prawie wcale niewładających już językiem polskim, wśród których najczynniejszym zastałem miejscowego honorowego konsula polskiego p. Maurycego Rogalskiego, dyrektora warneńskiego banku: „Bałkańska Banka", lecz niestety władającego jedynie tylko językiem francuskim i nieco bułgarskim; ojciec p. M. Rogalskiego, Arnold, przybył tu i osiadł po powstaniu 1863 r., służąc czasowo w sławnym tureckim pułku kozaków pod rozkazami Michała Czajkowskiego. Staraniem tego towarzystwa żyje w Warnie tradycja wielkiej bitwy chrześcijaństwa i kult Warneńczyka, a z nią ta bodaj nić sympatji i styczna w historji, łącząca między innemi Polskę z Bułgarją; co roku też w dniu 10 listopada w miejscowym parafjalnym kościele katolickim odbywa się msza żałobna za dusze poległych, głównem staraniem p. Rogalskiego; na nabożeństwie tem bywają obecni konsulowie zagraniczni, urzędujący w Warnie, liczącej do 50.000 mieszkańców.

Żadnych a żadnych współczesnych z bitwą nie tylko budynków, ale nawet ruin w Warnie nie znalazłem; ani śladu dawnego „gradu".

Wątpliwem nawet jest, czy Pasza-keuy (Wieś Paszy) najbliżej pobojowiska od strony północnej się znajdująca, już w czasie bitwy istniała, tj. czy istniała jej nazwa, jakkolwiek niedawną uchwałą rady miejskiej Warny, zatwierdzoną przez dalsze instancje, postanowiono dla uczczenia i upamiętnienia tej bitwy zmienić dotychczasową nazwę tej najbliższej pobojowiska wsi na „Władysławowo". Uchwała ta oczekuje jednak swego przejścia jako „ukaz" cara Borysa, którego ogłoszenia należy w najbliższym czasie oczekiwać.

Należy oczekiwać, że prawie dotąd zapomniana Warna odżyje w pamięci naszej z chwilą otwarcia w niej polskiego sanatorjum i plaży morskiej dla chorej młodzieży polskiej

z macierzy; sanatorjum to i plaża zostaną otwarte w lecie 1929 r.

. . . .

Warnę zwiedziłem dwukrotnie, raz w r. 1912 powierzchownie, poraz drugi zaś obecnie, wczytując się w jedyną może w swoim rodzaju w naszej literaturze monografję Jana Grzegorzewskiego pt.: „Grób Warneńczyka", studjum o autentyczności grobu "przy czwartym kilometrze pobojowiska warneńskiego".

Tym razem opuszczając pola warneńskie i oglądając w miejscowem muzeum tę zaledwie odrobinę pamiątek historycznych, poczułem jakby wyrzut, że tylko tych kilka godzin poświęciłem na zwiedzenie pobojowiska, wyrzut jakbym czegoś zapomniał. I wracam na dawne pole bitwy; brnę po ramiona przez cudne pola różane, spotykam wśród nich ich właścicieli, miejscowych wieśniaków, wdaję się w rozmowę i wtajemniczam w przyczynę mego tu na te pola powrotu. Wieśniacy bułgarscy nie pozwalają się dać uprzedzić czy wyręczyć. Zcinają w pobliskim lasku jodłowym gałęzie jedliny, zrywają całe naręcza najcudniejszych, wonnych róż i składają na granicie królewskim zupełnie bezinteresownie, pokazując ostatnie słowa nagrobnego napisu i tłumacząc, że poległy na tych polach król to i w ich sercach jakby ich własny „bełgarski kral".

Nie potrzeba dodawać, że Warna ma położenie nad morzem i portem cudne. Jak widok i wspomnienie historycznego pobojowiska, tak i w chwili mego odjazdu widok Warny w świetle księżyca i rzucających swe rytmiczne światło latarń morskich, pozostawił wrażenie niezatarte.

* * *

Jeszcze po raz ostatni żegnam spojrzeniem pole bitwy, żegnam cienie i wspomnienie młodego króla, jednej z najpiękniejszych postaci średniowiecznego chrześcijaństwa.

V.

Noc na Morzu Czarnem.

Teraz dopiero wypływamy na pełne morze.

Zwolna maleją, wreszcie nikną kontury Warny i bułgarskie wybrzeża w zachodzie słońca. Cały zachód staje w purpurze, szkarłatnej łunie pożaru, tonącego w morzu słońca.

Słońce dotykając swym dyskiem morskiego horyzontu, staje się tak wyraźnem, tak bliskiem, że na tarczy jego widać najdokładniej podnoszące się w górę, to znów opadające fale, tego nawet w czasie pogody niespokojnego morza.

Jak dotąd ruch słońca był powolny, prawie niedostrzegalny, tak teraz szybkie jego chylenie się ku zachodowi daje się wprost uchwycić wzrokiem; słońce jednym widocznym ruchem spada, zapada się w otchłań morza, topiąc swoją gorącą, czerwoną tarczę w jego ciemnych, falach.

Optyczne zjawisko; nietylko oko widzi falującą na miedzianej tarczy słońca grzywę czarnego morza, ale za tem fizycznem, rzeczywistem zjawiskiem, ślad w ślad towarzyszy mu akustyczne złudzenie, bo ucho zdaje się słyszeć jakby łomot uderzenia fal o miedzianą ognistą tarczę słońca i jakby syk towarzyszący tonięciu, syk ogromnego, rozżarzonego metalu lub rozpalonego węgla w zimnej wodzie, a morze na chwilę zda się roztopioną, srebrną lawą. Pozorna ta bliskość, to zwykła konsekwencja różnicy w rozpięciu horyzontu; nieskończenie wielkiego horyzontu u góry na niebie, a krótkiego, zaledwie na kilka lub kilkanaście kilometrów, dolnego morskiego horyzontu, zależnie od miejsca ustawienia się.

Wjeżdżamy na wody tureckie.

Zapada wieczór, wreszcie noc zmienia niebieską scenerję. Bo oto niebieski pirotechnik zapala u góry raz po raz jednę

po drugiej gwiazdy, srebrne, to znów złote, wreszcie ze swego laboratorjum planetarnego rozsypuje ich na ciemne tło wysokiego sklepienia całe naręcza, roje, mleczne drogi.

Wreszcie zajeżdża na niebo w triumfie wielki wóz. Lecz nie koniec na tem.

Z czarnomorskich fal wynurza się w pierwszej kwadrze półksiężyc, prawdziwy książę nocy, strojny w wypożyczoną od słońca purpurę, kroczy po niebie za triumfalnym wozem. Pod jego to, półksiężyca znakiem wpłynęliśmy na tureckie wody. Co za romantyczny zbieg, zresztą widoczny z kalendarzowego repertuaru nocy.

Całą swą łódką i siłą wpływa na skrzące się gwiazdami niebo. Złotym swym rogiem, to znów całym sierpem goni przed sobą mrugające trwożnie gwiazdy, jakby je chciał z nieba zgonić, wypłoszyć.

Jednak wobec bezmiaru niebieskiego przestworu okazuje się słabszym, pierwszy jego zapęd słabnie, ruch staje się powolniejszym, z czerwieni przechodzi do barwy miedzianej i płynie coraz powolniej, przyjmując wreszcie odcień srebra. — I wtedy już spokojnie jak na niebieskiego dostojnika przystało, jego książęca nieba Mość, z całym majestatem swego czaru wpływa na pełne niebo, goniąc raz po raz chmury, to znów mijając gwiazdy. Sam mimo swego jasnego czoła, choć zapadłych oczodołów, swych liców, złożonych jakby do uśmiechu ust, tajemniczy; od wieków intrygujące cały świat naukowy jego oblicze. Największy czarodziej nocy, zalewa przestwór nieba, ziemi i morza srebrem swego światła. Okręt w tej doprawdy czarującej poświacie sunie zcicha, jakby śladem łódki księżyca, w dole morskiej otchłani. Ciemne łono nieba rozdziera na chwilę jasny o ognistym warkoczu meteor, ginąc gdzieś w przestworzu. Oczywiście biorę to za dobre auspicium. Czar tej nocy letniej podnosi dochodzący zdala pokładu dźwięk gitary, a za nim srebrny już nie blaskiem, ale prawdziwym dźwiękiem śpiew dziewczęcia. Wchodzę w tę stronę pod ogromny namiot pokładu. To egzotyczna kapela Turków, Turczynek, Egipcjanek w egzotycznych strojach południa, wsiadłszy w Konstancy na pokład, rozpoczęła swój koncert. Zrazu zcicha, pierwsza Turczynka, młodziutka, może 18-letnia, siedząc wśród tłumu częścią bezczynnych grajków, trąca pięknemi jak łodygi kwiatu

rękami, struny gitary. Z falującej jej piersi wydobywa się cichy zrazu, potem silniejszy śpiew, jakby opowiadanie jakiejś czarownej bajki. Pada silniejsze światło, odróżniam dokładnie ciemny splot jej włosów o kolorze tureckiego kasztana, a oczy turkusowo niebieskie. Opowiada i śpiewa i zdaje się mi mimowoli i mimo nieznajomości jej języka, że rozumiem, tak, że wszyscy rozumiemy jej słowa, które nam podaje przechylając ku nam nieraz całą, falującą kibić, to znów odrzucając gitarę i wyciągając do nas smukłe, jak wieże minaretów ramiona. — Wpatrujemy się w nią całym przeszło tysiącem oczu, wsłuchujemy się całym tysiącem naszych uszu, bo już prawie nikogo z podróżnych tu nie brak. Wreszcie z niebieskich oczu Turczynki padają dwie duże łzy, prawdziwe łzy, zwolna zsuwając się po bladej twarzy. A może to w jasyr przez impresarja z pośród rodziny porwana Turczynka lub sturczona dziewczyna. Lecz na wzruszenie to nie pozwala stara Egipcjanka, dotąd przekładająca karty w ręku, uderza z całej siły w cymbały, z całej też siły uderza teraz w bęben zezowaty tatar, który raz wraz odbiega od bębna w stronę słuchaczów, na cały głos wykrzykując swą dziką pieśń i teraz już cały ten chór mięszany gra, śpiewa, krzyczy i huczy.

A na niebie powoli przesuwa się księżyc srebrny, od czasu do czasu zaglądając rogiem swego czoła przez szpary namiotu na środek pokładu i jakby pokazuje po północy, hen daleko w roztopionych w jego srebrze falach, na horyzoncie wychylający się ciemny pas, a na nim raz ukazujące się, to znów rytmicznie chowające się światło. Kapitan okrętu tłumaczy: „To latarnia morska na Bosforze!“ Jakto — pytam — to już Bosfor? „Tak, za godzinę wjeżdżamy na Bosfor“ — odpowiada kapitan. Zegarek wskazuje trzecią po północy, a ja oka dotąd nie zmrużyłem i nie jestem śpiący. Bo któż z nas mógł spać tej czarownej nocy?

Pierwszy brzask dnia wita nas u brzegu Bosforu. Z prawej strony Europa wyciąga do nas kończyny swych ramion, z lewej wynurzają się z morza ku nam tajemniczo brzegi Azji Mniejszej.

VI.

Konstantynopol.

Któż z nas w dzieciństwie, a potem w młodości nie marzył o zobaczeniu choć raz w życiu Wschodu? Któż z nas nie pozostawał pod wpływem czaru najcudniejszych w świecie wschodnich bajek arabskich? I któż z nas nie widział tego kraju we własnym śnie? Bosfor to brama na Wschód, a Konstantynopol ze swemi dziejami, to klucz do jego zagadek.

Bosfor widzimy w pierwszym brzasku wstającego dnia, w wystrzelujących z za gór Anatolji promieniach zorzy porannej.

Powoli występują oba wybrzeża w okazałości skał, lasów, a wreszcie kolorów. Wśród lasów górują ciemne, wyniosłe cyprysy, rozłożyste pinje. Z fal morskich, to znów ze samych skał wyrastają kamienne mury nadbrzeżnych fortec. Z obu stron brzegów, z wylotów ich murów czasem błyśnie lufa armaty, niezupełnie zakrytej.

U wejścia do Bosforu zatrzymuje się nasz okręt, nadjeżdża łódź turecka; na pokład wchodzi oficer turecki ze strażą, spisuje krótki protokół i daje okrętowi t. zw. wjazd. Lecz w najbliższem mieście Rumeli Kavak wsiada drugi oficer marynarki czy policji morskiej i odbiera klucze i całą maszynerję od kapitana okrętu. Odtąd władzą okrętową jest władza turecka aż do Dardanelów. Dzieje się to ze względów administracyjnych, policyjnych i podobno strategicznych.

Uroczyście zapowiedziane i poprzedzone przez swoją najdostojniejszą posłankę, zorzę poranną, samą wyzwalającą się z powicia mgły, słońce wschodzi w całym swym niezmienionym, świeżym majestacie. Resztki mgły uciekają przed jego

przenikliwemi promieniami, chowają się, kryją po jarach, wąwozach, czepiają się swemi mlecznemi koronkami gałęzi drzew,



Konstantynopol. Widok na posułtański Seraj.

snują się jeszcze tu i ówdzie po ogrodach, wreszcie znikają zupełnie. A wschód słońca kąpie w swych szkarłatach wody

i brzegi Bosforu, jedne i drugie mieniące się najcudniejszemi własnemi, to znów zapożyczonemi od słońca kolorami.

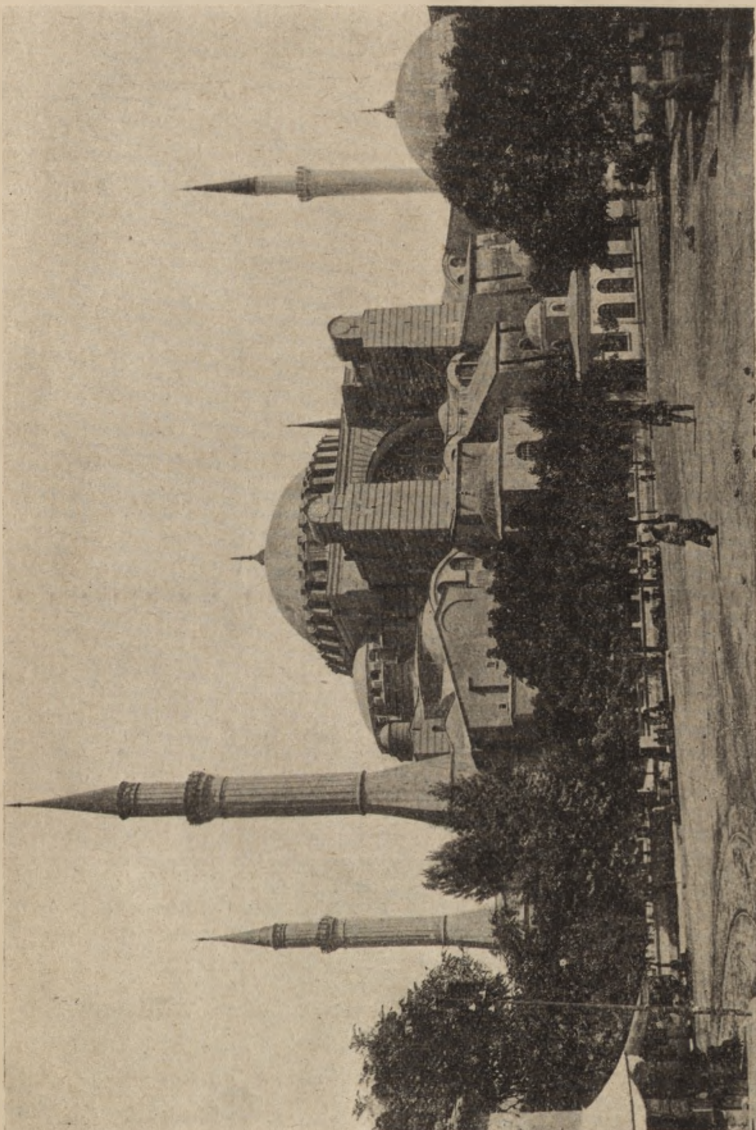
I doprawdy trudno powiedzieć, które ze zjawisk jest wspanialsze, potężniejsze swą siłą, wschód, czy zachód słońca.W każdym razie już z natury swej, pierwszy niesie w sobie radość budzącego się życia, u drugiego zaś brak ten uzupełnia niezaprzeczenie przeciwstawienie pierwszej, odcień melancholji.

Najcudniejszy zachód, najromantyczniejszą noc letnią i również najcudniejszy wschód słońca przeżyłem w tej właśnie drodze u bram Konstantynopola. Zaledwie zdołałem zdrzemnąć się na pół godziny, jak i wielu innych, na twardej ławce pokładu, ale pod aksamitnym baldachimem nieba i gwiazd.

Wśród coraz bogatszej flory wyrasta całe mnóstwo will, pałaców, starych zamków i ich zwalisk, meczetów z ich smukłemi minaretami, coraz większa ilość małych żaglowców, przesuwających się, jak ważki wodne. Barwne obrazy przesuwają się jakby w najcudniejszym kalejdoskopie. Aż wreszcie po dwóch godzinach jazdy z prawej strony, z boku wystrzela nagle cały las minaretów, minarecików, potem meczetów, wreszcie wysuwają się przed nasze zdumione oczy cyklopowe mury, wynurzającego się z morza. To szczyty Konstantynopola, sułtański wyniosły seraj, kryjący w sobie przepyszne ogrody i tajemnice blisko pół tysiąca lat. A obok to meczet św. Zofji, wyrasta wieża Galata, samo śródmieście Galata i Pera. Amfiteatralnie wysuwają się i jakby stają przed nami brzegi Złotego Rogu, i pierwsze strumienie jego cudnej zatoki, wieńczonej wznoszącemi się piętrami i szczytami całego już Stambułu. Jeszcze chwila, a przed nami staje cały Stambuł, Carogród, jak jedna wielka czarowna bajka Wschodu. Bo Stambuł, z turecka Istanbul, powstał zdaniem Turków z uśmiechu samego Allaha na morzu.

Strzelnice pałacowych murów niedawnego potężnego padyszacha spoglądają na nas dzisiaj swemi pustemi, ślepemi otworami, jakby oczyma. To jakby jakiś uśpiony, zaklęty tytan, brodaty ciemnym dywanem ogrodów, zanurzony aż po głowę w morzu. Okręt przystaje zdala od wybrzeża. Natomiast pod okręt podjeżdża kilka, a potem kilkanaście bark tureckich, zabierając na ląd pasażerów.

Naokoło okrętu kołyszą się barwne barki tureckie z przekupniami, zachwalącymi swój towar. Wśród tych okrzyków



Meczet św. Zofji w Konstantynopolu.

i gwaru wszystkich języków, przechylony przez burtę okrętu, słyszę ze zdumieniem z za mych pleców wyraźne słowa pol-

skie: „Nu, czy oni też płacą podatek obrotowy, jak i ja?“ Oglądam się i ku mej uciesze poznaję typowego warszawskiego żydka, pasażera 3-ciej klasy, niejakiego Welczera z ulicy Bugaj 21. Słowa te wypowiedział żydek, nie spodziewając się, że będzie słyszanym przez ziomka, a zwłaszcza zrozumianym przez również płatnika podatku obrotowego.

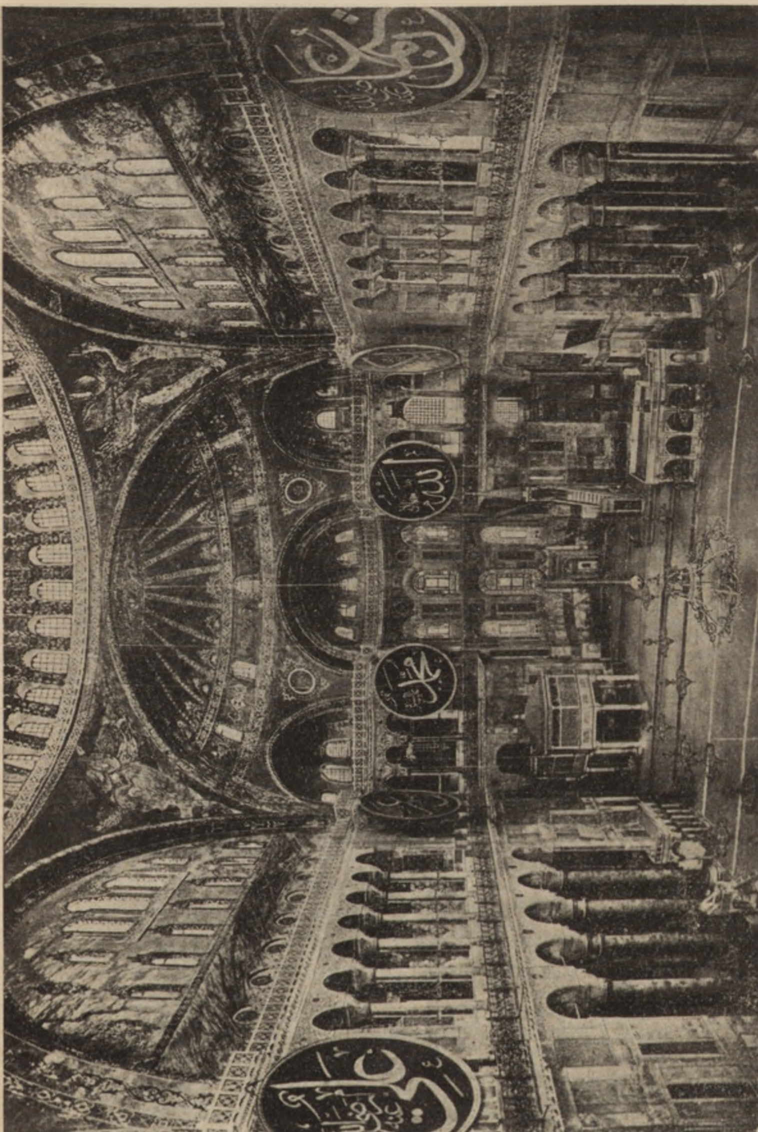
Wreszcie witam przybywającego naprzeciw mnie na moją z Warszawy prośbę Mirzę Beya, oficera tureckiego, rzekomego wnuka Marjana Langiewicza, celem zabrania i złożenia na tegoż grobie części przywiezionych z Warszawy i dokupionych świeżych kwiatów.

Na morzu i w niedawnej stolicy niedawno wielkiego państwa witają nas nie owe zielone, ale dziś już czerwone chorągwie tureckie ze znakiem „hilala“, półksiężyca, tego starego, niezmiennego religijnego, narodowego i równocześnie państwowego znaku Turcji, symbolu wschodzącej pierwszej kwadry, a zarazem wschodzącego szczęścia, zdrowia, powodzenia, a amuletu przeciw wszelkim nieszczęściom, a nawet czarom. W pośrodku rogów księżyca gwiazda.

Dowiedziawszy się, że istnieje tu nawet „Alep-Oteli“, ujęty samą nazwą, biorąc ją za dobry znak, zamówiłem już na okręcie miejsce w tym hotelu, pragnąc zamieszkać tylko w hotelu tureckim, lub arabskim, z pominięciem wszystkiego, co europejskie. Na miejscu ku memu rozczarowaniu przekonałem się, że poza kontrastem zewnętrznego wyglądu i wnętrza miasta, upatrzony hotel niema chyba nic wspólnego z zasłyszanym czarem Syrji. Hotelik trzeciorzędny, a mój pokoik w cenie jednego dolara za dobę, bez żadnych europejskich wygód, nawet bez umywalni. Oprócz blaszanego łóżka i maleńkiego stoliczka, nakrytego obrusem w czerwoną kostkę, stołek na trzech i to niepewnych nogach; z sufitu zaś na długim drucie zwisa okopcona lampa naftowa.

Zato jednak tego samego wieczora znów przy świetle księżyca, pogardziwszy wszelkiemi europejskiego pomysłu motorówkami, narozkoszowałem się przejażdżką na łodzi żaglowej z pod stóp Seraju przez całą długość iście Złotego Rogu aż do wzgórz historycznego Ejubu i z powrotem. Wycieczka w świetle gwiazd i księżyca na niebie, a w potokach światła elektrycznego, rzucanego z latarń morskich, z pokładów okrętowych

i tysięcy latarń lamp elektrycznych z wybrzeży, na ciemnem tle zarysowujących się na horyzoncie bastjonów, wież, mecze-



Wnętrze meczetu św. Zofji.

tów i minaretów, w otoczeniu tak niezwykle malowniczem, romantycznem, że wycieczce tej nie dorówna żadna z morskich

wycieczek na weneckim Canal Grande, ani u wybrzeży Neapolu, ani w zaułkach wodnych Amsterdamu.

Konstantynopol jest rzeczywiście z dalekiej i bliskiej perspektywy siódmym czy ósmym cudem świata. Lecz trudno się oprzeć rozczarowaniu na widok jego wnętrza brudnego, pełnego zaduchu, krętych, wąskich uliczek, o najgorszych brukach, spinających się w górę na wysokość do 70 metrów i to wszędzie w całem mieście, tej odwrotnej stronie medalu, wnętrza nie przypominającego ani Wenecji, Neapolu; a już ubliżeniem dla najczystszego w świecie miasta, Amsterdamu, byłoby zestawienie wyglądu wewnętrznego tego miasta z takimż wyglądem Stambułu.

Porządek uliczny utrzymują zanglizowani, jak u nas podobnie policjanci, w języku tureckim „karakeny", a przez miejscowych Polaków pieszczotliwie „karakonami" zwani.

Ostatnia walka kapelusza z fezem pozbawiła Konstantynopol swoistego charakteru, pozwalając jedynie duchownym na noszenie zawoju. Przyznać muszę, że osobiście nieco żałuję obecnie rażącego tu braku fez i zawojów, które tyle kolorytu wnosiły do wyglądu Konstantynopola. Obecnie Kemal Pasza dobiera się do zawojów na głowach Turczynek, które wszak więcej dodają uroku kobiecie wschodniej, niż kapelusz. Zarządzenie to z jednej strony wprawdzie nieco godzi w budżet prywatnego gospodarstwa rodziny tureckiej, jednak z drugiej strony rozwinie ono nowy przemysł kapeluszniczy. Mimo to przyznać jednak trzeba, że kapelusz dla ludności południowej jest praktyczniejszy, bo chroni noszącego swemi skrzydłami więcej przed żarem słońca niż fez, lub zawój. Rewolucja dobrała się oczywiście i do czarczaf, zdzierając tę niewolniczą zasłonę z twarzy Turczynki, która odtąd po raz pierwszy od tysięcy lat może śmiało popatrzeć światu w oczy. Ta kategoryczna walka z niedawną przeszłością obaliła dotychczasowy średniowieczny ustrój społeczny. Kemal Mustafa Pasza strąciwszy fezy z głów tureckich a zerwawszy zasłonę z twarzy kobiet, wyprowadził je z dotychczasowego domu niewoli, z haremu. Na razie zmiana feza na europejskie nakrycie głowy jakaś nieswojska, bo 60-letni prezes najwyższego sądu, w cyklistówce na głowie na przedmieściu Pankaldi, zrobił na mnie wrażenie obywatela naszego Powiśla, a kilku spotkanych w uniwersytecie

„Dar-ül-fünum“ (brama wiedzy) akademików, w rondowych, twardych jezuickich, przenoszonych już kapeluszach, wziąłem z początku za katolickich kleryków.

Naczelnego dyrektora portowej policji, do którego zgłosiłem się w sprawie mej wizy paszportowej (szykany paszpor-



Dom pomickiewiczowski w Konstantynopolu.

towe w Turcji przechodzą wprost wyobraźnię Europejczyka, np. odemnie jak od każdego innego, zażądano aż 6 fotografji do różnych albumów policyjnych, musiałem grubo opłacić oprócz wizy zapłaconej w Warszawie, osobną wizę wjazdową, a wyjeżdżając, drugą wizę wyjazdową), zastałem urzędującego w wspaniałych apartamentów, w małej cyklistówce na głowie, mozolnie studjującego nowy łaciński alfabet. Dostojnik ten, rozkazu-

jąc całej rzeszy komisarzy i nadkomisarzy z wykształceniem uniwersyteckiem, i sam prawdopodobnie mając takież wykształcenie, znalazł się w wielkim kłopocie, nie mogąc się ze mną rozmówić żadnym językiem europejskim, gdyż żadnego dosłownie, prawie ani w jednem słowie nie rozumiał. Nie mogąc sobie poradzić, wychylił się przez okno na ulicę, a włożywszy dwa palce w usta, zagwizdał, poczem do biura wpadł zdyszany jakiś również w cyklistówce na głowie oberwaniec, a wymieniwszy z dyrektorem kilka słów po turecku, próbował ze mną rozmawiać po grecku, co jednak nie poszło mi składnie, wreszcie po bułgarsku, którym to językiem również z nim nie mogłem się dogadać, gdyż tłumacz sam nim dobrze nie władał. — Aż wreszcie dyrektor pokazawszy mi cztery palce u swej ręki, dał mi do poznania, bym go odwiedził o czwartej godzinie po południu. Przyszedłszy o tej godzinie, zastałem u niego dwóch policjantów, władających językiem francuskim, i dopiero za tych pośrednictwem rozmówiłem się z dyrektorem.

A ileż trudu przysporzyło biednemu Turkowi położenie podpisu swego w obowiązującym już alfabecie łacińskim na moim paszporcie. Podpis ten kosztował go blisko pół godziny czasu prób na bruljonie, a potem wiele trudu i zmęczenia na samym paszporcie; incydent ten przypomniał mi prawie podobną, znaną scenę ze „Zemsty“ Fredry.

Zresztą zwiedziłem cenniejsze zabytki stolicy, wśród tych oglądnąłem miecz Mahometa, zieloną chorągiew tegoż proroka i rzekomo autentyczny strzęp z jego świętej brody. — Wreszcie zwiedziłem wieżę Galata, tę, w której niegdyś jęczeli jeńcy chrześcijańscy, prawdziwą wieżę „westchnień“, jej otoczenie, które przeniosło mię żywcem na chwilę w wieki średnie. To ta sama wieża, o której nam tyle naopowiadał Zagłoba. Nie będę się zresztą rozpisywał o innych szczegółach, po które odsyłam czytelnika przedewszystkiem do dzieła prof. Kowalskiego p. t.: „Turcja powojenna“.

Konstantynopol jest godny naszych wspomnień i pamięci.

Jak na zachodzie Paryż, tak na wschodzie Turcja jako naturalna nieprzyjaciółka Rosji, i Konstantynopol, były ośrodkiem naszej emigracji po powstaniu listopadowem, po upadku rewolucji węgierskiej i po powstaniu styczniowem. W Konstantynopolu działał świetlanej pamięci A. ks. Czartoryski i jego po-

mocnicy: Wł. hr. Zamoyski, Michał Czajkowski, a wreszcie w r. 1855 Mickiewicz. Sam ks. Czartoryski myślał poważnie o kolonizacji polskiej w Turcji. Do wojska tureckiego zaciągnęli się w tym czasie oficerowie polscy, Józef Wysocki, Bystrzonowski, Breański, Jagmin, bracia Jordanowie. Wszak Mickiewicz marzył o wspólnej walce przeciw Rosji i część czasu na tych marzeniach i zamierzeniach w Konstantynopolu strawił.

Dom Mickiewicza, a raczej miejsce, na którem dom ten stał, łatwo odszukać. Na miejscu tego domu drewnianego przy ul. Adam-sokak nr. 19, a więc przy ulicy Adama, w greckiej dzielnicy miasta stoi nowy dom narożny. Oryginalny dom spłonął w ubiegłem stuleciu; celem uratowania pamiątki, miejscowy architekt p. Ratyński zakupił pogorzelisko i na jego miejscu wybudował nowy murowany dom z nadbudówką drewnianą, ściśle wedle planu budowlanego pierwszego domu. Dom obejmuje kilka mieszkań robotniczych, greckich rodzin. Na froncie domu widnieje tablica, ufundowana przez p. Ratyńskiego, z napisem w języku polskim: Na pamiątkę postawiony ten dom na tem miejscu, gdzie 28 listopada 1855 roku umarł Adam Mickiewicz, a zaraz pod polskim napisem napis drugi w języku francuskim: En cette place mourut le 28 Novembre 1855 Adam Mickiewicz, poete polonais.

Dom ten łatwo odszukać, kierując się od ulicy Pera nr. 219 przecznicą w dół w dzielnicę grecką.

Starsi, inteligentni mieszkańcy tej dzielnicy, pamietają nawet pogrzeb Wieszcza i jego szczegóły. Pamiętają, że był bardzo uroczysty, że wziął w nim udział cały garnizon wojska tureckiego, którego szpalery ciągnęły się od domu żałoby aż do mostu w Galata. Był to pogrzeb jakby samego „sułtana". — Prawdopodobnie jednak odnosi się to do uroczystości przewiezienia zwłok wieszcza do Montmorency.

W domu pani Zabłockiej poznałem urzędnika bankowego, p. Jana Łepkowskiego, którego i którego rodzinę też odwiedziłem w ich mieszkaniu przy ul. Hamal Bach sokak, Ilar appt Xenaki nr. 4, wedle których ojciec Jana Łepkowskiego, Antoni, był towarzyszem i kucharzem Mickiewicza w Konstantynopolu. P. Łepkowski powtórzył mi też opowiadanie swego ojca, który zajmował jeden pokój przy mieszkaniu Mickiewicza, że wieszcz

został otruty przez wysłanników rosyjskich. W jakiby to sposób mogło się stać, p. Łepkowski nie potrafił mi tego wyjaśnić.

Pierwszym moim właściwie krokiem w Konstantynopolu było odszukanie na przeciwległym brzegu azjatyckim na jednym z kilku tamtejszych cmentarzy w Haydar Pasza grobu generała i byłego dyktatora powstania styczniowego Marjana Langiewicza, którego rzekomy wnuk a mój znajomy Mirza Bey służy jako oficer w wojsku tureckiem.

Do Konstantynopola przybył Langiewicz w jakiś czas po upadku powstania styczniowego wraz ze swą pierwszą żoną, Bauer z domu i znalazł pierwszy przytułek w domu emigranta Feliksa Zabłockiego przy ul. Jazidżi, gdzie też skupiało się częściowo życie towarzyskie emigrantów, a u państwa Feliksostwa Zabłockich bywali w tym czasie emigranci polityczni ks. Szymański i ks. Lawronowicz.

Marjan Langiewicz umarł i został pochowany w Haydar Pasza wbrew niektórym wiadomościom, jakoby umarł w Lille we Francji, przyczem oczywiście należałoby się domyśleć, że i tam został pochowany. Wiadomość tę czytamy w niektórych broszurach, w niektórych wydaniach polskiej encyklopedji i w ostatnich styczniowych numerach części naszej prasy.

W Haydar Pasza, mającem kilka cmentarzy, nie tak łatwo odszukać ten cmentarz; wszak mnie początkowo sam miejscowy starszy wiekiem i stopniem policjant omal nie wprowadził w błąd, wskazując z całą pewnością siebie, daleko za miastem, może godzinę drogi, inny cmentarz.

Po stronie Azji Mniejszej, w Haydar Pasza tuż obok Skutari, na cmentarzu angielskim, po turecku zwanym „Ingliz mezarlik“, gdy nikt z zarządu nie potrafił mi wskazać grobu, sam ze średnią łatwością po półgodzinnem poszukiwaniu, znalazłem go. Cmentarz znajduje się w odległości 5 minut drogi pieszej od portu, a znajduje się w stronie północnej, a więc na lewo od gościńca, za torem i rampą kolejową. Od głównego wejścia cmentarza idzie się jakie 80 kroków drogą na prawo, następnie skręca się ścieżką w lewo tj. na zachód, gdzie w dalszej odległości 150 kroków znajduje się grób. Na nim leży duża, poziomo, nisko ułożona płyta z białego marmuru, z takimże krzyżem w pośrodku. W czterech narożnikach grobu i tablicy, po cztery duże kule z marmuru białego na sobie ułożone, imitują kule

działowe, jako znak rodzaju broni zmarłego. Na krzyżu napis w języku angielskim: In loving nemory of general Marian Langiewicz, exdictator of Poland who died at Haydar Pasha the 10 of may 1887 aged 60 yers. Thy will be donne. (Ku błogiej świętej pamięci generała Marjana Langiewicza, eksdyktatora Polski, który umarł w Haydar Pasza 10 maja 1887 r. w wieku lat 60).

U dołu zaś dopisane: Erected by his widow (Wzniesiony przez wdowę po nim). Zaś z lewej strony tablicy: Also Suzanne



Grób M. Langiewicza w Haydar Pasza.

his wife febr. 2. 1837 Nov. 24. 1906 (Również jego żona Zuzanna ur. 2. 2. 1837, um. 24. 11. 1906 r.).

Napisy angielskie, gdyż druga żona Langiewicza, p. Berry z domu, była Angielką, nauczycielką języka angielskiego i właścicielką pensjonatu w Kadikeuy (obok Skutari).

Świeże, dobrze utrzymane, piękne krzewy kwiatów na grobie Langiewicza świadczą, że pamięta o nim miejscowy Wydział Konsularny z radcą Legacji p. Kazimierzem Papéem, synem niedawnego, zasłużonego dyrektora bibljoteki Jagiellońskiej, prof. Fryderyka Papéego, na czele. Drugim urzędnikiem Wydziału jest w charakterze radcy handlowego p. Zygmunt Vetulani.

Grób Langiewicza to miejsce, które obok dawnego domu Mickiewicza każdy Polak w Konstantynopolu zwiedzić powinien.

Życie Polaków mieszkających tu, ogniskuje się w „Domu Polskim“ przy ulicy Telegraf sokak nr. 33 pod prezesurą p. Józefa Dunina. „Dom Polski“ mieści na dole restaurację, czytelnię, a na pierwszem piętrze pokoje gościnne. Nastrój bardzo miły, ciepły, pokoje przedewszystkiem czyste i po niskiej cenie, podobnie jak obiady i kolacje. Nie tylko z tej przyczyny, ale z wszelkich innych względów każdy Polak, bawiący w Konstantynopolu, winien pamiętać o tej placówce.

VII.

Adampol.

Ktokolwiek z Polaków będziesz w Konstantynopolu, nie zapomnij, że najpiękniejszą a bliską wycieczką z Konstantynopola jest bezsprzecznie wycieczka do Adampola. Jest ona taką nietylko dla Polaków.

Jadąc do Adampola, spełnisz nietylko swój jako Polaka obowiązek, ale właśnie przedewszystkiem własną, osobistą z tej wycieczki, największą odniesiesz korzyść.

Bo pomnij, że wrażenie i wspomnienie tej wycieczki zachowasz długo, długo przez całe twe życie, jako jedno z najpiękniejszych.

Nie każdemu jednak radzę tę wycieczkę w pojedynkę, chyba uzbrojonemu, o co przecież tam trudno; natomiast we dwóch i więcej osób wycieczka jest bezpieczną i w takiem towarzystwie też i kobieta może jechać do Adampola.

Z Adampolem wiąże się pamięć krótkiego w nim w grudniu 1849 r. pobytu gen. Bema, w odwiedzinach u Michała Czajkowskiego.

Poznawszy w Konstantynopolu księdza Tomasza Zarembę z zakonu OO. Salezjanów, Górnoślązaka, który co drugą niedzielę jeździ do Adampola dla odprawienia w tamtejszym kościółku mszy św. i stwierdziwszy, że nadchodząca niedziela jest właśnie jedną z tych, wyjechałem z nim nazajutrz w sobotę do Adampola.

Przyznać muszę, że dotąd miałem mylne o najbliższej do Adampola drodze, prowadzącej z Haydar Pasza lub Skutari lądem przez dość wysokie góry, drodze przeszło 30 klm. długiej, a więc przy trudności użycia w tem właśnie miejscu auta, lub

wygodnej dorożki, niezmiernie uciążliwej, a przytem ze względu na taką długość drogi lądowej wśród dzikiego pustkowia, niebezpiecznej. Natomiast jazda częścią statkiem, skraca drogę lądową do długości 14 klm.

Z ks. Zarembą wyjechaliśmy najkrótszą drogą ze Złotego Rogu z przystani w Starym Stambule, statkiem o godzinie 11 przed południem.

Wycieczka to jedna z najpiękniejszych i najromantyczniejszych, jaką kiedykolwiek morzem, następnie lądem odbyłem.

Minąwszy z prawej strony stary sułtański niedawno Seraj, z lewej Galatę i jej wieżę, a wreszcie Pera, wjeżdżamy ze Złotego Rogu w Bosfor, między wybrzeża Europy i zachodniej Azji. Minąwszy piękne Skutari, płyniemy w stronę północną.

Przebywszy 16 klm. drogą wodną w przeciągu 2 godzin, przybijamy do wybrzeża azjatyckiego do miasteczka i portu Pacha Bagtche, Pasza Bagcze, położonego dość blisko Morza Czarnego.

Tu wylądowawszy, podążamy do miasteczka, skręcając po dwóch minutach drogi na lewo, tj. w stronę północną w uliczkę bez specjalnej nazwy; po niespełna dwóch dalszych minutach przybywamy przed drewniany, piętrowy dom bez numeru i tu na maleńkiem otwartem od strony ulicy podwórku zastajemy dwa przysłane po nas z Adampola górskie, osiodłane koniki, przytroczone do wozu z Adampola.

Po raz pierwszy w życiu widzę wóz podobnej konstrukcji: długi, wyścielony skórą, z takiemże oparciem, cały o wysokim, płóciennym dachu; siedzenie wzdłuż wozu, a więc siada się bokiem, prawą stroną twarzy do koni, spuszczając nogi w dół, do poziomu osi kół. Wóz długi, a umyślnie wąski, bo dostosowany do nieraz nagle wśród gąszcza lub lasu, zwężającej się drogi.

Oryginalne siedzenie i po niem właśnie poznaje się wozy adampolskie, oryginalne lecz wygodne; jednak biada temu, kto ma za długie nogi.

Właściciel oberży, znający ks. Zarembę, wydaje nam oba oczekujące nas koniki. Ks. Zaremba mimo sutanny i coś pięćdziesiątki lat, rączo dosiada konia. Jedziemy do Adampola pod górę.

Z wysokości szczytów wybrzeża Anatolji oglądamy i żegnamy usuwające się powoli z pola widzenia sylwetki minaretów, meczetów Stambułu, a wreszcie sam Bosfor i Morze Marmara.

Gościniec urywa się, zamienia się w drogę polną, a wreszcie leśną. Przenosimy nad nią krótszą, bo w prostej linji przecinającą zakręty i zakosy drogi, ścieżkę wśród wrzosów i olbrzymich paproci, jednak prowadzącą wysoko ponad teren,



Widok ogólny Adampola.

a nieraz tak wąską, że jechać można tylko powoli, krok za krokiem; o pośliznięcie się i upadnięcie konia w tych miejscach łatwo, dlatego w razie pory deszczowej, tak na drodze jak i tej ścieżynie musi się zsiąść z konia.

Na nasze szczęście pogoda piękna, a droga sucha; zatem wyjechaliśmy w dobrą porę.

Ale oto w pół godziny słyszę za sobą słowa ks. Zaremby, słowa jakby przestrogi: „Ostrożnie, uwaga, na lewo jar, w nim czaili się i dotąd czają się nieraz rozbójnicy, czasem napadający na przejeżdżających tędy kupców lub Adampolan; gdyby nie pan i to uzbrojony, nie ruszyłbym się sam, jadę zawsze w towarzystwie“.

Otóż wreszcie i jar niewielki. Wjeżdżamy ostrożnie, rozglądając się, ja na lewo, ks. Zaremba na prawo. Nawet koniom widocznie udzielił się nasz nastrój, bo zaczęły stąpać powolniej, ostrożniej, robiąc nożdrzami. „Niema nikogo — mówi zcicha ks. Zaremba — ale widocznie konie czują wilka, bo trochę niespokojne“. Wreszcie mijamy jar bez żadnej przygody.

W pół godziny dostrzegam nad lasem na wzgórzu biały drewniany tynkowany dom z zabudowaniami. „To dawny polski cziflik; tu mieszkał przed kilkudziesięciu laty — ciągnął dalej ks. Zaremba — ks. Rogalski, Polak. Zamordowali go rozbójnicy; od tego czasu mieszka tu już Turek; ile razy tędy przejeżdżam, przechodzi mi po plecach dreszcz“. — „Daleko jeszcze — pytam — do Adampola?“

Ks. Zaremba odpowiada, że niedaleko, bo to już połowa drogi; za dobrą godzinę będziemy w Adampolu. Wkoło ani żywej duszy, ani nawet od strony cziflika nie dochodzi głos ludzki; las dziki, pusty. „Jak tu mieszkają — pytam — Polacy w Adampolu?“ „Ano biedni ludzie, jak na wygnaniu“, odpowiada towarzysz. Ks. Zaremba, zwalniając konia, wyjmuje brewiarz, a więc rozmowa urywa się. Wtem koń mój, zostawiwszy swego towarzysza dość daleko, nagle począł strzyc uszyma, rozszerzył nożdrza, zaczął mimo mych zachęcań iść oporniej. „Czyżby nowy jar?“ pomyślałem. Nagle koń stanął, spuścił głowę w dół między przednie odnóża. W tej chwili podałem całą moją postawę w tył, by nie spaść, ale czując się jakoś nieswojsko i nie rozumiejąc, co zaszło, w okamgnieniu zeskoczyłem z siodła i to na czas, bo w tej chwili koń zawrócił na przednich nogach młynka, waląc z całej siły zadami w tył siebie, a więc wprzód naszej drogi. Była to chwila, w której nieorjentując się w sytuacji, mogłem momentalnie otrzymać uderzenie kopytami.

Lecz w tej chwili co widzę? Oto naprzeciw mnie i naszej drogi wyskoczył z gąszcza ogromny wilk, łypiąc na mnie zielonemi ślepiami. Chwyciłem w jednej chwili za broń, wołając równocześnie, by uprzedzić jadącego w tyle towarzysza: „Wilk, wilk!“ W tej chwili ukazał się drugi wilk, lecz oba prawie nie zatrzymując się, wpadły w zarośla, w las i znikły.

Nadjechawszy ks. Zaremba wyjaśnił: „Tak, to wilki zaczynają już tu zaglądać z nad Czarnego Morza, ale w lecie nie

rzucają się na człowieka, nawet uciekają, bo jeszcze niegłodne; za to gorzej w zimie. Dają się one Adampolanom dobrze we znaki". Koń uspokoił się, więc dosiadłem go i tak puściliśmy się w dalszą drogę. Ks. Zaremba dalej czytał brewiarz.

Wjechaliśmy widocznie na najwyższy szczyt łańcucha górskiego, gdyż daleko od północy w odległości może dwóch mil, ukazała się sina tafla Morza Czarnego, z posuwającemi się na



Dom w Apampolu.

niej, jak szaremi punktami, okrętami i statkami; u wybrzeża miasto. „To Riva, czarnomorski porcik turecki", przerywa chwilę i ciszę skupienia ks. Zaremba. Po kwadransie zjeżdżamy w dolinę, widok na Morze Czarne cudny, jak zjawisko znika.

„Urozmaicona droga" — pomyślałem. Wkrótce las zaczął się przerzedzać, ze ścieżki wjechaliśmy na drogę, czego ks. Zaremba zamodlony, ja zamyślony o wilkach, jarze i zbójnikach, nawet prawie nie zauważyliśmy, gdy nagle jakże mile doszło nas z lasu kobiece wołanie: „Staszek, Staszek! A gdzieżeś?

Chodź tu zaraz, ale prędziutko!" Tak, wołanie kobiety najprawdziwszemi polskiemi słowami, a więc wołanie Polki.

I jak nie zorjentowałem się przed chwilą w wilczem towarzystwie, tak w tej chwili tu zorjentowałem się i, jako imiennik wołanego, z prawdziwą radością, jakby za studenckich czasów, odpowiedziałem: „Jestem tuuu! Jestem!" W tej chwili z lasu, a raczej polany wychyliła się kibić starszej, wiej-



Ks. T. Zaremba.

skiej kobiety, która na mój widok ręką przesłoniła do słońca oczy, witając najlepszą polszczyzną: „A to wy Polak, może z Polski, bywajcie, a to ja tylko mojego syna Staszka wołałam, bo gdzieś zagrzązł w lesisku".

„A to pani z Adampola?" — pytam.

„Tak, z Adampola, wy do nas?" — odpowiada kobieta.

Z oddali, widocznej już jak na dłoni, bo las tymczasem całkiem zrzedł, a wreszcie skończył się, ukazały się domostwa a wreszcie roztoczyła się przedemną ogromna polana i dalej znów domostwa. Z polany doszedł nas charakterystyczny sre-

brny głos dzwonków; to krowy z Adampola używają paszy; pod szyją uwieszone duże dzwonki jak na Podhalu.

„To Adampol“ — woła na głos podjeżdżający ks. Zaremba.

Doprawdy dreszcz radości i wzruszenia mię ogarnął na ten widok i te słowa.

A więc to Adampol, ten, o którym nam przed 25 laty na ławie gimnazjalnej, nasz kochany profesor historji polskiej, odkładając książkę, wstając z katedry, prostując się i wychodząc na środek klasy ze wzruszeniem, głośno jak z kazalnicy



Kościółek w Adampolu. Obok budynek szkolny.

wykładał: Tam daleko, na obczyźnie, wśród dzikich gór, lasów, niedostępnych jarów, wśród obcych, w Turcji, w Azji Mniejszej po powstaniu listopadowem, jak wysepka wśród ogromnego morza tureckiego powstała mała osada polska, złożona z oficerów i żołnierzy tego powstania, tych naszych biedaków i tułaczy!...

W tej chwili doszło ze wsi rżenie koni. Jakby na dane, posłyszane hasło, konie nasze parsknęły nożdrzami, w odpowiedzi zarżały głośno, wyrwały się i w pełnym galopie, wśród rżenia rzuciły się naprzód w wieś.

Wyrósł przed nami z pod górki kościółek i szkółka wiejska, wpadliśmy w opłotki polskiej wsi. I nie wstrzymywaliśmy koni, bo i nam doprawdy a szczególnie mnie, który po raz pier-

wszy tu się znalazłem, wyrywało się serce do tej nieznanej, a tak kochanej więcej, niż inne, wsi.

Tuż na lewo przy drodze na wielkiej polanie pasła się adampolska stadnina. Wszystkie jej konie na nasz i naszych koni widok, podniosły swoje głowy i ponownie zarżały wesoło.

Dalej zaś w głębi polany kilka dziewcząt adampolskich konno brało przeszkodę; dwie z nich na nasz widok, z tych znów jedna z przewieszoną przez plecy dubeltówką, zeskoczyły ze swych koni, podały trzeciej koleżance lejce, i podbiegły naprzeciw nas, jakby dobrych znajomych, a ze słowami do ks. Zaremby: „Pochwalony Jezus Chrystus!“ Odpowiedziawszy im na to pozdrowienie, ks. Zaremba kończył: „A.... panny Zosia, Kamila! Jak się macie, dzielne dziewczęta?“ Panny pomogły księdzu zsiąść z konia, bo oba konie były własnością ich rodziców; ja oczywiście bez pomocy zeskoczyłem, odzywając się do księdza:

„Les demoiselles sont trés agrèables“, na co jedna przy akompaniamencie śmiechu drugiej, odpowiedziała mi wprost w oczy:

„Vous êtes aussi trés agrèable“. Zażenowałem się, ale niezasłużony pod moim adresem kompliment zachwycił mię, a ks. Zaremba komentował: „Ale, panienki skończyły pensjonat francuski w Konstantynopolu, mówią niektóre po angielsku i po turecku!“

Droga wiejska zaroiła się wkrótce ciekawymi.

Kościelny na widok przybyłego księdza pobiegł do kościółka i uderzył w dzwon na Anioł Pański.

Zdejmujemy kapelusze. Z pola wraca grupka kobiet, dziewcząt i dzieci z drwami i kwiatami, śpiewając piosenkę, tę, którą ja już dawno, dzieckiem śpiewałem:

Matka z progu do wieczerzy,
Dzwonek wzywa do pacierzy...

Pierwsze nasze kroki kierujemy do zagrody rodziny niedawno zmarłego Ignacego Kępki, przeszło stuletniego starca, niegdyś kozaka z dywizji Zamoyskiego i weterana wojny krymskiej.

Już w drodze dowiaduję się, że Kępka jako chłopaczek w czasie powstania listopadowego lał kule, wcisnął się do je-

dnego z taborów wojska polskiego do pomocy żołnierzom, którym towarzyszył aż do szturmu Woli; a po drugiem styczniowem powstaniu osiadł w Adampolu, gdzie w grudniu w dzień wigilji w r. 1918, gdy nadeszła z Konstantynopola wiadomość o powstaniu Polski, staruszek rozpłakał się z radości i długo płakał, jak i wielu płakało tej wigilji z radości, Adampolan. W r. 1920 jako 99-letni starzec Kępka na wiadomość o wybuchu wojny polsko-bolszewickiej, ze starym karabinem z nałożonym ba-



Dom w Adampolu. W grupie stoi kleryk polski.

gnetem, karabinem pamiętającym jeszcze wojnę krymską, a może powstanie styczniowe, wybiegł na gościniec ze starym wojskowym bojowym okrzykiem: „Polacy do broni, do broni!“, zainicjował organizację oddziału adampolskiego z 30 niezrównanych strzelców; jednak władze tureckie odmówiły poparcia, a nawet zabroniły organizowania się. W r. 1925 umarł Kępka, licząc lat 105.

Wchodzimy w ogrody, z których wychodzi i wita nas córka śp. Kępki, p. Ryżowa z rodziną. Wstępujemy do dużego domu, w którego schludnem mieszkaniu prawie w każdym pokoju dubeltówka nad łóżkiem lub kanapą, bo wszyscy tu we wsi już od dwunastego roku życia bez różnicy płci, chadzają na dziki,

wilki, szakale. Na polanie pod lasem strzelnica. Nie potrzeba tu paszportu na broń, ani pozwolenia na prawo polowania, wystarcza kontrola wójta i policjanta; czasem same władze tureckie dostarczają prochu, zalecając obławy. Za domem ogromne podwórze, w którem drugi dom, zamieszkany przez resztę rodziny. Duże stajnie, stodoły i szopy, wszędzie wzorowy porządek.

Wszyscy mówią dobrą polszczyzną; wyrażam z powodu tego uznanie i radość. Odpowiadają mi na to prawie wszyscy, tak tu,



Pojazd adampolski z wycieczką.

jak i w innych domach: „Mało kto z nas Polskę widział, tylko czasem nam się ona śni; kochamy ją bardzo, może nawet więcej, niż gdybyśmy w niej mieszkali; tęsknimy za nią i za wami. Największym tu dla nas skarbem na obczyźnie, to nasza mowa; jakże się nieraz po długiej tu nieobecności, gdy wypadnie jechać gdzieś dalej do Turcji, radujemy wśród siebie i wśród mowy ojczystej, która tu między samymi Turkami jest jakby najmilszą muzyką“.

A oto kilka lat z historji Adampola:

W jedenaście lat po upadku powstania listopadowego ks. Adam Czartoryski zakupił od kongregacji francuskich Lazarystów, mających tu swe posiadłości, obszar lasu 5.000 denin, a więc obszar około 1.000 morgów, przeznaczając go jako rodzaj fundacji dla oficerów i żołnierzy powstania listopadowego, i pó-

źniejszych wygnańców, tułających się po Turcji, którzy odtąd mogli tu osiąść na roli w charakterze wieczystych dzierżawców z obowiązkiem wykarczowania części lasu i uprawiania pozostałej ziemi.

Osada otrzymała nazwę od imienia fundatora: Adampol.

Władza administracyjna nad osadnikami należała do wójta i trzech radnych .wyznaczanych początkowo przez ks. Czartoryskiego, później zaś wybieranych przez ludność.



Polonja konstantynopolitańska na wycieczce w Adampolu.

Na zewnątrz władza ta reprezentowała Adampol i jego mieszkańców przed władzami tureckiemi i ambasadorem francuskim, który nad kolonją miał pewnego rodzaju protektorat z ramienia rządu Francji, której poddanym był ks. Czartoryski. Gdy później wnuk fundatora, Adam, zmienił poddaństwo na austrjackie, protektorat przypadł ambasadorowi austrjackiemu. Obecnie protektorat ten wykonuje poselstwo polskie w Angorze.

Obecnie na czele wsi stoi wójt i dwóch radnych z wyboru; wójtem jest Emil Biskupski.

Aż do końca sułtanatu miała gmina własną polską pieczęć z polskim napisem w otoku: „Pieczęć administracyjna kolonji polskiej Adampola“, i równobrzmiącym napisem w języku tureckim u dołu środkowej części, w której widniały po lewej

stronie orzeł polski bez korony, lecz z mieczem i berłem, z prawej zaś strony turecki półksiężyc i gwiazda.

Niestety z przewrotem i powstaniem republiki, władze tureckie odebrały gminie dotychczasową pieczęć, wymieniając ją na nową z napisem wyłącznie tureckim z półksiężycem i gwiazdą — lecz już bez znaku orła.

Zatem i dotychczasowa nazwa Adampol uległa przemianie na „Polonezkeuy", co znaczy: „Polska wieś", której jednak Adampolanie, wierni tradycji wcale w mowie ani korespondencji nie używają, pozostając przy pierwotnej nazwie.

Adampol należy do wilajetu konstantynopolitańskiego, zaś do kaimakanu (starostwa) w Beikos.

Rodzin istnieje w Adampolu 34, a więc i tyleż gospodarstw. Wszystkich dusz liczy wieś 160, wszystkich rzymsko-katolickiego wyznania. Przeważna część przyjęła obywatelstwo tureckie, reszta zatrzymała polskie. Mieszkańcy żenią się przeważnie między sobą, utrzymując w ten sposób rasę i tradycję. Odwiedziłem tu każdy dom, każdą rodzinę; starałem z każdym rozmawiać, poznać ich każdą radość, ich wszystkich smutki. Utrzymanie czerpią z uprawy roli, a jak swem uświadomieniem, inteligencją, tak też umiejętnością i intensywnością gospodarki rolnej stoją o całe niebo wyżej od Turków. Czerpią je i z łowiectwa, chowu trzody chlewnej, dostarczanej na rynek konstantynopolitański, z wyrębu i sprzedaży drzewa ze swych lasów na opał, a w lecie nadto z hotelarstwa, gdyż ze względu na niezwykle zdrowe tu powietrze, malownicze położenie i niezwykłą czystość gospodarstw, Adampol ściąga wielu letników, w tem nietylko Turków, ale i obcokrajowców. Niedawno bawiący przez lato w Adampolu marszałek niemiecki bar. v. Goltz, pozostawił w jednym z miejscowych pamiętników wspomnienie wierszem:

Wie Adam im Paradies, so wohl
fühlte ich mich in Adampol

Z przewrotem Mustafy Kemala Paszy, rząd turecki usunąwszy polskiego nauczyciela z adampolskiej szkoły, usiłował zainstalować nauczyciela Turka. Sprzeciwili się jednak temu mieszkańcy w obawie przed dalszem turczeniem wsi. Wobec tego obywają się w zupełności bez szkoły, ucząc swe dzieci między sobą czytania i pisania, tak iż mimo braku szkoły niema

w kolonji analfabetów, nawet wśród dzieci w wieku szkolnym. Z owoców południowych udają się tutaj figi, kasztany, winogrona.

We wsi istnieje też młyn i tartak drzewny. Sklep „bakał" zaopatruje wieś w miejskie towary.



Grób Ludwiki Sadyk Czajkowskiej.

Życie Adampolan pełne tęsknoty za ojczyzną, jest tu bardzo twarde. Prawdziwy zaścianek staropolski, odcięty zupełnie od ojczyzny i od świata, w pośrodku dzikich gór i jarów, w dalekim promieniu od innych siedzib ludzkich, prowadzi omal codzienną walkę o życie.

Po polach nieraz grasują dziki, niszczą zupełnie plony, grasują też szakale, a wilki napadając mniejszą gromadą na pasące się w polu bydło lub owce, nieraz w zimie całemi stadami napadają na wieś.

W drugi dzień mego tu pobytu, w niedzielę, na początku mszy św. w adampolskim kościółku zjawiła się cała drużyna myśliwska z kilkunastu strzelców i dwóch dziewcząt zbrojnych w dubeltówki, stając rzędem tuż obok głównego wejścia ze strzelbami u nogi, jakby na komendę „spocznij", a pomodliwszy się, podążyła na obławę, bo właśnie przed godziną zaalarmowano kolonję o zbliżaniu się na adampolskie pola całej masy dzików. Wrócili z polowania pod wieczór, wioząc ze sobą sześć dzików i jednego wilka, pokazało się bowiem, że dziki zbliżyły się do wsi jedynie zapędzone, ścigane aż tu przez czarnomorskie wilki. Tego też wieczora pobiegłem z jednym z Adampolan z dubeltówką na ziemniaczysko, spodziewając się tu wizyty dzików. Stanęliśmy na brzegu na „zasiadce". Wtem wkrótce posłyszałem ku memu zdziwieniu z przeciwległej strony jakby płacz dziecka, wyraźny płacz dziecka. Jeszcze więcej zdziwiłem się, a raczej zaniepokoiłem, gdy mój towarzysz złożył się z dubeltówki i strzelił w kierunku dochodzącego płaczu. „To głos szakali, nie żadnego dziecka, to szakale podchodzą pod wieś", wyjaśnił mi mój towarzysz.

Nazajutrz, tj. trzeciego ranka, doszedł mię krzyk i wołanie o pomoc z polany leśnej. Wraz z innymi pobiegłem na to miejsce. Pokazało się, że kilka wilków zakradło się tu. Na pastwisku zastaliśmy dogorywającą krowę, wprost zmasakrowaną przez wilki, które dopiero na krzyk pasterzy i strzały uciekły. Krowa odłączywszy się nieco od stada, opadnięta nagle przez kilka wilków, spuściła głowę między kolana, broniąc się rogami. Lecz jeden wilk przysiadł ją i przygryzł ją na karku, drugi chwycił zębami za tylną nogę, uniemożliwiając ucieczkę, zaś reszta dobrała się do jej brzucha, rozdzierając go i wyjadając żywej krowie, wypływające ze środka wnętrzności. Uczta ta, przy której wyjadły wilki krowie wnętrzności i całe wymię, trwała zaledwie kilka minut, aż do nadbiegnięcia pasterzy.

Ofiarą wilków pada rokrocznie w Adampolu przeciętnie trzydzieści sztuk bydła. To jest coroczne stałe manco w gospodarstwie Adampola.

Na cmentarzyku adampolskim spoczęło od lat blisko 90 wielu naszych emigrantów wojskowych, o czem świadczą liczne groby z napisami. Tu też znalazłem grób Ludwiki ze Śniadeckich Czajkowskiej, pierwszej miłości Słowackiego, piękny grób o wy-

sokiej złamanej kolumnie, rzewnie symbolizującej jej złamane życie. Napis głosi: Ludwika ze Śniadeckich Sadyk, córka Jędrzeja, synowica Jana, żona generała dowódcy kozaków i dragonów ottomańskich, zmarła 22 lutego 1866 roku na Drehangirze w Konstantynopolu, — pochowana na ziemi polskiej w Adampolu".



Grób płk. Wieruskiego.

To żona pierwszego wójta adampolskiego.

Nadto grób i nagrobek płk. Wieruskiego. Na tym nagrobku napis głosi: Świętej pamięci Antoni Wieruski, urodzony roku 1804, umarł 10 czerwca 1868 r. Odbył kampanję w r. 1830 w stopniu porucznika, w r. 1848 w stopniu kapitana, w r. 1853 w stopniu podpułkownika w kozakach tureckich. W r 1863 ozdobiony orderem sułtana Medzyka w stopniu pułkownika. Bieg życia bohaterski nader cnotliwy. Koniec tragiczny, dla przyjaciół srodze dotkliwy.

Istnieje też tu grób księżny Halicz Halickiej.

Przebywszy tu trzy dni, z żalem opuściłem tę wieś. Wracałem znów konno wraz z ks. Zarembą. W kilka pacierzy już dość daleko od Adampola doszło nas z oddali lasu, jakby gdzieś z góry wołanie.

Wsłuchujemy się i wpatrujemy w las i odsłaniającą się górę.

Widzimy podniesione w górę kapelusze, a na naszą odpowiedź: „Hop, hooop! Kto tam?" słyszymy wołanie, głosy polskie:

To my, Polacy z Adampooola... żegnamy — a bywaaaajcie, o nas nie zapominaaajcie... prosimy.

Widocznie to ci, którzy nie zdołali się z nami na miejscu pożegnać, zabiegłszy nam na przełaj zdaleka drogę, żegnali nas. Wiatr przynosił ostatnie słowa: A wszystkich w Polsce od nas pozdróóówcie, pozdrówcie...

VIII.

Rozwiązanie strategicznej tajemnicy przesmyka dardanelskiego. Na gruzach Troi. Archipelag Morza Egejskiego.

Morze Śródziemne.

Żegnam Konstantynopol, żegnam może najpiękniejszą panoramę świata, piękniejszą, niż panorama samej Wenecji, będącej więcej dziełem sztuki, podczas gdy Stambuł i jego panorama są więcej dziełem cudownej przyrody.

Uderza tu w oczy troska Turcji o Bosfor, a jeszcze więcej o Dardanele: Obcym Turcja nigdy nie ufa. Teraz okręt prowadzi oficer turecki wśród ciągłych sygnałów ze strony wojennych pancerników tureckich, które odtąd po dwa co każdy kilometr stróżują u brzegów Dardanelów, do których dokładnie zbliżamy się po dwóch godzinach jazdy. Wieczorem od czasu do czasu pada na nasz okręt światło reflektorów z okrętów tureckich.

Kilku podróżnych twierdzi, że jadą tędy po raz trzeci, czwarty, piąty, a za każdym razem tylko w nocy. Czyżby rozmyślnie ułożony rozkład jazdy.

Przy kolacji ktoś zauważył brak względnie dłuższą nieobecność kapitana na pokładzie. Jeden z marynarzy wyjaśnia dyskretnie, że władze tureckie zamknęły go w kajucie pod strażą, by nie mógł nawet w nocy widzieć Dardanelów. Zaciekawiło to mnie i zaintrygowało dwóch jadących z nami oficerów angielskich, lotników. Wszyscy trzej, powodowani ciekawością i współczuciem, które też w tej chwili udzieliło się i reszcie podróżnych, udajemy się w stronę kajuty kapitana. Nie zastawszy jednak pode drzwiami warty tureckiej i nie otrzymawszy odpowiedzi na pukanie do drzwi, zaniepokojeni tajemniczą ciszą, możliwością jakiegoś nieszczęścia, naciskamy lekko klamkę drzwi, lecz drzwi otwierają się bez oporu i ku naszemu zdziwieniu, ale zarazem i radości znajdujemy kapitana bez straży,

zapijającego prawdziwą mokkę w towarzystwie pięknej Turczynki, która niedawno widocznie swemi łzami rozbroiła kapitana okrętu. Radość nasza zatem ogromna. Anglicy obaj z triumfem wprowadzają pod ramię kapitana i Turczynkę na pokład, z triumfem, bo wszak to oni odkryli tej nocy pierwsi strategiczną tajemnicę Dardanelskiego przesmyku. Anglicy piją zdrowie kapitana i Turczynki, a i ja mięszam tu moje trzy grosze i wychylam toast na wieczną harmonję Anglji i Francji, której one dały swój wyraz w roku 1854 w obronie Konstantynopola przeciw armji rosyjskiej.

Przespawszy na pokładzie do godz. 3 zrana, korzystając, że właśnie u końca Dardanelów oficer turecki oddaje z powrotem kapitanowi okrętu urzędowanie, proponuję, już poprzednio z obu Anglikami ułożony plan, wylądowania tu celem zwiedzenia Troi. Myśl ta dzięki pomocy Anglików spodobała się tureckiemu oficerowi i kapitanowi.

Bo też i brak czasu, gdyż okręt staje tu jedynie celem spuszczenia oficera tureckiego z powrotem do jego łodzi. Zsiadamy tedy i stajemy na ziemi Troas. Towarzyszący nam oficer turecki podbiega do najbliższego posterunku tureckiego, prezentuje nas dowódcy niedalekiej baterji, a ten stwierdziwszy na mym i Anglików paszporcie wizę turecką, przepuszcza nas boczną drogą, dając do towarzystwa żandarma. Z konieczności byłem przewodnikiem wycieczki, gdyż jedyny na całym okręcie miałem starożytny atlas Kieperta.

Odnajduję zatem miejsce rzeki Skamander, obecnie Mendarehu, w odległości przeszło kilometra od wybrzeża między Skamandrem, a płynącą od strony północnej rzeczką, wychodzimy na najwyżej wznoszące się skaliste wzgórze o obszarze kilku kilometrów kwadratowych. Staję na złomie skały, czy może starożytnego muru i choć „nec locus ubi Troia“, stwierdzam, że święte Iljum mogło tylko na tym obszarze stać, że te opodal pagórki, czy mogiły, to niechybnie groby Achillesa, Patroklesa, Ajaxa lub innych Achajczyków. Nawet sam prof. Schliemann nie potrafiłby mi tego stanowczo zaprzeczyć. Skupieni w sobie, w milczeniu zdejmujemy z głowy nakrycia, skupienie zwłaszcza niezwykłe czytam na twarzach Anglików.

Wszyscy radujemy się jak studenci. Sam, zda mi się, przeżywam w tej podróży po raz drugi moją młodość.

Wszak sen i jedną z najpiękniejszych ze złud, zaklętą w najczarowniejszy obraz, złudę moich studenckich lat, oglądam w tej podróży... na jawie.

Po godzinie kapitan nagli do odejścia, a ja na to odpowiadam mu cytatem z Iljady. I chyba nigdy w życiu z taką siłą i z takim zapałem nie skandowałem jak w tej chwili: „Menin aejde Tea Pelejado Achilleos — Gniew Achillesa opiewaj bogini", i ostatnie strofy o losach Priama.

Tak, to raz jedyny w życiu w najcudowniejszą nagrodę za moje kucie greczyzny w gimnazjum samborskiem, za te początkowe dwóje z gramatyki greckiej, a z takim trudem zbierane u strasznego, a tak zacnej pamięci prof. Szczepańskiego, jedynki.

Wsiadamy na okręt.

Powoli znika nam z oczu kontynent Europy, płyniemy wzdłuż brzegów Małej Azji.

Tymczasem w czasie naszej nieobecności na okręcie, jedna z jadących do Palestyny żydówek, poślizgnąwszy się na schodkach kajuty, upadła i rażona udarem, umarła. Śmierć stwierdził lekarz okrętowy. W myśl przepisów prawa morskiego, gdy od najbliższego portu dzieliła nas odległość, wymagająca jazdy ponad dwadzieścia cztery godzin, pogrzeb tej nieszczęśliwej, samotnej kobiety, odbył się wedle przepisów prawa morskiego. Mieliśmy wylądować dopiero za dwa dni. Kapitan okrętu zarządził zatem bezzwłoczny pogrzeb. Cały okręt wziął udział w tej żałobie. Ciało zmarłej zawinęli marynarze w płótno. Na rozkaz kapitana okrętu, który objął funkcje kierującego tą żałobną uroczystością, okręt zatrzymał się na morzu. Ciało biednej ofiary wypadku zawinięte w szare, żaglowe płótno, obciążone dużym kamieniem, wśród modlitwy starozakonnych, w obecności podróżnych z odkrytemi głowami, spuszczono na ciche wody morza Egejskiego. Kapitan okrętu i marynarze stanęli na baczność. — Na wodzie zatoczyło się jedno, dwa, potem niezliczona ilość kół, wreszcie koła znikły, a z niemi znikły i ostatnie ślady miejsca grobu. I nikogo z rodziny nie było na tym pogrzebie i nikt z najbliższych na nim nie zapłakał. Śmierć chytrze wydarła człowieka z okrętu, morze zabrało swój haracz. I sam pogrzeb straszny. — Mijamy Lemnos, Lesbos, wjeżdżamy w pełny archipelag grecki między Cyklady i Sporady. Ikarja. Ta sama, u której

wybrzeży mityczny Ikar strzaskał swoje młode skrzydła, pierwszy próbując podbić przestworza niebieskie.

Krajobraz jednak dziki skalisty, goły księżycowy, raz może na godzinę spostrzega nasze oko jaki mały krzew. Ani jednego drzewa, ni trawy, tem mniej człowieka. Nawet mewy nas w tej drodze opuściły. Tak jedziemy od rana do wieczora.

Dopiero popołudniu wśród największego skwaru słonecznego u stóp wyspy Naxos spotykamy pierwszą zdała łódkę, a na brzegu ognisko. W łódce kilka kobiet, poznajemy je po długich włosach. To rybaczki prawie nagie, meduzy i rozgwiazdy morza Śródziemnego, a może potomkinie syreniej Cyrce...

Wieczorem wjeżdżamy majestatycznie na wody Rodosu — znanego z wyprawy Heraklesa. Średniowieczna twierdza krzyżowców wita nas zdala chorągwiami o barwach włoskich.

Pierwsza wyspa od kilku godzin naszej jazdy, na której spotykamy trochę zieleni, a nawet kilkomorgowy ogród. Zresztą poza miastem gołe skały. Widać na pierwszy rzut oka, że jedyną zasadniczą wytwórczością tej wyspy jest rybołostwo. Punkt jednak ze względów strategicznych bardzo ważny, nadto klimat stale wiosenny, iście rajski, bo w zimie niema tu mrozów, a w lecie upałów. Stąd też wyspa cieszy się opieką swej macierzy.

I znów zaskakuje nas noc na morzu. Całą dobę jadąc już na pełnem morzu, mijamy zdala Cypr, spotykamy od strony południa nadciągające ptactwo. Tak to już w odległości niewielkiej Egipt, a przed nami na lewo wyrastają brzegi kraju ongiś Filistynów. Od północy ciągnie za nami na niebie cały klucz bocianów, może także z Polski do południowego kraju.

Ten poranek przyniósł nam dobre nowiny. Pierwszą, że morze w Jaffie bardzo spokojne umożliwi natychmiastowe lądowanie. Drugą o narodzinach murzyna na okręcie. Bo oto murzynkę, matkę, in spe, udającą się z Konstantynopola na leże domowe do Aleksandrji, zaskoczył ten radosny wypadek o kilka dni wcześniej, prawdopodobnie pod wpływem podróży. I znów w myśl przepisów prawa morskiego chrzciny, bo murzynka była chrześcijanką, odbyły się na okręcie. Wykonywującym akt chrztu i równocześnie ojcem chrzestnym był z urzędu kapitan okrętu. Pokropił dziecko wodą, nadał mu wedle zwyczaju morskiego imię okrętu, i cały fakt zarejestrował w księgach okrętowych, wystawiając matce a raczej jej dziecku świadectwo

narodzin, celem uzupełnienia uroczystości właściwym obrzędem na lądzie. Oczywiście przed kajutą murzynki ścisk. Wszyscy chcą oglądać nowonarodzonego murzyna, zobaczyć, czy to prawda, że murzyn przychodzi na świat biały, a potem dopiero po kilku tygodniach czernieje. Stwierdzają wszyscy zgodnie, że urodził się czarny. Sensacja słabnie.

Zresztą rozlega się okrzyk: Jaffa, Jaffa! Zdala widać stare forteczne, wysokie mury, z których wita nas całe mnóstwo palm. Brak jednak portu głębokiego, okręt nasz zatem staje w odległości kilometra od wybrzeża.

Radość na okręcie z powodu sprzyjających lądowaniu warunków, widoczna. Nieraz bowiem fala tu jest tak burzliwą, że pasażerowie muszą czasem i dwa dni czekać na możność wylądowania. Oczywiście ja między pierwszymi na pokładzie, gdzieżby tam... Biegnę na sam przód okrętu, skąd dochodzi mych uszu, jakiś dziwny jakby znany głos, czy melodja. Dochodzi mię śpiew i spotykam grupkę osób śpiewających. Tak, najwyraźniej słyszę słowa:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie niebo, Tobie morze...

Starszy jegomość basem, pani i dzieci tenorem, sopranem, dyszkantem. Starszy z grupki siwawy pan, założywszy na oczy, a raczej nos okulary, podtrzymując przed swą widocznie żoną i dziećmi, książkę, wraz z niemi śpiewa.

Jak się za chwilę dowiedziałem, to p. Dr. Kostka, lekarz, Polak z żoną Angielką w podróży z Anglji do Egiptu, jedzie do służby sanitarnej angielskiej. Od lat czterdziestu zdala od ojczyzny, zapomniawszy wiele języka polskiego, pamięta jednak o swym kraju i dotąd nie zapomniał, jak się wyraził, tej „narodowej pieśni". Nie mogę się oprzeć wrażeniu i wzruszeniu. Dołączam i ja mój baryton:

...Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże Wielki!...

* * *

Oto przedemną Ziemia Święta, o której myśl dotąd błękitniała mi gdzieś z oddali.

DZIAŁ DRUGI.

OD BETLEJEMSKIEJ STAJENKI DO ALEPPA.

Poddział pierwszy.

I.

Palestyna.

Już wylądowawszy w Jaffie, niegdyś filistyńskiej Joppe, stanąłem tem samem w starożytnej, geograficznej Syrji, stanowiącej szerszy cel mojej podróży, Syrji, której granice biegną od półwyspu Synai aż do wód samego Eufratu.

Starożytna Syrja bowiem obejmowała dzisiejsze właściwe w ścieśnionych granicach politycznych, państewka syryjskie i Palestynę.

Ziemia obiecana, przyrzeczona Mojżeszowi, obejmowała całą ziemię od granic Egiptu aż do rzeki Eufratu, a więc całą starożytną, geograficzną Syrję, którą jednak żydzi posiedli tylko w południowej jej części, mniej więcej w granicach dzisiejszej Palestyny. Chcąc zatem mieć pewny rzut oka na całą Syrję, należy poznać całą dziś geograficzną i historyczną, starożytną Syrję, zamieszkaną w północnej swej części w $90^0/_0$, zaś w południowej $80^0/_0$-wym stosunku przez samych Arabów, wywodzących się wraz z Żydami od jednego, wspólnego patrjarchy, Abrahama. Syrja dzisiejsza zatem i dzisiejsza Palestyna tworzyły w starożytności w całości Syrję, nietylko jako ziemię obiecaną, ale i ze względów geograficznych, a nieraz i politycznych. Zresztą i bez względu na tę przeszłość krajów, kto chce poznać prawdziwą Syrję, ten winien poznać i dzisiejszą Palestynę, obie zamieszkane w większości przez ten sam naród.

Wedle twierdzenia Żydów i Biblji, protoplasta Abraham miał pierwszą ślubną żonę Sarę, z niej syna Izaaka, zaś z drugiej z nieślubnej żony Agary miał syna Izmaela.

Z pierwszego pochodzi lud izraelski, od drugiego Arabowie. Arabowie jednak twierdzą naodwrót, że właściwą i ślubną i pierwszą żoną Abrahama była Agara, nieślubną zaś Sara. Rzecz całą jednak można by sprowadzić do wspólnego mianownika ślubności obu żon wedle ówczesnych zwyczajów, gdyż prawdopodobnie Abraham miał więcej żon, handlując już w Egipcie wdziękami jednej z nich.

Nazwa Palestyny, stworzona przez Greków, oznaczała pierwotnie w ich języku Filistynę, zamieszkaną obok Moabitów i innych ludów, również przez Filistynów jako autochtonów tej ziemi. Poprzednio jednak krainę tę nazywano wraz z dalszym obszarem, Chanaan. Palestyna zajmuje obszar 15.500 klm. kwadr., a więc równy czwartej części dzisiejszej Małopolski, wraz z Transjordanją zaś zajmuje 25.000 klm. Wyżyna kraju sięga poziomu Podkarpacia, sama zaś Jerozolima leży na wysokości 790 m. n. p. m., (jak np. nasze Zakopane). Klimat z powodu górskiego położenia waha się między 6^0 a 30^0 R. ciepła, licząc wszystkie pory roku począwszy od zimy. Najzimniej tu w lutym, gdyż temperatura wykazuje przeciętnie zaledwie 6^0 R ciepła. Śnieg jest w zimie rzadkością, a zaraz po ukazaniu się znika, taje. Właściwie Palestyna podobnie jak cała Syrja ma dwie pory roku, deszczową i gorącą, pierwsza jest syntezą naszej jesieni, zimy i wiosny, druga gorącego lata. Pierwszy lekki deszcz zaczyna padać w listopadzie; lato jest przeważnie podszyte gorącym wiatrem wschodnim, samum.

Żydzi jako lud koczowniczy, pasterski przybyli ze wschodniej Azji, najpierw do ziemi egipskiej w gościnę około r. 2.000 przed Chr., a stamtąd dopiero do ziemi Chanaan wraz z Jozuem około r. 1400 przed Chr. Największy swój rozkwit święciła Palestyna za panowania Salomona, za którego rządów granice jej obejmowały aż północny Baalbek.

Przeszedłszy tyle okresów niewoli, ilu żaden z ludów świata nie przeszedł, bo po niewoli egipskiej trzykrotnie deportowany do Babilonji, trzykrotnie wracał do swej ziemi i trzykrotnie odbudowywał dzieło Salomona, świątynię, za trzecim razem dzięki wspaniałomyślności Cyrusa. Nadzieje przywiązywane do wspa-

niałomyślności Aleksandra Wielkiego zawiodły. Wielki Macedończyk wprawdzie przepędził nawet powściągliwych wobec Żydów, perskich zaborców, złożył wprawdzie ofiarę w świątyni Salomona, ale nie Jehowie, lecz własnym bogom.

Nietylko około historji starożytnej Palestyny, ale i około zagadnień związanych z tym krajem i z Żydami, powstała cała literatura zasilana pracami uczonych francuskich, angielskich, niemieckich, a nawet polskich, z pośród tych prace J. Kruszyńskiego, Bielenina, Niemojewskiego, Mintza, Schorra a ostatnio Zielińskiego.

Przed 50 laty nestor assyrjologji w Niemczech, prof. Schrader wystąpił z hipotezą zależności biblji, języka i literatury żydowskiej od kultury assyryjskiej i babilońskiej, a następca jego prof. Delitzsch w dziele swem p. t.: „Babel und Bibel" wykazał ścisłą zależność biblji od kultury babilońskiej, która miała dać pierwszy opis stworzenia świata, potopu, pierwowzór sabbatu i monoteizmu. Około tego zagadnienia rozwinęła się i powstała w świecie naukowym cała ogromna literatura, o którą i we Lwowie potrącił swego czasu Mojżesz Schorr na łamach „Kwartalnika Historycznego" z r. 1903.

II.

Jaffa i okolica.

Starożytna Joppe! Już sama nazwa przypomina opowiadania Plinjusza, wedle którego powstała ona jeszcze przed potopem świata i tu to właśnie podobno pierwszy żeglarz i admirał świata Noe wybudował pierwszy w świecie okręt. W każdym razie sama nazwa jest bardzo dawną, starszą od samego Jozuego, bo o niej wspominają już papirusy egipskie z czasów niewoli egipskiej. A sama mitologja przypomina, że tu właśnie bogowie przykuli do ściany łańcuchami Andromedę, póki jej z nich nie zwolnił i wykradł Perseusz.

Stąd też wyruszył onego czasu prorok Jonasz z Joppe do Tharsis w drodze do Niniwy, a za karę za nieposłuszeństwo Jehowie spotkała go u brzegów Fenicji sroga kara.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Łódki podjechawszy pod sam okręt, zabrały podróżnych na ląd. W porcie rzucają się na nas z całym impetem i strasznym krzykiem, wrzaskiem Arabowie, bez pardonu zabierają z łodzi pakunki, wydzierają pasażerom z rąk bagaż i pędem znikają w tłumie. Coś podobnego nie spotkało mnie nawet w Wenecji. Przestraszony o los mojej własności, biegnę za jednym takim wrzaskliwym Arabem, który bez pardonu wydarł mi z rąk bagaże i nie zostawiwszy numeru zbiegł, lecz współpodróżni i celnicy arabscy i angielscy uspokajają mnie, że tu niema mowy o obawie kradzieży, bo Arabowie, to ludzie najuczciwsi w świecie, z całą surowością przestrzegają siódmego przykazania.

Rewizja celna oryginalna, bo celnicy Arabowie dobrali się przedewszystkiem do moich spodni, podobnie jak i u reszty współpodróżnych, przetrząsając je na całej przestrzeni z wiel-

kiem zainteresowaniem i dokładnością. I rzeczywiście, jak później dowiedziałem się, celnicy arabscy stosują ten proceder z tej prostej przyczyny, że ich ziomkowie najwięcej rzeczy przemycają w swoich arcyszerokich hajdawerach.

Pierwszym celem mojej podróży, to Betlejem. Ale co się jednak tymczasem dzieje? Żołnierze arabscy z najeżonemi bagnetami otaczają nas kordonem w koło i prowadzą. Gdzie? Do kwarantanny. Samo już to słowo sprawia przykre wrażenie, a cóż dopiero widok i wreszcie przejście samej kwarantanny. Najpierw zaprowadzono nas do łaźni. Tam wzięto nas w opiekę i każdą płeć ulokowano w osobnej ogromnej ubikacji dla rozebrania się. Tu dopiero użyli sobie sanitarjusze, zlewając nam ręce i głowy wodą karbolową, a potem zmywając nas pod zimnym, to znów ciepłym tuszem. Ale nie koniec na tem. Zabrano nam ubrania i bieliznę i dalejże je w onumerowanych workach poczęto wrzucać do pieca dezynfekcyjnego. Po dwóch godzinach wydano nam ubrania niemożliwie pomięte, a bieliznę pożółkłą. Ale i na tem nie koniec. Poddano nas szczepieniu ochronnemu przeciw tyfusowi, cholerze, dżumie. Wreszcie kazano każdemu zapłacić za to wszystko po półtora dolara. Nazywam szczęściem, że nie zatrzymano mnie w barakach dla kilkudniowej obserwacji, co natomiast spotkało kilkunastu innych pasażerów. Wreszcie wyszedłem z tego ukropu kwarantanny.

W przechowalni znalazłem wszystkie moje pakunki rzeczywiście w największym porządku, jeszcze raz podziwiałem sprawność Arabów w wydzieraniu rzeczy pasażerom bez zostawienia lub podania swego numeru, którego właściwie tu niema żaden tragarz i podziwiałem solidność, uczciwość arabską. Jarłyk w języku angielskim i arabskim miał być dla mnie w dalszej podróży glejtem na komorach celnych.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Jaffa to już świat w pełnem tego słowa znaczeniu egzotyczny, zupełnie dla Europejczyka odrębny, jak cały Wschód. Wąskiemi uliczkami przeciągają wśród domów o płaskich dachach tłumy kolorowe Arabów, Beduinów, Turków, nieco Żydów; część jedzie na osłach lub wielbłądach. Całe życie handlowe, rzemieślnicze, bo większego przemysłu tu brak, i towarzyskie skupia się wyłącznie na ulicy przed domami. Zegar arabski wskazuje godzinę 8 rano, podczas, gdy mój zegarek

wskazuje 2-gą popołudniu. Różnica zatem w czasie o sześć godzin, gdyż u Arabów dzień kończy się o naszej godzinie 6-tej popołudniu, względnie wieczorem, a nowy zaczyna się z pierwszą sekundą po niej.

W stosunkowo bardzo krótkim czasie stanął tu przedemną zgoła inny, jakby nowy świat. Gdy na odjezdnem z kraju wrzesień dmuchał chłodem, ten sam wrzesień tu przygrzewał prawie 40° R. skwarem, witał wiecznie świeżą, wiosenną zielenią i zapachem podzwrotnikowych roślin. I inni też ludzie.

Arabowie pokazują mi miejsce, na którym stał dom apostoła Szymona, a nawet miejsce, na którem, jak powiadają, stał jego warsztat skórniczy i szewski.

Pokazują mi też dawne rzekome ambulatorjum, w którem Napoleon kazał tkniętym zarazą żołnierzom swoim ukrócić męki trucizną.

Zwiedzam tuż zaraz od północnej strony bezpośrednio ulicami, a nawet murami, á la nasz Żywiec i Zabłocie, z Jaffą graniczące miasto nowe, czysto żydowskie, Tel - Awiw, „Górę Wiosny“ (Nadziei). Odnoszę wrażenie, jakiego nie spodziewałem się nigdy tu odnieść. Jak najlepsze. Jaffa i Tel - Awiw to wcale nie bliźnięta, nietylko pod względem chronologji. Dwa uderzające kontrasty, bo to miasto żydowskie jest tu typowem miastem europejskiem, wyglądem zewnętrznym i wszystkiemi najnowszemi technicznemi urządzeniami. Duże, bo około 50.000 mieszkańców liczące, w tem zupełnie znikomy odsetek Arabów, jest czysto żydowskie. Wśród mieszkańców przeważają Żydzi z Polski. Na ulicach wzorowa czystość i porządek, którego przestrzegają policjanci, rodowici Żydzi. Ulice Herzla, Alemby'ego, Aleja Rotschilda, szczególnie ostatnia, piękne, toną wśród roślinności podzwrotnikowej. Klimat dobry, i gdy niedaleką Jerozolimę co kilka lat nawiedzi czasem, zaraz zresztą topniejący i żadnego śladu niepozostawiający śnieg, okolica ta nadmorska w zimie śniegu nie ogląda. Do małego porównania wyglądu zewnętrznego z Niceą brakuje chyba tylko mola i plaży. Jest to miasto kapitalistów żydowskich, tu właściwie majątek, przywieziony z Europy, zwłaszcza z Polski czy Ameryki, konsumujących wśród największych wygód i przepychu. Na nich dopiero zarobkuje mały przemysł i handel miejscowych i sąsiednich kolonji.

Na czele miasta i samorządu stoi rada miejska, czysto żydowska, Waad Hairia, z burmistrzem, roch hairia, którym zastałem tu dra Blocha, na czele.

Zwiedzam też kolonję żydowską Petach Tikwa i jej gminną, komunistyczną gospodarkę, a jako gospodarkę dopiero w zaczątkach, gdyż nowi rolnicy nie potrafią się jeszcze włożyć do tej ciężkiej pracy.

Kolonistom dość dobrze tu, ale w Polsce „lepiej", najlepiej. Tu kapitał się wyczerpuje, a Arabowie za często napadają nawet w nocy na kolonje i ostrzeliwują je.

W czasie tej wycieczki przekonuję się, że nawet Niemcy mają tu swych kolonistów, a ci prowadzą swe gospodarstwa bardzo wzorowo.

III.

Jedna noc wśród Beduinów.

W zamawianiu auta do Betlejem przeszkodzili mi jednak obaj angielscy lotnicy. Z wdzięczności za pokazanie im miejsca Troi, proponują mi towarzyszenie im do El Arish ich aeroplanem, którym sami mają nazajutrz odjechać do Betlejem. Co za zestawienie: Aeroplanem do stajenki betlejemskiej...

Zresztą sam wyraz El Arish wystarczył, by mię zachęcić do tej jazdy. Wprawdzie jest to wycieczka poza teren Palestyny, ale „audaces fortuna adiuvat", co jednak w faktycznem w danym wypadku tłumaczeniu w kilka godzin wypadło wedle przysłowia: „śmiałków psy kąsają", bo motor w El Arish się zepsuł.

Na lotnisku wsiadamy na stalowego rumaka. Warkot śmigła, motor huczy, aeroplan startuje, wznosimy się na wysokość do 100 metrów; Jaffa schodzi z pola widzenia. Widzimy tylko minjatury ludzi, zwierząt i przedmiotów, posuwających się po ziemi. Mijamy karawany wielbłądów i siedzące na nich białe sylwetki Beduinów. Część przestrzeni przebywamy nad morzem, to znów naprzemian nad lądem. Raz morze pod nami, niebo nad nami, a my wisimy w przestworzu, to znów między niebem a piaskami pustyni. Taka podróż podniebna dla lotników, to jak dla nas zwykłych śmiertelników chodzenie po ziemi. Nawet pozwalają sobie na rozmowę, którą zwłaszcza ja podejmuję ochoczo, bo przecież także mogę się czemś pochwalić przed angielskimi lotnikami. A więc opowiadam im, że przecież pierwszy samolot był w Polsce znany już w połowie siedmnastego wieku, bo go skonstruował na dworze Władysława IV. włoski Tytus Liwjusz Boratyni, podobno protoplasta dzisiejszych Boratyńskich. Tak na skrzydłach samolotu płynąc pod

niebnym szlakiem po dwóch godzinach spostrzegamy na szarym horyzoncie białą plamę. El Arish! Wymawiają przez gardło Anglicy. El Arish! Wykrzykuję zato głośniej po trzy razy. Wszak staję u progu Egiptu, tu gdzie autor „Araba“ szukał wrażeń i podniet poetyckich. W kwadrans zawisamy nad samem miastem. Chwila i już lądujemy. Otaczają nas Beduini obojga płci, czarne w białych szatach postacie. Oglądam miasto i fortece, której mieszkańcy i żołnierze znaleźli tu rzeź zgotowaną im przez Bonapartego, mury, które w kilka znów tygodni potem widziały rzeź samych Francuzów, w odwrocie ściganych przez Beduinów.

Na nieszczęście okazuje się, że motor naszego ptaka zepsuł się, że odjazd powietrzem odbędzie się dopiero za dwa, trzy dni. Z radości wpadłszy teraz w rozpacz, nie zgadzam się na to, koleją zaś nie mogę jechać, gdyż wiza na te właśnie kilka mil nie sięga. Anglicy jednak znajdują radę i postanawiają oddać mię w opiekę Beduinów, jadących karawaną aż za Aleppo, nad Eufrat. Udajemy się więc do ich osady, w dalszą część oazy. Z jednej strony widok morza Śródziemnego, z drugiej wyschła do dna rzeka bez odrobiny wody przypomniały mi krajobraz z „Ojca zadżumionych“. Zdala widać sterczący wśród piasków biały budynek. Spotkana Beduinka zapytana przezemnie, czy to grób Szecha, odpowiada, że tak; czy mnie dobrze zrozumiała, czy też mi się tylko wydaje. A więc czy to tensam grób Szecha, grób zadżumionych?

Staje przedemną wizja Hafny i Aminy, ich i ich drobnego rodzeństwa, matki, której tu pod żarem pustyni mleko w piersiach wyschło. A z wizją tą staje przedemną wizja anioła mordercy. Tak, te same głuche echa.

Z radością witamy zachód słońca, bo dący od wschodu, jak z pieca piekarskiego samum, tamuje nam oddech. A kto może ten nawet z mieszkańców w nocy ucieka z El Arish, by przespać się poza miastem pod gołem niebem.

Właśnie słońce topiło swój, jak krew czerwony krąg w Morzu Śródziemnem, gdy stanęliśmy we właściwym obozie Beduinów.

El Arish to poza miastem a raczej miasteczkiem ogromna oaza, istny las całych tysięcy palm i to przeważnie daktylowych. Palmy te ciągną się jeszcze dziesiątkami na południe od miasta

na terytorjum, traktowane jako egipskie i dziesiątkami na północ w terytorjum Palestyny. Część ta kraju aż po górę Synaj była uważaną za Ziemię obiecaną, w posiadaniu Żydów jednak była tylko przejściowo.

Zdaleka już witały nas palmy koronami i wachlarzami ogromnych liści, przepasane między pniem a koroną, szerokim czerwonym pasem owoców, niby diademem, daktylami. Opodal wśród piasków srebrzy się wypływające z pod skały źródło. Doskwierało nam pragnienie, gdyż na okręcie przez kilka dni piliśmy prawie letnią wodę, a w samej Jaffie nie dostaliśmy lepszej; więc wprost podbiegłszy na miejsce, rzuciliśmy się pokotem na piasek, przywierając z chciwością nasze usta do skalnej szczeliny, prost ssąc zimny, boski nektar z całą rozkoszą.

Obaj lotnicy czują się tu jakby u siebie w domu, a raczej jakby we własnym ogrodzie. Dochodzimy do namiotów beduińskich; obu lotników witają serdecznie ich mieszkańcy, widocznie znają ich dobrze. Beduinki młode dość zalotnie witają obu oficerów.

Moi towarzysze wydają nawet dyspozycje, bo oto czarni tubylcy wynoszą trzy drabiny, jak się przekonuję, dla nas trzech na... daktylobranie. Mnie w to graj. Przypomniały mi się moje dawne, bezgrzeszne lata, kiedy to chłopcem wspinałem się po dachach i drzewach, kiedy jedynem zmartwieniem, troską życia były w strachu przed gniewem ojca naddarte przy takiej sposobności spodnie lub potem strach przed nauczycielem z powodu niewygotowania zadania; wszak innych strapień ten wiek nie zna.

Pierwszy po drabinie wdrapuję się na drzewo, chwytam się rękami olbrzymich liści jakby konarów i już siedzę na palmie, jakby na dawnej gruszy czy jabłoni. To samo moi towarzysze.

Daktyle dopiero zaczęły dojrzewać, więc omijam czerwone i żółte i zrywam ciemniejsze i ciemne, jako zupełnie dojrzałe, pokryte aksamitnym puszkiem. Naucztowawszy się wśród najsłodszego deseru, schodzimy na ziemię.

Naprzeciw nas wyszedł stary Beduin, skłonił się, przykładając rękę do piersi to znów do ust. Zaproszeni do olbrzymiego namiotu, wchodzimy.

Beduini rozłożyli przed nami na ziemi kilka ogromnych dywanów perskich, a na nich poduszki. Z boku naczynia mie-

dziane i porcelanowe filiżanki. Beduin klasnął w dłonie i oto rozchyliły się wewnętrzne poły płótna namiotu, a w jego zwojach ukazała się twarz żony pana domu. Beduin klasnął jeszcze dwa razy w dłonie, a wtedy weszły z przyległego namiotu dwie córki gospodarza. Na nasz widok złożyły obie ręce na piersi w krzyż, kłaniając się, poczem stanęły nieruchomie. Zniknąwszy wróciły za chwilę z narączem drew i rozpaliły ognisko na kawę, przygotowaną już w kotle na dylach przed namiotem i zresztą celem odpędzenia natrętnych tu nawet w nocy, moskitów. Na naszą cześć Beduin kazał zabić koźlę, które w pół godziny znalazło się na rożnie. Ogień wesoło pryska, sypiąc złotemi iskrami, oświetlając namiot i wszystkie postacie.

W blaskach ogniska usiedliśmy na tapczanach, nogi zakładając za przykładem Beduinów w krzyż; dziewczęta podały nam długie fajki, wypełniając je tytoniem, a wreszcie zapalając węgielkiem z ogniska.

Z drugiej strony namiotu przez otwór wciska się światło księżyca.

Spoglądam na konstelację Oriona, „zawieszoną przez Boga" jak harfa na niebie czystem, gwiaździstem.

Podano na wielkiej wspólnej misie koźlinę, którą wraz z Beduinem i jego rodziną zajadamy rękami, my zaś trzej popijamy winem wprost z dzbanka

Już przedtem w naszej obecności przypaliły Beduinki ziarna mokki nad ogniem na patelni, potłukły w moździerzu, teraz ugotowały czarną kawę i przesmaczną podały nam wszystkim we filiżankach. Od Anglików dowiaduję się, że gospodarz, a ich znajomy, to jeden z bogatszych tu Beduinów, jest bowiem właścicielem i panem coś dziesięciu żon, sześćdziesięciorga dzieci, dziesięciu wielbłądów i stada tysiąca owiec.

Właśnie okres paszy skończył się tu dla niego i jego rodziny. Rusza szukać lepszej, mniej spalonej paszy, aż za Aleppo, nad Eufrat. Wiadomość ta ucieszyła mię niepomiernie, jednak dowiedziałem się, że na razie rusza na postój pod Jerozolimę, gdzie jedzie dziś w nocy na wywiady, a potem za tydzień ruszy w dalszą podróż etapami, spodziewając się przybyć do Aleppo... na wiosnę. Stary Beduin opowiada mi cuda o Aleppie, większem od Jerozolimy.

Czas do odjazdu, bo Beduini ruszają w drogę na noc. Synowie starego przyprowadzają przed namiot cztery wielbłądy. Szukam drabiny, aby dosiąść wielbłąda, a tu wielbłąd klęka przedemną na wszystkie cztery kolana, a za nim reszta wielbłądów przed moimi nowymi towarzyszami podróży.

Żegnam serdecznie obu Anglików. Wsiadamy na okręty pustyni. Wielbłądy wyciągają swoje długie szyje i jeszcze dłuższe odnóża.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wśród piasków i wydm pustyni posuwają się szybko na północ cztery ogromne, w świetle księżyca, cienie...

IV.

Betlejem.

Już dzień chylił się ku zachodowi, gdy dojechaliśmy do wzgórz Hebronu, gdzie w polu na tle meczetu Abrahama zastaliśmy jakby biblijny obrazek. Przy studni kamiennej w powłóczystych szatach pasterze, a naokoło nich ogromne stado owiec na ziemi rozłożone. Meczet Abrahama obejmuje groby tegoż patrjarchy, patrjarchów Izaaka, Jakóba, a nadto Sary i Rebeki. W dwóch grobach znajdują się rzekomo autentyczne resztki ich kości. Groby te można obecnie zaledwie zdaleka przez okratowanie dostrzec. Samo miejsce z powodu przebudowy nawet dla muzułmanów niedostępne. Beduini usiłują mi pokazać jakiś grób i przekonać, że jest to grób Józefa, ja ich jednak przekonuję, że grób ten znajduje się daleko w Sichem. O zmroku ruszyłem w dalszą drogę, gdy na północy pierwsza zabłysła gwiazda betlejemska, bo nad wzgórzami Betlejem. W chwilę wita mię cały rój migotających gwiazd; raduję się, doprawdy jakgdyby ten cały gwieździsty rój wychodził na moje spotkanie i powitanie, a każda z gwiazd i gwiazdek do mnie swemi promienistemi mrugała rzęsami. Wśród ciszy nocnej wjechaliśmy do śpiącego już miasteczka, zaczem nie pozostało nic innego, jak rozbić w polu pod gołem niebem niedaleko kościoła Narodzenia na tle widniejących jego kontur, namiot i rozłożyć się na skórach. Stary Beduin opowiada, że tu właśnie w tem miejscu śniła się niegdyś Jakóbowi niebieska drabina z aniołami. Wedle jednak innych wiadomości, miejscem owego snu Jakóbowego była miejscowość Bethel w północnej części Palestyny. Wśród tego opowiadania, znękany jazdą na wielbłądzie, w chwilę zasypiam choć nie jak Jakób głową na kamieniu, ale na wielbłądziem siodle, jednak zasypiam kamieniem. Rano zbudził

mnie świegot ptactwa. Wypiwszy ugotowaną nad ogniskiem kawę i przekąsiwszy kawałek owsianego placka, żegnam gościnnych Beduinów, poczciwe wielbłądy i udaję się wprost do Kościoła Narodzenia. Tu wyszukuję jedynego w Betlejem Po-



W Hebron. Wśród Beduinów na tle meczetu Abrahama.

laka, mego imiennika brata Stanisława. Przez wąskie drzwiczki, niższe o wiele od średniej wysokości człowieka, najwidoczniej dostosowane do celów obronnych w dawnych wiekach dla łatwości zabarykadowania się, cały schyliwszy się, wchodzę do

przedsionka, a stąd dopiero przez duże drzwi do wnętrza kościoła jednego z najstarszych w Palestynie, podobno fundacji św. Heleny.

W pięknym tym kościele szczególny uderzył mnie widok. Nawa i miejsca pod ścianami powoli zapełniły się pobożnymi, w wielkiej części Arabami, przybywającymi tutaj w fezach na głowie i kobietami, urządzającemi sobie tu z boku wśród gwaru na swych tłomokach, obozowisko. Dzieci arabskie uganiają w fezach na głowie po kościele i za filarami, bawią się w chowanego. Ksiądz grecki, bo ci mają kościół w swem posiadaniu, zdejmuje jednemu z chłopców fez z głowy, lecz drugi go księdzu wyrywa, ksiądz drepce za nimi, oni jeszcze silniej fezy zaciskają na głowy, chowając się za filarami, to znów z poza nich wyglądają. Księdzu przybywa drugi duchowny z pomocą, ale obaj wreszcie wymachując z rezygnacją ręką, ustępują z pola walki, dając chłopcom za wygraną.

Zbliżam się do właściwej groty, stajenki. Uderza mię tu jeszcze przykrzejszy widok. Z jednej i drugiej strony wejścia stoi na straży żandarm arabski i żołnierz angielski. Przed wojną stali tu żołnierze tureccy. Straż ma na celu utrzymanie porządku nietylko wśród pobożnych, ale nawet wśród duchownych różnych wyznań, którzy o lada drobnostkę, o prawo wcześniejszego odprawiania nabożeństwa lub odprawienia go z większą uroczystością, nieraz tu staczali bójki i to krwawe.

Kroniki notują nawet wypadki zabójstwa, w tem zabicia dwóch ojców Franciszkanów, nie mówiąc już o wypadkach poważnych poranień. Do największych zajść przychodziło dotąd w czasie świąt Bożego Narodzenia. Popi żalą się, że z powodu swych warkoczy byli czy też są słabszymi w walce, przeciwnicy bowiem chwytając ich ręką za warkocz, mogą łatwo wziąć górę. Odpędziwszy pierwsze przykre wrażenie, schodzę po wąskich, ciemnych schodkach do środka. Rzeczywiście wydrążona w skale grota długości 10 metrów, szerokości 3 metrów i takiejże wysokości, robi wrażenie dawnej stajenki.

Tak, to wedle ustaleń, podobno bardzo ścisłych, autentyczne miejsce urodzenia Chrystusa. Między obu wejściami dostrzegam w ścianie wydrążenie, a w niem sam żłób kamienny, na nim ołtarz. Przeżywam prawdziwy dreszcz, jeden z najczarowniejszych dreszczy. Tak, klękam bo nabieram sam przekonania, że

tu w tem właśnie miejscu, gdzie pod srebrzystą gwiazdą widnieje napis: „Hic de virgine Maria Jezus Christus natus est“, dokonało się największe misterjum w dziejach świata.



Betlejem. Widok ogólny.

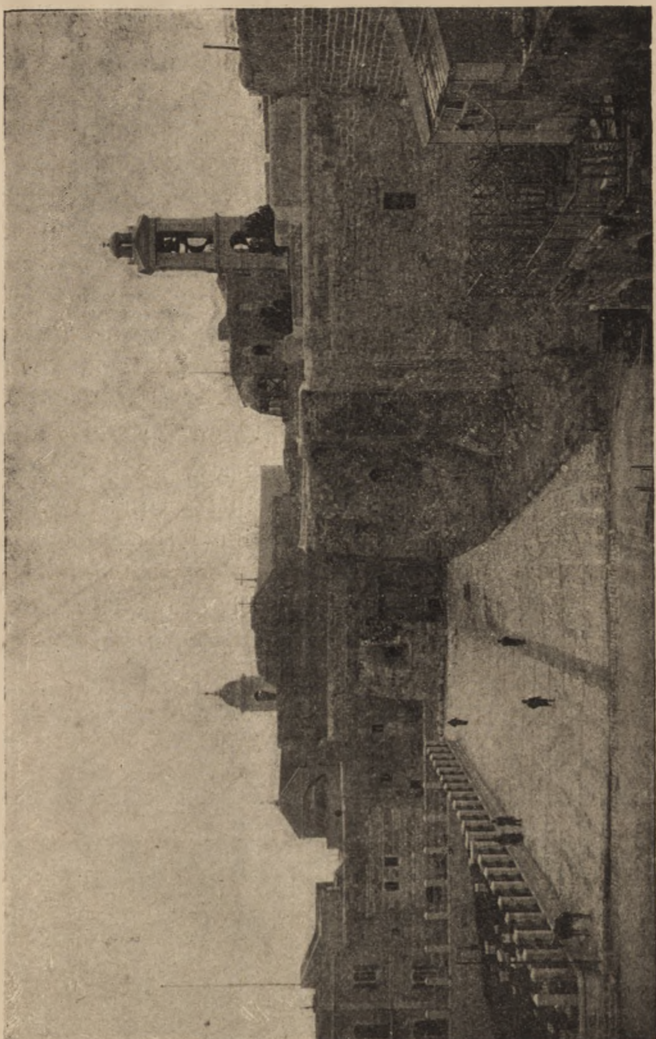
Msza, jaką zastałem przy żłóbku była ormiańska, a ta wywarła na mnie niezwykłe wrażenie. Zastałem tu Ormian modlących się z żarliwością pierwszych, kryjących się po katakumbach chrześcijan. Szczególnie kobiety, klęcząc na oba kolana, przez

całą mszę wpatrzone w żłóbek, jak w cud, prawie oka nie mrużą, klęczą nieruchomo, jakby posąg z rękami ku ołtarzowi wyciągniętemi. W oczach niejednej łzy. Z piersi mężczyzn wydobywa się przeciągły, przytłumiony, jakby ponury śpiew. Tak, to pielgrzymka Ormian aż z pod szczytów Araratu, tych biednych Ormian, których dosłownie całe setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci w ostatniej wojnie zakłuli bagnetami Turcy, następnie zwyczajem swoim odcinając im głowy. A może z tą właśnie skargą tu do żłóbka przybyła ta pielgrzymka. Jedna z najwięcej to wzruszających niemych scen, jakie kiedykolwiek w kościele oglądałem. Po tej mszy zaraz nastąpiła msza łacińska wycieczki włoskiej, z którą przybyli tu obaj synowie Mussoliniego.

Zwiedzam przyległy kościół OO. Franciszkanów (św. Katarzyny), gdzie właśnie do ślubu przystępuje arabska młoda para. Arabowie idą przez kościół w fezach, zdejmują je dopiero tuż przed ołtarzem. Arabowie dostarczają największego kontyngentu nawróconych z pośród muzułmanów kościołowi katolickiemu. Wychodząc z kościoła, słyszę najwyraźniej strzały i okrzyki tuż przed kościołem. Kościelny wyjaśnia również opuszczającym kościół paniom ku ich przerażeniu, że to wpadła przed kościół arabska na koniach drużyna niedawnego konkurenta dzisiejszej pani młodej, celem odbicia jej rywalowi. Wiadomość ta przyprawia panią młodą o chwilowe w drodze powrotnej od ołtarza omdlenie, nadchodzi jednak dalsza wiadomość, że straż przyboczna pana młodego przed kościołem odpędziła nacierającą gromadę, którą zresztą w tej chwili już ściga policja. Przeciskam się przez drzwiczki kościoła, przed którym w tej chwili gra arabska kapela, siedząc na osłach i wielbłądach na powitanie wychodzącej z kościoła pary młodej przy akompaniamencie witającej palby z długich 2 metrowych strzelb. Dwóch staruszków ojców Franciszkanów przed bramą składa życzenia nowopobranej parze, całując oboje nowożeńców w oba ramiona.

Pan młody liczący może pięćdziesiąt lat, dosiada konia araba, pani młoda licząca najwyżej lat szesnaście, podaje i podtrzymuje swemu obecnemu władcy, strzemię. Przed kościołem wzrasta tłum, z którego przeciska się jakaś stara, zawodząca głośno kobieta, a gestykulując rozpaczliwie w stronę pani młodej, wskazując na strzemię, to na młodziutką twarzyczkę oblu-

bienicy. To symbol nieutulonego żalu za traconem dziewictwem, które ma przynieść w nagrodę tylko strzemię. Ale w tej chwili przypada do pani młodej gromada dziewcząt w bieli, odpędza



Kościół Narodzenia w Betlejem.
Na froncie widoczne główne wejście, wysokości około 1·5 metra.

staruszkę, zarzuca panią młodą kwiatami, poczem dalejże okładać kułaczkami, piąsteczkami delikatnie nowoczesną Kasandrę, wypychać ją z pośród orszaku weselnego, wśród żywych gestów radośnie śmiejąc się do pani młodej, obiecuje i tłumaczy jej

rozkosze i miody małżeństwa. To symbol nowej radości życia. Z pomocą przybywa pan młody, a zdjąwszy z łysej jakby kolano głowy, fez, dalejże nim odpędzać wiedźmę. Pan młody rzuca jednemu z obok stojących wielbłądów komendę, ten przyklęka przed panią młodą na cztery kolana, a biała gromada dziewcząt podnosi ją na ramiona i niby aniołki stróże podnosi, pan młody zaś intronizuje ją na wielbłądzim garbie. Nie wiem czy garb wielbłądzi ma co wspólnego z garbatym losem Arabek, bo przecież pan młody osadza swą żonę w ustawionym na nim namiocie, gdzie ta wśród cudnych, miękkich koronek prawie znika. Z tłumu, gromadzącego się na chodnikach i z pośród ciekawych, zalegających nawet dachy kościoła i domów padają na parę młodą kwiaty, tłum parę oklaskuje, a kobiety arabskie witają ją niezwykle głośnem mlaskaniem języków, co ma oznaczać uznanie dla dobrego gustu, smaku pana młodego. Czoło pochodu otwiera dziewczyna w długiej białej szacie, przepasanej w biodrach zieloną wstążką, niosąc na ramieniu kamienny dzban wina, zaś za nią postępuje dwoje, również w bieli, dziewcząt, prowadząc objuczonego drewnianemi, pełnemi wina stągwiami, osła. Wszystkie trzy czerpią kubkami wino i raczą niem przechodniów. Radość na ulicy powszechna. To jedno, jak się dowiaduję, z najbogatszych rzadkich wesel arabskich, których zwyczaje już idą z postępem wkradającej się tu kultury europejskiej, powoli w niepamięć.

Z żalem żegnam rozbawione towarzystwo.

V.

Jerozolima.

Wsiadam do auta i jadę do Jerozolimy. Gościniec asfaltowany, gładki, lśniący czystością niczem ulice na londyńskiej Piccadilly, paryskich polach Elizejskich, warszawskiej alei Ujazdowskiej, no i n. p. krakowskiej ulicy Dunajewskiego.

Mijam z prawej strony drogi widniejący grobowiec Racheli, auto wspina się niczem rumak, coraz wyżej. Po kwadransie wyrastają przedemną na wzgórzach ogromne szare mury, większe, niż mury londyńskiego Towru, kilkusetletnie, arabskie mury Kudsu, świętego miasta, bo tak Jerozolimę zwą Arabowie w swoim języku, uważając ją za swoją własną. Z prawej strony wyrasta przedemną ogromna wieża i brama Jaffy, a obok strome mury jerozolimskiej Akropolis, cytadeli. Mimo arabskiej architektury murów wyrastają przedemną żywcem obrazy ze Starego i Nowego Testamentu. Brak tylko na murach i przed bramami miasta żołnierza rzymskiego z lśniącym hełmem na głowie, pancerzem na piersi, krótkim mieczem i tarczą przy boku, a długą włócznią w ręku.

Auto z coraz większym trudem przeciska się przez tłumy czarnych w kolorowych szatach Arabów, przekupniów i wielbłądów, osłów, gdzieniegdzie ukaże się postać Żyda, jakby przez te tłumy przekradającego się. Zajeżdżam do hotelu Notre Dame de France. Życzliwie wita mię odźwierny Arab, inwalida bez jednej ręki, z wielkim krzyżem na piersi. Przez ogromne, jakby klasztorne kurytarze, wchodzę do głównej sali, wpisuję się do księgi, a tem samem jestem tu już gościem.

Wygląd zewnętrzny miasta tchnie wpływami architektury arabskiej.

Rządy Selima I-go i jego następcy Solimana usunęły resztki dawnych śladów, nawet pozorów, że stolica tego kraju była kiedyś miastem żydowskiem. Zniszczono wszelkie ślady żydowszczyzny, a sułtanowie tureccy nadali miastu charakter najzupełniej muzułmański. Dzieła dokończyły i zamknęły nowe mury i czworokątne wieże tureckie o architekturze arabskiej.

Sama Jerozolima liczy ponad 100.000 stałych mieszkańców, w tem około 65% żydów, 20% muzułmanów. Kościołów liczy Jerozolima więcej niż znany z ich mnogości Kraków, są one obliczone przeważnie na pielgrzymów, gdyż każde wyznanie i sekta ma tu swój kościół, a nawet po kilka kościołów.

I chyba żadne inne miasto na ziemi nie świętuje tyle dni, bo aż trzy dni w tygodniu, co Jerozolima; Arabowie w piątek, na przemian żydzi w sobotę, chrześcijanie w niedzielę zamykają swoje zakłady i sklepy i zawieszają pracę. Stąd też w owe trzy dni miasto ma wygląd świąteczny, ale i równocześnie obumarły. Żydzi tu liczebnie najliczniejsi zachowują się w stosunku do miejscowych Arabów jak mniejszość, Arabowie zaś jakby byli panami nietylko kraju, ale i miasta. Lisiurkę na głowie Żyda w sobotę uważają Arabowie nietylko jako prowokację przyrody, bo w lecie prawie podzwrotnikowego gorąca, ale i za prowokację polityczną. Ton jednak miastu nadają właściwie chrześcijanie, bo oprócz wielkiej mnogości kościołów, ogromne tu pielgrzymki, nadają przedewszystkiem ton religijny, widoczny nawet i w produkcji dewocjonali.

Zaczynam od zwiedzenia Góry Oliwnej w towarzystwie wicekonsula p. Statkowskiego; konsul p. Tytus Zbyszewski bawi właśnie na targach wschodnich we Lwowie.

Z tą górą, z płynącym u jej stóp potokiem Cedronu, związała się historja ostatnich lat życia i działalności Zbawiciela. Ze szczytu cudny widok na Morze Martwe i Jordan; widoczne jakby na dłoni. Na wschodnim stoku góry zwiedzam Betarję, a w niej wprost przy jednej z ulic wykuty w skale grobowiec Łazarza. Tak, to tutaj niegdyś Marta, klęcząc przed Chrystusem, tuląc swą głowę do Jego kolan, z całą wiarą przez łzy wpatrywała się w Jego boską twarz.

Przez dość wysokie pionowe drzwi wchodzę ze świecą w ręku do wnętrza. Przeszedłszy 30 krętych stopni w dół, a jakie 10 metrów poniżej poziomu ulicy, staję nad pozio-

mo w skale wykutym, zwykłym, próżnym grobem. Przejście dość obszerne, powietrza dość. Przy wyjściu otacza mię gromada Arabów obojga płci z dziećmi, prawdopodobnie czwarta część mieszkańców; prawie wszyscy starsi i dzieci wyciągają do mnie rękę, domagając się „bakszyszu“ za oglądnięcie grobu w ich wsi. Z trudem, oczywiście okupiwszy się należycie, wydostaję się z tłumu. Wspinam się z powrotem na szczyt góry, na której szukając dawnych ogrojców, przybywam do Getsemanji, o czem zresztą poucza mię napis na murze zabudowań OO. Franciszkanów: „Hortus Gethsemani“. Pukam do furty bezskutecznie. Wobec tego idę do obok otwartego również ogrojca, pełnego zapachu krzewów, a tuż stojący chłopcy arabscy wyznania katolickiego wyjaśniają ku memu niespodziewaniu i radości, że to właśnie ogród i grób Panny Marji (wedle innych danych grób ten ma się znajdować w Efezie) i kościół Wniebowzięcia, cytując mi po łacinie słowa: Virgo Maria. Ku memu niespodziewaniu, bo zupełnie, jak mówi gdzieindziej Zdzisław Dębicki:

Zaszedłem tutaj — nie wiem — którędy —
Pomiędzy białych narcyzów grzędy,
W mały klasztorny ogrójec wonny,
Gdzie kwiaty rosną ku czci Madonny...

Oczywiście grób pusty, wszak to takie wieki, zresztą Panna Marja została wniebowzięta.

Wreszcie wracam do pierwszego dużego ogrojca. Pukam w dalszym ciągu, lecz bez skutku. Niedoczekawszy się nikogo, odchylam drzwiczki i wchodzę do ogrodu. Nie zastaję tu nikogo, ale pocóż mi tu ludzi, skoro widzę olbrzymy, drzewa oliwkowe. Liczę; jest ich ośm. Trzy o średnicy do 3 metrów. Jest zatem z kim rozmawiać, bo one mówią za całe wieki, może nawet pamiętają samego Chrystusa. Intuicja podpowiada mi, że jestem właśnie w samym Ogrojciu, że te drzewa to właśnie wedle twierdzeń przeróżnych komisji naukowych te, pod któremi Zbawiciel spędził ostatnią noc; one słyszały ostatnie wśród płaczu słowa Jego modlitwy: „Ojcze, jeśli chcesz oddal odemnie ten kielich goryczy“. Cztery z pośród wszystkich ośmiu mają liczyć z górą 2.000 lat, a więc starsze od samych dziadków Chrystusa, Joachima i Anny. A jeśli nawet nie byłyby one

współczesnymi im, niezawodnie pochodzą, wyrosły one z nasion tamtych drzew.

Wtem spostrzegłem pod jednym z drzew drzemiącego staruszka, ojca Franciszkanina, widocznie zmęczonego podlewaniem drzew, bo blaszana konew z wodą obok stoi. Podjąłem konew i wodą z pobliskiej sadzawki podlewam drzewa. Starowina zbudziwszy się, ucieszył się bardzo moją niespodziewaną pomocą i wdał się w rozmowę o historji ogrojca. Na pożegnanie ojciec Piotr, bo takie podał mi swe imię, podjął właśnie w tej chwili opadające z drzewa dwie duże gałązki listków, ofiarowując mi je na pamiątkę a tłumacząc, że rosnących na drzewie liści zrywać nie wolno pod najsurowszemi karami policyjnemi i wszelkiemi innemi. Oglądam grotę ostatniej wieczerzy i ostatniej nocy, miejsce ostatniego snu, a tuż obok miejsce Judaszowego pocałunku i wydania Syna Człowieczego.

Tu po prawej stronie wejścia widzę pod filarem złożony krzyż drewniany, który wedle opowiadania O. O. Franciszkanów przyniósł na własnych barkach pewien pokutnik Węgier ze swej ojczyzny aż tu na miejsce pieszo (oczywiście przeprawiwszy się okrętem przez Bosfor).

Jeszcze raz wspinam się na szczyt góry, z której ukazawszy się swym uczniom Chrystus wstąpił w niebo. Z tarasów skalnych, jak z balkonu oglądam święte miasto. I oczu nie mogę oderwać od roztaczającego się przedemną z góry Wniebowstąpienia widoku na amfiteatralną panoramę nieszczęśliwego miasta, którego przeczuwany upadek czy klątwa, stały się źródłem jednej z największych liryk świata, gdy już prorok załamał nad tem miastem ręce: Gdzież jest boleść taka, jak moja? Liryki zresztą i takiej, jaką później stworzył Torquato Tasso.

Bo wprawdzie Żydzi nie wzbogacili cywilizacji starożytnej, żadną ze sztuk, ale liryką, pełną, oby szczerego lamentu — bo historja i świat cały zarzuca im niezwykłe samolubstwo, przewrotność i chciwość wszelkich dóbr materjalnych — wzniosła się literatura żydowska w owym czasie najwyżej.

Wrażenie silne na widok świętego miasta i okolicy, których dzieje tak natchnęły i artystę Sykstyńskiej kaplicy.

W zadumie rozmyślam historję bliskiego wzgórza Moria, miejsca ofiary Izaaka, lecz przyznam szczerze: Zdjął mię w tej



Jeruzalem od strony Góry Oliwnej.

chwili żal okrutny, ubolewanie a nawet oburzenie na koncepcję takiej ofiary, koncepcję obrażającą pojęcie Jehowy, bo z jednej strony pomawiającą go o instynkty ludożercze, o kanibalizm, straszącą ludzkość Jehową, jakby jakimś patologicznym Kubą rozpruwaczem, z drugiej strony rozwodzącą się niesmacznie nad również patologiczną, miłą sercu Abrahama gotowością do synobójstwa. Wracam przez zasianą grobami dolinę Jozafata, oglądam grobowce Jozafata i Absalona, tego, który się zbuntował przeciw wymiarowi podatku króla, własnego ojca. Zwiedzam rzekome więzienie Chrystusa, tuż obok dawnej świątyni Salomona a dzisiejszego meczetu Omara. Dzięki informacjom miejscowych inżynierów i budowniczych dowiaduję się, że mury te wiekiem nie dorównują murom samego miasta. Obok znajdujący się wśród arabskich zabudowań dziedziniec, podobny do tych znanych nam z ilustracji, to dziedziniec, a raczej miejsce, na którem odbył się ongiś przed Synhedrionem sąd nad Chrystusem. Stąd zaczynam kalwaryjską drogę krzyżową, którą właściwie zaczyna drugie więzienie czy dziedziniec, gdzie po zasądzeniu Chrystus odziany w koronę z kolców był biczowany. A tuż obok dom-pałac, wystawiony na tem samem miejscu i na wzór pałacu Ponckiego Piłata, który zatwierdziwszy wyrok, stąd wydał skazanego kapłanom i tłumowi. Stąd ślad w ślad za wszystkiemi stacjami, na długości około kilometra podążam coraz wyżej aż na 14-tą stację, na Górę Golgoty.

Po drodze przyłączają się do mnie dwaj Żydzi, znajomi z Tel-Awiwu, pragnący raz widzieć miejsce Grobu św. Nie odmawiam im towarzystwa.

Przez powykrzywione, wąskie uliczki docieram do kościoła Grobu św., przed którego frontonem rozłożyli przekupnie swoje jakby odpustowe kramy. Lecz w tej chwili z pośród tłumu wybiegają arabscy chłopcy, uderzając obcesowo na mych towarzyszy, nie pozwalając im wejść do kościoła. Ponieważ zanosiło się na czynne zajście, więc uważając obu ciekawych za znajdujących się pod moją opieką, staję w ich obronie i odprowadzam ich z powrotem w odległe ulice, gdzie obaj puściwszy się pędem, uciekali czemprędzej do swojej dzielnicy.

Arabscy chłopcy przestrzegają, by przypadkiem jaki Żyd nie wszedł do kościoła, co im prawdopodobnie udaje się tylko w stosunku do znanych sobie jednostek. W bramie kościoła za-

staję muzułmanów, rozłożonych bądźteż kucżących na tapczanach w fezach na głowie. Na moje zapytanie wyjaśniają, że tu od wieków muzułmanie pełnią straż u grobu Chrystusa, jako swego po Mohamecie największego proroka, a to dzierżąc klucze od kościoła, który otwierają rano a zamykają wieczorem, a prawa tego nie mogą im nawet Anglicy odebrać.

Wspinam się po niewygodnych, prawie ciemnych schodkach na szczyt Golgoty. Staję w mroku, rozpraszonym przez światła lamp, klękam w prawdziwem skupieniu przed trzema ołtarzami. Pierwszy wskazuje miejsce, gdzie Chrystus poraz ostatni upadł pod krzyżem. Jest to owo właśnie miejsce, na którem rzymscy żołnierze ułożyli na ziemi krzyż i wwlekli nań omdlałego Chrystusa, wbili gwoździe do rąk i nóg. Drugi ołtarz obok, wskazuje miejsce, na którem w spazmach płaczu padła u nóg swego Syna Matka, nie dając oderwać swych ust od Jego stóp. Trzeci ołtarz tuż obok, to miejsce gdzie zawisł Chrystus, to skała, szczyt jej, a w niej otwór, w który wbito krzyż. Skała widoczna przez okratowanie w świetle świecy, którą podaje mi stojący obok na straży kapłan. Schodzę ze szczytu schodami do tuż obok, bo tylko o jakie 40 kroków oddalonego, niegdyś ogrodu oliwnego Józefa z Arymateji. Tu Grób św. w odrębnej kaplicy na środku kościoła. Grób z marmuru różowego zakrywa właściwy grób, wykuty w skale, niegdyś przedmiot najczulszej opieki św. Heleny, matki cesarza Konstantyna W., szczęśliwej znalazczyni rzekomo prawdziwego drzewa krzyża.

Wedle stanowczych twierdzeń duchownych prawie wszystkich kościołów tu obecnych, jest to autentyczny grób Chrystusa. Z całą historyczną i naukową ścisłością są wedle nich i źródeł historycznych pewnie ustalone w Ziemi św. trzy miejsca: Stajenka Betlejemska, miejsce ukrzyżowania i grobu Chrystusa.

Oprowadza mię wszędzie kościelny, na każdym kroku, klękający na oba kolana, całujący posadzkę i bijący w nią czołem.

U trzeciego ołtarza kościelny bierze z tacy, leżącej na stole jedną świeczkę, każe mi ją zaświecić w ogniu innej świecy, wypowiedzieć swe imię i włożyć świeczkę w jeden z kilkudziesięciu obok ołtarza stojących lichtarzyków. Czynię to. Stojący obok na straży pop podaje mi tacę, dając znak, bym zapłacił należność za świeczkę. Składam na tacy dwa piastry,

tj. złotego. Kościelny do ucha mi szepce, że to mało, bo świece podrożały, a inni tu rzucają na tacę dolara i więcej...

W takich warukach oczywiście trudno o chwilę skupienia. Ale odwiedziwszy kościół prawie kilkanaście razy, znalazłem wreszcie i chwilę ciszy, skupienia, gdy nie było przed ołtarzem ani popa, ani kościelnego. Chwila omal tak podniosła, jak przy betlejemskim ołtarzyku. Pobożni, księża pielgrzymi tu leżą prawie godzinami krzyżem lub wzniósłszy w górę złożone lub rozłożone ręce, całemi półgodzinami tu modlą się, sami jakby zamienieni w niemy posąg.

I tu spotkałem obu synów Mussoliniego, kandydata do odznaczenia rycerskim orderem „Grobu Świętego".

* * *

Charakterystycznym w współczesnem życiu żydów jest tzw. mur płaczu. Właśnie w pierwszy dzień mego do Jerozolimy przybycia, w samą wilję żydowskiego nowego roku, a więc w sądny dzień, przypadkowo znalazłem się pod tym murem, który i którego historja tu mię zatrzymała. Są to rzekome resztki murów świątyni Salomona, w odległości zaledwie kilku kroków na południowy zachód od murów meczetu Omara.

Jakżeż ostatnie Jerozolimy i ostateczne świątyni zburzenie wyczuł i zapowiedział na kilka dni przed swą śmiercią Chrystus. Jerozolima i świątynia wspaniałe dzieło fenickich architektów runęły, tak iż po latach 67—70 po Chr. z dawnej Jerozolimy nawet ślad nie pozostał.

A dzisiaj...?

Dzisiaj już nawet głazy, kamienie nie opowiadają dawnej chwały Jeruzalem, bo ich już nawet niema, a przynajmniej niema ich na dawnem miejscu. Nawet „kamień na kamieniu nie pozostał".

Mojem zdaniem — zapewne jedną z przyczyn zdobycia Jerozolimy przez legjony Tytusa były ofiary i to obfite ofiary krwawe, składane codzień w świątyni, zamienionej w ten sposób w rzeźnię, gdzie kapłani w krwi gorącej brodzili po kostki, a żołnierze żydowscy i lud ginęli z głodu. Punktem ciężkości ofiary była jej materjalna, a nie moralna strona.

Jeruzalem podzieliło prawie losy Niniwy. Ze świątyni nie pozostał nawet ślad, kamienie z pod niej rozebrano i użyto ich

do nowych na innem miejscu budów. Nawet ów mur płaczu podobno nie jest resztką murów świątyni. Na miejscu stanął w VII wieku przepyszny meczet kalifa Omara ze znakiem półksiężyca. Miejsce Jehowy zajął Allah. I rzeczywiście jakby jakiś straszny, nie znajdujący chyba w historji ludów porównania fatalizm zawisł nad tym krajem i jego ludem. Herod ostatnim królem żydowskim i to już owym królem malowanym. Jerozolima i świątynia padają w gruzy, a Chrystus nazwany nowym królem żydowskim, nazwany, bo sam się nigdy w ten sposób nie nazwał, przekreślił kategorycznie stary zakon. I nawzajem zakon Jego odrzucony przez judaizm, jako mu najzupełniej zasadniczo obcy i jakby gdzieś z księżyca spadły, tworzy tylko chronologiczną, ale nie psychologiczną z nim ciągłość. Dlatego też paradoks prof. Zielińskiego, że starym zakonem chrześcijaństwa jest religja Hellenów, nie jest właściwie paradoksem. I nic dziwnego, że prof. Zieliński w samym fakcie geograficznym ujścia Jordanu w innem morzu, niż wszystkie całego świata rzeki, bo w ujściu w falach morza martwego, widzi pewną wyroczność. Ta wyroczność przewija się przez całe dzieje tego narodu, począwszy od niewoli egipskiej poprzez wszystkie niewole babilońskie, aż do zburzenia Jerozolimy przez Tytusa. Dziwne dzieje, bo i dziwna była mentalność dawnych Żydów, z którymi wszak nietylko Egipcjanie, Rzymianie, mieli wiele kłopotu, ale sam Mojżesz, a z zasadami starego zakonu nawet sam Bóg i Jego Syn nie mogli sobie dać rady. Spotkałem się nieraz z mniemaniem i to najczęściej ze strony Żydów, że Chrystus jest postacią fikcyjną, że go wcale nigdy nie było, mniemaniem, z którem oczywiście, jako gołosłownem nikt zgodzić się nie może, nie wątpiąc w ukazanie się Chrystusa w czasie wskazanym przez tradycję. Raczej wysunąćby można przypuszczenie, że Chrystus nie był Żydem, gdyż cała natura Jego, działalność i zasady były jakby nie z tej ziemi i nie z pośród tych ludzi, wśród których się ukazał. Niewykluczonem jest, że Chrystus narodził się w Nazarecie, jak twierdzi Renan, ale jeśli nawet faktycznie urodził się w Betlejem, to wszak tylko przygodnie, pochodził bowiem, jak i rodzice, z kresów, „galil hag-gojim", a więc z kraju, czy dzielnicy pogańskiej. Możnaby sądzić, że Chrystus był owego „pogańskiego" pochodzenia, bo skądże wzięła się, tchnęła w Nim

tak zupełnie nagle zgoła inna dusza, która była jakimś najświetlańszym, nie z tej oczywiście ziemi, ale gdzieś rzeczywiście z samego nieba, meteorem. Wszak mentalność starego zakonu była diametralnie inną od ducha reszty, jak na owe czasy, cywilizowanych ludów. Jednak przecież to wielkie zło, jakie toczyło Stary Zakon, wywołało ów ogromny moralny wstrząs chrześcijaństwa, dając najwyższe dobro w postaci doskonałości nauki Chrystusa. Zwykłe prawo reakcji.

Gdy Żydzi wyjątkowo zawsze ze strony muzułmanów doznawali szczególnego ucisku, za czasów egipskich Fatimidów, zwłaszcza zaś za kalifa-boga Hakema, nietylko synagogi żydowskie, ale i sam kościół Grobu Chrystusa poszedł w gruzy. Ludwik Brehier w swej książce p. t. „L'eglise et l'Orient du moyen age" pisze: „Les chretiens furent obligés de porter au cou des signes infamants, une croix de cuivre du poids de dix livres; les Juifs, un billot de bois, qui avait la forme d'une tête de veau, en souvenir du veau d'or".

Zdawało się, że w ślady Krzyżowców pójdzie Bonaparte, że zajmie Jerozolimę, lecz nadzieje te zawiodły, bo zajęcie Palestyny nie było dla niego nawet w części celem, ale tylko zwykłym środkiem dla wzmocnienia swej pozycji w Egipcie. Ale nawet i tego nie dokonał, poprzestając tylko na Jaffie i skrawku kraju koło Akki.

Nietylko Jerozolima, ale i sama świątynia Salomona, jakże dziwne i ciekawe zarazem przechodziła koleje. Bo wszak po zajęciu Jerozolimy przez muzułmanów, na miejscu świątyni stanął meczet Omara z półksiężycem na szczycie, a po zajęciu miasta przez Krzyżowców, w świątyni tej francuscy Templarjusze chrześcijańskie wystawili tu ołtarze, a na szczycie świątyni zajaśniał krzyż.

Dziś podobno w tajemnicy toczą się między światem muzułmańskim a rządem Wielkiej Brytanji pertraktacje, w których pierwszy godzi się na zamianę swej największej świątyni na kościół chrześcijański za cenę oddania Arabom w Palestynie politycznej carte blanche. Zapewne w tej sprawie wypowie się cały świat chrześcijański. I staję dzisiaj w zadumie nad rzekomemi resztkami świątyni Salomona. Szczególny zastaję tu dziś widok, szczególne przychodzą tu tłumy. Na niebie wschodził jasno półksiężyc. Zastałem tu już kilka Żydówek, głośno lamen-

tujących, lecz te wkrótce ustąpiły miejsca napływającym tłumom Żydów, idących całą masą z ogromnym lamentem i krzykiem. Stanęli rzędem pod murem płaczu. Wśród nich zauważyłem i Żydów Sephardinistów w turbanach na głowie, uznających i uprawiających wzorem Muzułmanów poligamję.

Prawie wszyscy modlący się pod murem Żydzi byli zwróceni twarzą w stronę wschodzącego półksiężyca, niektórzy zaś z modlących trzykrotnie podskakiwali w górę wprost twarzą do niego zwróceni, chyba nie zdając sobie sprawy, że właśnie ta część rytuału jest szczątkiem ich dawnego kultu dla księżyca.

Modlitwie i lamentowi-płaczowi tu i ówdzie towarzyszy rozdzieranie szat, nieraz wprost dosłowne, tak iż modlący zostaje prawie w bieliźnie, podczas gdy inni dzielą się resztkami jego szat, rozpamiętywując, opłakując w ten sposób zburzenie świątyni.

W sąsiednich ulicach zauważyłem niewidoczne na pierwsze spojrzenie silnie skonsygnowaną policję, przeważnie dyskretnie ukrytą po sieniach domów i lokalach urzędowych. Nadto przechodzą przez ulice od czasu do czasu patrole żołnierzy angielskich.

Jeden z miejscowych Żydów żalił się przedemną: „Niedawno, jeszcze zeszłego roku tu napadali na nas w sądny dzień Arabowie, do krwi nas bili i kaleczyli; modlić nam się nie dali. I teraz nawet płakać nam nie pozwolą".

Chyba największym śmietnikiem Jerozolimy jest od przeszło dwóch tysięcy lat Gehenna, która podniosła linję swego poziomu na 20 metrów w pion. Tu jak w swoim czasie na pustyni, Żydzi postawili i czcili swego Molocha. Z nowoczesnych budowli, zasługujących na uwagę, należy wymienić obok charakterystycznego swym stylem uniwersytetu żydowskiego, wybudowanego na północnym prawie stoku Góry Oliwnej własnemi rękami młodzieży żydowskiej, okazały pałac byłego cesarza Wilhelma.

Wielki odsetek Żydów w Jerozolimie pochodzi z Polski, stąd z co trzecim Żydem łatwo porozumieć się po polsku. W śródmieściu w drodze z głównej poczty do konsulatu egipskiego uderzył mię na jednej z kamienic z daleka widoczny napis: „Hotel Warshavsky". Właściciel rodowity Warszawianin J. Herling wyjaśnia dobrą polszczyzną, że napis nazwy rozmyślnie

wypisał niezgodnie z pisownią polską ale angielską, celem ułatwienia odczytania nazwy Anglikom i Amerykanom zgodnie z brzmieniem w języku polskim; gdyby bowiem użył pisowni polskiej, Anglik odczytałby napis w brzmieniu: Warsawskaj. Uznając praktyczność tę z jego punktu widzenia, nie uznałem właściwości kaleczenia języka polskiego i napisu.

Bardzo skromnie przedstawia się w starem mieście „Dom Polski".

Ale, że i ten istnieje, zawdzięczyć należy inicjatywie i zapobiegliwości człowieka niezwykłej pobożności i prostoty, ks. Pinciurka, a nadto i ks. Borkowskiego.

O istnieniu tego domu dowiedziałem się z żalem niestety dopiero na odjezdnem. Nie należy zapominać, że dom ten zasługuje na naszą o nim pamięć i opiekę, a pielgrzymi polscy, przybywający do Jerozolimy, winni pamiętać o tym domu zajezdnym.

Rozłożywszy swój rozkład godzin szczelnie między godziną 5 rano a 9 wieczorem, nie straciłem tu, jak i w czasie całej tej podróży, jednej godziny.

VI.

Nad Morzem Martwem.

Powstanie Morza Martwego datuje się wedle legendy od chwili upadku Sodomy i Gomory.

Kierując się podziałką kartograficzną i tak bliskim, zapraszającym z Góry Oliwnej widokiem na to morze i kamienny szkielet gór Moabickich, wybrałem się tamże pewnego popołudnia pieszo, obliczywszy odległość na 20 klm., a czas, potrzebny do przebycia tej przestrzeni, na 3 godziny. Aliści minąwszy Betanję i przeszedłszy 3 godziny, znalazłem się o zachodzie słońca dopiero w połowie drogi. Tak więc bliskość jest jedynie łudzącą, a dopiero teraz spostrzegłem się jako nieznający terenu, że obliczenie kartograficzne 3 mil nie odpowiada rzeczywistej odległości z powodu niezwykłego pomarszczenia terenu, zakosów drogi i że zapomniałem wziąć w rachubę odległości o 393 metrów spadku terenu nad samem morzem w dół i to długości poniżej poziomu innych mórz, którą samą trzeba przechodzić blisko godzinę, schodząc zwolna nad sam brzeg. Zawróciwszy z połowy drogi, odległość tę przebyłem następnego ranka pieszo w przeciągu 5 godzin, lecz z powrotem wróciłem autem w ciągu 2 godzin.

Wrażenie tej wycieczki niezatarte. Znalazłszy się około południa blisko swego celu, ku niezwykłemu zdziwieniu i radości posłyszałem najwyraźniej tu prawie nad Morzem Martwem melodję i polskie słowa: „Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat“, słowa tej pieśni, którą jako musztrujący niegdyś w parku Jordana malec z takim zapałem śpiewałem, a potem słowa pieśni: „Choć burza huczy wkoło nas“. A więc wycieczka polska w tych stronach. Wkrótce zza skał ukazała się grupa młodzieży obojga płci, zdążająca w przeciwną stronę. Dopiero po wdaniu się w roz-

mowę, przekonałem się, że to młodsze, żydowskie pokolenie z Tel-Awiwu, między którem spotkałem niedawnych uczniów szkół lubelskich i słuckich. Schodzę na najniższy punkt na całej kuli ziemskiej, nad Morze Martwe. Tu duszna niezdrowa atmosfera, ciąży na piersiach ołowiem. W Morzu Martwem użyłem kwadransa kąpieli, przepływając jak korek prawie kilometr w jedną i drugą z powrotem stronę nad ruinami spoczywających na dnie w smole i siarce dwóch grzesznych miast. Lecz wylądowawszy musiałem zaraz wskoczyć w nurty Jordanu celem opłukania naskórka z osadu soli i asfaltu, gdyż wedle pouczenia współkąpiących się, osad ten wywołuje i pozostawia na naskórku bolesne ślady.

Martwa ta natura i martwy widok. W wodzie ani jednej rośliny, ani jednego żyjątka. Nigdzie na kuli ziemskiej powietrze nie ciąży tak ołowiem, bo parą, nasyconą miazmatami soli i potasu, jak tu nad Morzem Martwem.

Beduini pokazują mi jakiś dziwacznej budowy kamień w kształcie słupa, a może nawet postaci ludzkiej, tłumacząc, że to właśnie skamieniała w sól biblijna żona Lota. Cały obraz Morza Martwego i leżącego u ujścia Jordanu historycznego Jerycha, jakby z księżyca żywcem na ziemię zdjęty.

Droga do Aleppa wypada autem przez Samarję i Galileję, a więc przez Nazaret, przez krainy i miejsca najwięcej upamiętnione boską działalnością Chrystusa. Droga to jedna z najniebezpieczniejszych, jakie kiedykolwiek w życiu odbywałem, wije się zakrętami, zakosami nieraz pod kątem prostym, ponad skałami i przepaściami. Jedna sekunda zapomnienia, zagadania lub zagapienia się szofera wystarczy, by w okamgnieniu znaleźć się w prawdziwej dolinie Jozafata.

VII.

Nazaret. Jezioro Genezaret.

Ludność miasteczka arabska jest prawie wyłącznie katolicką.

Tu śpieszę najpierw do starej kamiennej studni, wedle najstarszej tradycji tej, w której niegdyś Panna Marja czerpała wodę; znajduje się ona w północnej stronie miasteczka. Tu dotąd smukłe, piękne arabskie kobiety i dziewice Nazaretu w powłóczystych szatach śpieszą z kamiennemi dzbanami na ramieniu i czerpią wodę. Tak niezawodnie wyglądała i tu niezawodnie po wodę chodziła z małym Jezusem za rękę Panna Marja, i tak samo na głowie lub ramieniu nosiła dzban wody, bo studnia ta i źródło jedyne od najdawniejszych czasów w tem miasteczku. Legenda przypisuje od wieków kobietom Nazaretu — a są to wyłącznie Arabki — szczególną piękność jako podarek od Panny Marji. Tu u źródła spotkał Marję i pozdrowił po raz pierwszy anioł, a następnie ukazał się Jej w samem mieszkaniu. Obejmuje je dzisiejszy kościół Zwiastowania OO. Franciszkanów, składające się z dwóch ubikacyj, jednej niegdyś objętej budynkiem małym, przeniesionym przez aniołów do Loretta i groty, jako dalszej ubikacji mieszkalnej Józefa i Marji. W tym obrębie zapewne mieszkali Oni, czy jednak w tem samem miejscu, chyba nie da się ustalić, bo inną znów pokazują grotę, gdzie anioł Gabrjel zwiastował Pannie Marji, a ołtarz stojący w tem miejscu, nosi u dołu napis: „Verum caro hic factum". Domek Panny Marji, rzekomo przenieśli do Loretta aniołowie. Oczywiście tak chciała legenda, piękna zresztą legenda, bo jeśli w Loretto znajduje się autentyczny domek nazaretański, to niewątpliwie został on po rozebraniu tam przez kogoś w zwykły sposób fizyczny przeniesiony i po zmontowaniu w Loretto ustawiony. W tym okrzyczanym cudzie brak jednak najelementarniejszego wa-

runku, pierwiastka cudowności, nadnaturalności. Jasne jak słońce, nie potrzeba na to wymyślać całych legend, które tylko swoją mnogością i wybujałością mogą zmniejszyć wartość innych legend czy nie legend.

W niewielkiej odległości od kościoła okazują OO. Franciszkanie grotę, rzekomo dawny warsztat ciesielski św. Józefa, gdzie Jezus do 30 roku życia pomagał opiekunowi.

Oglądam resztki ruin świątyni, w której Jezus już jako 12-letni chłopiec wziął i brał aż do 30 roku życia udział w dyskusjach religijnych. Wszystkie te miejsca Nazaretu zwiedził Napoleon w czasie swej kampanji, nie mogąc się dostać do samej Jerozolimy. Z Nazaretu, zamieszkanego przeważnie przez Arabów katolików, w którym rzekomo, a nie w Betlejem, wedle Renana i innych, narodził się Chrystus, zdążam na górę Tabor, na tradycją wskazane miejsce Przemienienia, na którem wznosi się wysoko ku niebu kościół tej samej nazwy. Z góry odsłania się przepiękny widok na leżące w dole jezioro Genezaret, a w dali na północ na szczyty Hermonu.

Tu głosił Zbawiciel pierwsze swe „kazania na górze“, pierwsze zasady ekonomji społecznej i swej wielkiej nauki, tu silniej niż ktokolwiek inny dotąd rzucił, nigdy niezapomniane, proste a tak mocne do wszystkich słowa: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie“ i stąd odtąd szły za nim rzesze wielkie. Bo On pierwsze w dziejach ludzkości rzucając pozdrowienie braterskie, pierwszy przewartościowując symbol nienawiści na znak miłości, pierwszy podniósł różdżkę prawdziwego pokoju.

Tabor historyczny i miejscem bitwy u stóp góry, między Napoleonem a Mamelukami; nie mogąc zająć całej Palestyny, bodaj ze szczytu tej góry i zdala przyglądał się Napoleon temu ciekawemu krajowi.

Przez Caanę, sławną z weselnego cudu Chrystusa, podążam rankiem do starorzymskiej Tyberjady, rozłożonej nad biblijnem jeziorem Genezaret, na którem tyle razy Chrystus z łodzi kazał, rozmnażał połów ryb i chleby. Wsiadam do stojącej w nadbrzeżnem sitowiu łodzi rybackiej o rozpiętym białym żaglu, wyjeżdżam na pełne „morze“, napawam się porannym chłodem, pięknym widokiem znikających mi z oczu kamiennych, białych, o płaskich dachach domów, takich samych, jakie dzieckiem oglądałem na kolorowych obrazkach biblji i doprawdy napawam

się jakąś eweangieliczną radością, bo znikający widok ustępuje nowemu widokowi, miasteczka Magdala, skąd wywodziła się święta pokutnica i zdala widokowi wyrastającego od północy u ujścia Jordanu, o takich samych domach, miasteczka. To również biblijne Capharnaum, arabskie Tell-Houm. Lecz zbliżywszy się dostrzegam niestety ruiny, oczywiście te nowsze, bo okazane mi ruiny domu ucznia Piotra i synagogi, w której dyskutował i nauczał Chrystus, nie wzbudzają zaufania, by liczyły 19 wieków, by były autentyczne. Podobnie ma się rzecz i z domem Jaira, którego córkę Chrystus tu uzdrowił. Tem więcej zaś nie wzbudzają zaufania, że wedle najnowszych badań wogóle spornem jest, czy w tem miejscu czy opodal leżało starożytne Capharnaum. Nawet samej tej nazwy nigdzie w mieście nie odczytałem ani nie posłyszałem, bo miasto to zwie się dzisiaj wyłącznie po arabsku: Tell-Houm, a nazwę Capharnaum znalazłem tylko w guidzie.

Wracam z powrotem tem samem jeziorem przez Tyberjadę do Nazaretu, a stąd jadę autem w dalszą drogę, ku północnym krańcom Palestyny. Kraj cały bardzo biedny, nie nadaje się do gospodarczej eksploatacji, bo i ziemia nieurodzajna, a miejscami wprost jakby martwa i praca na niej zbyt ciężka. Ani ziemia ani praca nie przynoszą tu prawdziwych owoców. Bilans, ów prawdziwy gospodarczy, wykazuje stale bierność, brak tu zupełny drzewa, węgla, olejów ziemnych, a wyroby tekstylne również sprowadza się z zagranicy, i to w części z Polski. Ludność Jerozolimy, Betlejem wyłącznie, a reszty kraju w wielkiej części żyje z pielgrzymów i turystów. I za każdą też drobnostkę najmniejszą trzeba drogo płacić, a nawet średniej klasie nieinteligentnych mieszkańców musi się na każdem miejscu opłacać „bakszysze" za najmniejszą zdawkową grzeczność, za samo wskazanie adresu lub ulicy. I z tej to dawnej miodem i mlekiem płynącej ziemi obiecanej, a dziś jakby przez samego Boga opuszczonej i wyklętej, wyszedł i świat cały obszedł bezdomny Żyd, wieczny tułacz, wyszli Żydzi-tułacze, o których mówi Juljan Tuwim:

Czarni, chytrzy, brodaci,
Z obłąkanemi oczyma,
W których jest wieków spuścizna,
Ludzie, którzy nie wiedzą, co jest ojczyzna...
. . . .

Wieki wyryły im na twarzach
Bolesny grymas cierpienia
Bo noszą w duszach wspomnienia
O murach Jerozolimy...

I czy nigdy nie skończy się pokuta tego narodu bez dachu nad głową? Bo żywioł arabski, który tam jest wprost morzem, trudny jest do współżycia, wykazuje tendencje nie pojednawcze, lecz wrogie Żydom, odśrodkowe. Czy i środek, zacytowany mi przez jednego z najpoważniejszych tamtejszych Żydów: „my Palestynę sobie kupimy“, będzie zupełnie zaradczym?

Zresztą część przybywających tu Żydów, tęskniąc za porzuconą Europą, chętnie wraca z powrotem, zwłaszcza do Polski. Wielu Żydów narzekało przedemną na trudne, cieżkie tu warunki bytu, twierdząc, że lepiej im było w Polsce i nigdzie im nie było i nie jest tak dobrze, jak w niej.

Historja żydowska nie jest epopeją, ona jest tragedją.

Jadę do starożytnej, fenickiej Hefy, dzisiejszej Caify (Haify), na górę Karmel, gdzie pod kościołem Notre Dame zwiedzam głęboką na trzy metry grotę Eljasza. Napawawszy się rozległym przecudnym z tej góry widokiem na Morze Śródziemne, zdążam do sławnej z wypraw krzyżowych twierdzy Akki. Tak nazwana przez starożytnych Fenicjan, Ptolomeją zaś przez Greków, zaś St. Jean d'Acre przez Francuzów. Zdala już wyrastają z fal, jakby z piany morskiej, potężne, szare, dziś już mchem porosłe mury i baszty średniowiecznej cytadeli i otaczające samo miasteczko mury, uzupełniając i tak czarowny widok tego nadmorskiego zakątka, najważniejszego punktu strategicznego Palestyny, noszącego jeszcze dziś ślady średniowiecznych oblężeń. Wszak tu właśnie natchnione wiarą średniowiecze najzażartsze staczało z bisurmanami walki.

Na murach trofea angielskiego admirała Sidneya Smitha w wojnie z Napoleonem, francuskie działa oblężnicze.

Sprawa kościoła na terenie Ziemi Świętej była nietylko przedmiotem walki między światem chrześcijańskim a muzułmańskim, ale i kością niezgody między samemi państwami chrześcijańskiemi. Wszak, gdy Mikołaj I jako protektor i naczelnik kościoła wschodniego postawił Turcji daleko idące żądania w dziedzinie kościoła, tak, iż ich uwzględnienie równałoby

się zupełnemu poddaniu Ziemi Świętej i Turcji zwierzchnictwu Rosji, do oporu zachęciły Turcję tylko Anglja i Francja i to był początek krwawej wojny krymskiej, oblężenia i zdobycia Sebastopola.

Tu też pod murami Akki najżywiej, bo wprost żywcem wyrastają z kart historji wspomnienia krucjat. Akka była też najważniejszym północnym przyczółkiem zbrojnej Europy na Wschodzie. Jako ostatni szczątek królestwa Jerozolimy dostała się w ręce muzułmanów w r. 1291. Tu przewrócono ostatnią, ale jedną z najważniejszych kart w pochrystusowej historji Ziemi Świętej.

PODDZIAŁ DRUGI.

I.

Syrja.

Syrja prawie nie ma swej odrębnej historji, gdyż nigdy nie było ani narodu ani państwa syryjskiego zupełnie niepodległego. Zatem prawdziwa, orginalna historja tego kraju jest bardzo ubogą, natomiast historja tych wszystkich kolei, jakie kraj ten przechodził i przeżywał, jest bardzo bogatą i starą, starszą niż historja żydowska. Nazwą Syrji obejmowano cały kraj od półwyspu synajskiego aż do gór Taurus i rzeki Eufratu. Niegdyś jedna z najurodzajniejszych krain świata starożytnego, później uległa zmianie na gorsze, ale wygląd fizjokratyczny jej północnej, t. j. właściwej Syrji, lepszy niż Palestyny.

Południowa część Syrji oparta o stoki Libanu i Antilibanu, zwała się w starożytności Celesyrją od nazwy greckiej: „Koile Syrie", Syrja wklęsła. Syrja jest ubogą w dopływy wody. Dwie rzeki Orontes i Leontes, trzecia niewielka Barade, nie starczą do nawodnienia kraju. Zato kraj obfituje w małe jeziora. Historja Syrji, wychyla się z mroków świata starożytnego bardzo wcześnie, bo już na 3.000 lat przed Chrystusem. Starożytna Syrja była zamieszkaną przez Aramitów na północ i wschód od Libanu, zresztą zaś przez Kanaanitów. Jedni i drudzy nie byli Semitami. Od dawna przez kraj przewalały się całą falą różne ludy, cała wędrówka ludów. I tak Chetowie, szczep bitny, zwani też Chitytami; po nich Syrję zajęli Assyryjczycy, potem Babylończycy, Persowie, wreszcie Aleksander Wielki. Królestwo Syrji pod Seleucydami istniało tu od r. 312 do r. 64 przed Chr. W r. 64 przed Chr. zajęli Rzymianie i panowali tu do r. 395 po Chr. Wreszcie po późniejszem tu panowaniu Persów, Arabowie

w roku 638. osiedlili się tu na stałe. Dopiero wystąpienie Mahometa z rodu Korejsza (stąd stronnictwo Koreiszytów) łączy arabskie plemiona i szczepy w jedną wielką spólnotę arabską i mahometańską zarazem. Mohamet pierwszy wprowadził przełom w wewnętrzne życie i duszę Arabów, z politeistów, szukających bóstwa w samym tajemniczym majestacie przyrody, w gwiazdach, uczynił ich monoteistami. Tak nauką swą Mohamet przeobraził część Wschodu, a poszczególne ustępy i sentencje tzw. suraty wzgl. sury, będące oryginalnym tworem Mohameta, a przypisywane Bogu, który je podobnie jak niegdyś Mojżeszowi, tak teraz Mohametowi objawił, złożyły się na Koran. Allah to Bóg, którego sobie wyobrazić nie można i nie wolno, stąd i zakaz obrazowego przedstawiania go. Wiara w nieśmiertelność, złe i dobre duchy, sąd ostateczny i t. d. podobne jak w judaizmie i chrześcijaństwie. Nadto wiara w kismet, przeznaczenie. Arabowie pod dynastją Ommajadów podnieśli Damaszek do godności swej stolicy, a Syrja była odtąd rdzennym ich krajem. Jednak pod późniejszą dynastją Abbasydów rozwój Syrji staje na martwym punkcie. W r. 987 podbił Syrję egipski kalif, jednak w r. 1078 przechodzi Syrja pod panowanie tureckich Seldżuków, potem Egiptu, poczem wreszcie na całe długie cztery wieki w r. 1517 pod berło sułtanów tureckich.

Od początku 12 wieku wyprawy krzyżowe do Ziemi Świętej kierowały się przez Syrję; całe wybrzeże syryjskie było świadkiem tej wielkiej i długiej, przeciągłej z przerwami walki.

Ostatnia wojna światowa przyniosła Syrji i Arabom zmianę polityczną i wolność. Ofenzywa wojsk angielskich i francuskich od strony Palestyny w drugiej połowie września 1918 r. przełamała front turecko-niemiecki. Dnia 1-go października tego roku wkroczyły wojska angielskie i francuskie do Damaszku, a dnia 12-go tegoż miesiąca część floty francuskiej zajęła port Tripoli, a jej załoga wkroczyła do miasta. Główny ton jednak nadawała tu generalna kwatera wojsk angielskich: „General Head Quarter", która niestety wysuwała tutaj politykę antyfrancuską. Przyłączyła się do tych politycznych tarć Anglji i Francji agitacja emira Fejsala, syn Husseina, pragnącego imieniem szeryfitów przyłączenia Syrji do królestwa Hedżasu. Zadanie to miał emir Fejsal ułatwione jako generał wojsk aljanckich, przyjaciel Allenby'ego i delegat Hedżasu, był jednym

z pierwszych z Wszecharabów z główną siedzibą w Damaszku, skąd prowadzili po całym kraju agitację wysłannicy Fejsala. Wynikiem tej agitacji było ogłoszenie emira Fejsala przez kongres syryjski w dniu 8 marca 1920 r. królem niepodległej w dawnych granicach Syrji, a więc wraz z Palestyną. Były to pierwsze skutki polityki angielskiej, skutki, których nie przewidywała i nie życzyła sobie bynajmniej Anglja.

Całą imprezę syryjską zlikwidował jednak gen. Gouraud, zająwszy dnia 24 lipca 1920 roku Damaszek, a za nim resztę kraju. Fejsal opuścił Syrję, zwracając swe ambicje do korony Iraku.

Mandantka, Liga Narodów oddała teraz Syrję pod opiekę Francji, która jako mandatarjuszka objęła kraj w posiadanie, zobowiązana jedynie do składania sprawozdań z opieki swej mandantce, jako dzierżącej władzę nadopiekuńczą. Wedle treści traktatu, Syrja i Palestyna są państwami suwerennemi, w rzeczywistości jednak mają one jedynie rozległą autonomję i trudno pomyśleć, by kiedyś Anglja i Francja, zwłaszcza pierwsza, dobrowolnie zrzekły się swej potężnej opieki.

Cała Syrja dzieli się jednak aż na pięć państewek, pozostających pod mandatem Francji. Pierwsze z nich, to mający już dawną od przeszło pół wieku autonomję Liban, stanowiący wraz z Bejrutem, Tripoli i doliną Bekaa tzw. Wielki Liban. To kraj, obejmujący największy odsetek chrześcijan i darzący Francję starą przyjaźnią, stąd też kraj ten jest właściwą bazą mandatarjuszki, jej fizycznem i moralnem przedmurzem na Bliskim Wschodzie. W obrębie tego kraju leżą nadto Sur, Sajda, Byblos, Baalbek; kraj obejmuje cały pas Libanu i ułamek Antilibanu.

Na północ małe państewko Alawitów. Stolicą tego państewka jest Lattakia; wymienić tu należy jeszcze nadmorski Tartus i dalej w ląd wsunięty Kalaat el Hosn. Pierwotna nazwa ludności tubylczej, to Ansarjowie. Dalej jeszcze na północ sandżak Aleksandrietty. Oryginalnem państewkiem, schowanem gdzieś w południowo-wschodnim kącie, jest utworzone z niedawnego emiratu „Dżebel Druz" Góry Druzów, państwo Druzów ze stolicą Suejdą. Druzowie to jedno z najwięcej wojowniczych ludów muzułmańskich.

Wreszcie piąte państwo, właściwe państwo Syrji nosi właściwą urzędową nazwę: Les Etats de Syrie, państwa syryjskie, to państwo Aleppa i państwo Damaszku, każde z osobnym gubernatorem i osobnym rządem. Państwem tem, a raczej państwami, rządzi Rada Związkowa raz w Damaszku, to znów w Aleppo. Twór zatem państwa tego dziwaczny; stolicą właściwie jest Damaszek. Każde z tych państw wysyła do boku Wysokiego Komisarza swych delegatów. Haut Commissair urzęduje stale w stolicy Wielkiego Libanu w Bejrucie, który jest właściwą stolicą tego całego dziwnego, a może cudacznego konglomeratu. Władza Wysokiego Komisarza Syrji, podobnie jak i Palestyny, nosi nieylko w sobie, ale i na sobie wiele blichtru nawet monarszego. Wszak Komisarz Syrji w swych nawet odezwach zwraca się do ludności jakby do swych poddanych: Nous Haut Commissair donnons à la connaisance i t. d. Wśród chrześcijan najwięcej tu Maronitów, rdzennych Syryjczyków, którzy w swoim czasie nie przyjęli Islamu; mieszkają w największej ilości w Libanie. Stąd też Liban jest największą, najpoważniejszą i najsilniejszą ekspozyturą, pomostem, po którym schodzą, spływają do kraju wpływy Europy, tak misyjnej jak i wszelkiej innej natury. Nazwa Maronitów wywodzi się od św. Marona, twórcy szyzmy od Kościoła z powodu sporu o naturę boską i ludzką w Chrystusie. Później jednak Maronici pojednali się z Kościołem i odtąd są unitami, zachowującymi własną syryjską liturgję, której Msza św. odbywa się w języku arabskim; nie uznają celibatu.

Oprócz tego istnieje tu sekta Melkitów, uznająca jak Maronici papieża, lecz stosująca liturgję bizantyńską. Nadto sekta katolicka chaldejska potomków starożytnych Babilończyków i Assyryjczyków, utrzymana przy Kościele rzymskim dzięki nadanym im przywilejom liturgicznym. Dalej Jakobici to również katolicy z liturgją syryjską. Są tu też Ormianie katolicy i unici obok ortodoksyjnych. Wyznania te i sekty mają tu swych patrjarchów, których siedziba jednak nie była zawsze stałą. Jak więc widzimy w Syrji pośród chrześcijan Rzym ma najwięcej zwolenników i sympatyków.

Jak świat chrześcijański tak i świat muzułmański przedstawia całą mozajkę wyznań i sekt.

Dzieli się on na dwa główne odłamy: sunnitów i szyitów. Pierwsi uznają, że prorok Ali był bezpośrednim następcą Mahometa, drudzy nie.

Odpowiada to podziałowi w chrześcijaństwie na uznających papieża i nieuznających.

Z pośród szyitów wyróżniają się najwięcej Metualowie, bo wyróżniają się fanatyzmem. Nie wpuszczą oni za żadną cenę żyda ani chrześcijanina choćby w największą nawałnicę deszczową pod swój dach, jeśli tylko ma na szatach kroplę deszczu; nie piją i nie jedzą z naczyń, z których pił lub spożył żyd lub chrześcijanin i nie pieką też chleba w ich piecach. W część rytuału wchodzi modlitwa, będąca raczej przedstawieniem teatralnem niż prawdziwą modlitwą. Modlitwie tej bowiem towarzyszy lament. Takim specyficznym dniem jest 10 dzień miesiąca muharram. Wtedy opłakując śmierć Husseina, płaczą w meczecie, wyrywają sobie włosy z głowy, nawet ranią się nożami i szpilkami. Wtedy to przez 10 dni nie zmieniają ubrania, bielizny, nie golą się ani strzygą i nikomu nawet z rodziny ręki nie podają. Panuje też w Syrji zapatrywanie między samymi sunnitami, że szyita gotów fałszywie przysiąc w sprawie przeciw sunnicie. Nadto zasługuje na uwagę druga dziwaczna sekta Ansarjów, zwanych też Nosairami, a również Alawitami, bardzo dzikich górali i rolników.

Dla nich Ali jest wcieleniem Boga. Częste bywają wśród nich małżeństwa ojca z córką, braci z siostrami.

Druzowie mają w swoich wierzeniach wiele elementów tak pogańskich, jak muzułmańskich i chrześcijańskich. Dalej Ismailowie wyznają wprost jakąś trójcę Boską i modlitwę kończą rodzajem znaku krzyża, oczywiście niechrześcijańskiego. Nadto sekta Wahabitów i Jazydjów.

Cała Syrja tzw. mandatowa, a więc obejmująca wszystkie państewka syryjskie, obejmuje obszar 150.000 km.^{2}, a więc sześć razy większy niż Palestyna; liczy według ostatniej statystyki francuskiej z 1928 r. przeszło 2.700.000 mieszkańców, w tem 500.000 chrześcijan i 17.000 Żydów. Z pośród chrześcijan najwięcej tu wyjątkowo na Wschodzie katolików, oprócz tego wielka ilość greko-ortodoksów, unitów, Ormian nietylko wyznania katolickiego, ale i ortodoksów, Maronitów których wyznanie jest

zbliżone do katolickiego i Melkitów; nadto istnieją tu sekty: chaldejska, jakobicka, nestorjańska.

Kraj ten zamieszkuje od kilku tysięcy lat lud koczowniczy, pasterski, „synowie pustyni", po arabsku „Bedowie", skąd powstała nazwa „Beduini". To szczep, który może nigdy nie był semicki, ale z przybyciem Arabów, zarabiał, zsemiciał. To lud przypominający prostotą obyczajów życie biblijnych pasterzy i patrjarchów. Kilka rodów stanowi plemię, a tych kilka tworzy szczep. Na czele plemienia stoi szeik, na czele szczepu emir. Ludy te żyją życiem prawie jednokomórkowem, odrębnem, wzajemnie się zwalczając, mordując i wybijając. Stąd też nie było u nich żadnej myśli, idei państwowej, a zarazem spokoju i kultury. Wśród ludów tych bywa kultywowaną idea zemsty jako prawo rodzinne i boskie. Zabicie członka jednego rodu czy plemienia prowadzi drogą wzajemności do zabicia członka przeciwnego rodu, plemienia, a że przy takim akcie zemsty nie obchodzi się bez przypadkowego czy rozmyślnego zabicia kilku innych, stąd znów rewanż i długoletnie wojny. Beduini też tworzą trzon ludności.

Ludność syryjska nie żyła nigdy w zgodzie z Turkami, etnicznie różnymi; uważała ich zawsze za najeźdźców i nieraz przeciw nim się buntowała. Historja turecka zna mnóstwo buntów nawet janczarów przeciw sułtanowi, zwłaszcza w Syrji. A Druzowie już w wieku XVII ze swym obrońcą i bohaterem narodowym Fahr ed din'em zbuntowali cały Liban i okręg Damaszku przeciw Turkom.

Dopiero teraz Syrja przeżywa okres zcalania się Syryjczyków, ku czemu pomocnym jest wspólny język arabski, zupełnie odmienny od języka tureckiego. Zatem politycznie panują tu jeszcze stosunki analogiczne do polskich, z czasów Piastów śląskich lub książąt mazowieckich. Francuzi nawet twierdzą, że oni pierwsi wyzwoliwszy Syrję z pod najazdu tureckiego, obudzili w tubylcach poczucie arabszczyzny i odrębności i pierwszy prąd niepodległościowy.

Tak więc Syrja i Syryjczycy to dopiero materjał na naród, to mozajka najrozmaitszych, a tylu religji, wyznań i sekt, jak może w żadnym innym kraju, a przytem nieodzownie i mozajka polityczna. Przy pomocy przeróżnych misji toczy się tu zażarta walka o duszę Syrji, czyli tzw. duszołapstwo religijne i nieod-

łącznie polityczne, rywalizacja dwóch kultur i dwóch orjentacji, francuskiej i angielskiej, walka o supremację w jednym i drugim kierunku. Anglicy niepomni tego, że właściwymi pierwszymi pionierami cywilizacji nietylko właściwej Syrji, ale i Palestyny, są Francuzi, że francuskie misje katolickie działają tu z przerwami już od wieku XIII, protestanckie zaś dopiero od 150 lat, robią cichaczem i z flegmą, ale konsekwentnie wszystko, by się stąd pozbyć swego europejskiego sąsiada.

A nie próżnuje tu i ukryta agitacja niemiecka, dążąca do poróżnienia Anglji z Francją. O tem mówią prawie głośno sami Arabowie syryjscy.

Na całym obszarze Syrji wyrastają tu i ówdzie na wzgórzach i skałach zamki i zameczki, dawne dzieło Krzyżowców. A jak kraj długi i szeroki, wyrastają na płaszczyznach odosobnione od wzgórz sine, ścięte stożki. To kratery licznych tu wygasłych już wulkanów.

Różnica pór roku występuje tutaj silniej niż w Palestynie. Zima jest bowiem stosunkowo mroźna, zimno przeciętnie dochodzi — 3^0 R. W północnej Syrji rok rocznie pada śnieg, mróz sięga do — 12^0 R., czasem i niżej; zima trwa tu kwartał. Oczywiście w południowej Syrji zima ta jest lekka, podobna do zimy palestyńskiej, a śnieg jest tu rzadkością.

Wiosna zaczyna się z początkiem marca, w południowej zaś części już w lutym, trwa do połowy maja, w którym zaczyna się już upalne lato, prawie bez deszczu, kończąc się z początkiem października. Upał dochodzi do 40^0 R. Klimat północnej Syrji jest zatem prawie kontynentalny.

Kraj posiada dwa duże porty, w południowej części Bejrut, północną część obsługuje Aleksandrietta.

Literatura o rzeczach Syrji jest bardzo bogata, a o ile chodzi o archeologję, jest ona bogatszą od literatury o zabytkach Palestyny, gdzie dopiero w ostatnich latach natrafiono na cenne wykopaliska, które może rzucą wiele nowego światła na odległe wieki. W Syrji nie potrzeba odgrzebywać tej przeszłości z pod ziemi; tu ona wprost uderza badacza, czy widza swym ogromem i potęgą.

Wszak Syrja wraz z kilkoma innemi krajami śródziemnomorskiemi była w starożytności środkiem ówczesnego świata,

około którego to środka jak osi obracały się dzieje całej ludzkości.

Tak więc staruszka historja ma tutaj wiele do opowiedzenia. Lecz literatura ta jest bogatą i objęła cały szereg tak naukowych, jak i opisowych dzieł jedynie we Francji, Włoszech, w Anglji i Niemczech. Natomiast polska syrjologja ogranicza się chyba do ogólnej nauki filologji orjentalnej na Uniwersytecie Jagiellońskim, zresztą zaś tylko do mało reprezentowanej literatury opisowej i to skromnej, ale i ta może się jeśli nie poszczycić to wykazać i pochwalić dość dawnym, bo jeszcze z pierwszych lat XIX wieku pochodzącym opisem Wacława Rzewuskiego pt.: „Podróż do Palmiry", drukowanym dopiero niedawno w „Dzienniku Wileńskim", i po wiekowej przerwie drugim najnowszym opisem prof. Bystronia pt.: „Wspomnienia Syryjskie". Żałować jednak należy, że prof. Bystroń ograniczył się do zwiedzenia tylko południowej Syrji i opisu tylko Bejrutu, Damaszku i Palmiry z zupełnem pominięciem Baalbeku.

Inne zresztą rzadkie opisy innych autorów mają raczej charakter dziennikarski.

Szkic niniejszy opieram, jak w rzeczach Palestyny, przedewszystkiem na własnych, bezpośrednich spostrzeżeniach. W podróży posiłkowałem się literaturą zagraniczną, a przedewszystkiem posługiwałem się urzędowemi biuletynami „L'Asie française" i statystyką „L'annuair de la Syrie et du Liban".

II.

Starożytna Fenicja.

Mijam graniczną komorę angielską, wreszcie takąż francuską, obie w tej samej wsi imieniem Nakoura i obie wprost zadziwiające delikatnością i elegancją w obejściu straży celnej. Staję w ścisłem znaczeniu Syrji, w jej nadmorskim skrawku, w granicach starożytnej Fenicji.

Tu już zgoła nowa, inna gama czaru i wrażeń. I inny koloryt. Wszak to przedemną starożytna Fenicja, ta, którą dotąd kiedyś, kiedyś chłopcem we śnie, lub w śmiałych marzeniach przez przymknięte powieki widziałem...

Gdy Palestyna przedstawia jedynie tylko wspomnienie i sentyment wieków bez materjalnych śladów przeszłości, bo zniszczyli ją do cna Rzymianie, nie pozostawiając dosłownie kamienia na kamieniu, tak, że do dziśdnia nie ostała się żadna ówczesna budowla z wyjątkiem podobno kilku relikwij, jak stajenka Betlejemska, grób Chrystusa, Łazarza, studnia Panny Marji, zupełnie inaczej ma się rzecz z zabytkami Syrji.

Syrja zachowała cały szereg największych w świecie budowli, ale nietylko największych, ale i najstarszych, a starszych od prawdopodobnie już dziś nieistniejących śladów przeszłości Palestyny, starszych o cały tysiąc lat. Dlatego też, gdy Palestyna jest dotąd przedmiotem wielkiego zainteresowania np. dla historji Kościoła, ale bez podkładu materjalnego, a nawet może i jego śladu, przeciwnie Syrja jest niewyczerpanem źródłem dla ścisłych badań naukowych, na pierwszem miejscu archeologicznych. Gdy w Palestynie wyobraźnia musi pracować nad odtworzeniem sobie obrazu jej jako starożytnej, tu w Syrji palcami dotykamy kolumn, nogami stąpamy po murach, stopniach, dawnych ołtarzach, liczących może do 3.000 lat.

Jadę początkowo wybrzeżem morskiem tak, że auto zaskoczone nieraz nagle łagodnym przypływem morza, wprost ślizga się po falach, to znów je przeskakuje.

O ile dotąd krajobraz od samego Betlejem był malowniczy, ale malowniczy martwemi kolorami, tak teraz krajobraz ten uzupełniony wszystkiemi żywemi kolorami coraz bujniejszej, bo większej i gęstszej roślinności, nabiera charakteru i nastroju wprost najcudniejszej, nie owej księżycowej, ale prawdziwym i pulsującym tętnem żywej i żyjącej bajki na jawie. I takim będzie ten obraz towarzyszyć nam do samych przeciwległych granic Fenicji.

Zrezygnowawszy poprzednio z zatrzymania się dla wypoczynku wśród urzędniczych, celniczych mundurów w minionej granicznej Nakourze, dysponuję postój w najbliższym starożytnym Tyrze, dziś z arabska Sur, a następnie w pobliskim starożytnym Sydonie, dziś z arabska zwanym Sajdą.

Oba prześliczne pejzażyki, jakby przeglądane kiedyś w książce z obrazkami kolorowemi. Lecz jedynie pejzażyki. Bo jakiż przeogromny kontrast między wspomnieniem tych niegdyś wielkich, bogatych i potężnych w starożytności miast, a dziś tylko zwykłych miasteczek, osad rybackich? Z dawnej świetności tego Tyru, założyciela dzisiejszej Marsylji, metropolji jeszcze potężniejszej Kartaginy, tych miast — ojczyzny najruchliwszych w starożytności Fenicjan pierwszych wynalazców szkła, purpury, alfabetu, monety, no i myta, pierwszych bankierów w handlu międzynarodowym i z dawnej legendarnej potęgi króla Hirama, który Morze Śródziemne uczynił wprost jeziorem fenickiem, a jego żeglarze pierwsi przedarli się aż za słupy Herkulesa, dziś ani śladu. Ledwie trochę bardzo malowniczych ruin.

Dzisiejszy Tyr i Sydon nie są nawet cieniem tamtych starożytnych. Niemym sfinksem Tyru a dowodem i również niemym świadkiem tej przeszłości i jej znikomości, to niedalekie miejsce i głazy grobu Hirama, jak również jakby porozrzucane, tułające się po polach sarkofagi i rzeźby. Przewodnicy jak przewodnicy — bo gdzież ich tu brak — odznaczają się i tu fantazją, bo jeden pokazując mi wybrzeże koło Tyru, inny znów koło Sydonu, prawie równocześnie, bo tego samego dnia, starali się mię przekonać, że właśnie w tem miejscu wieloryb na rozkaz

Allaha wyrzucił Jonasza ze swego wnętrza na wybrzeże morskie. Wedle nich ryba wymiotowała ze siebie Jonasza. Nie brak jednak i innych komentarzy o owem wymiotowaniu.



Oaza w południowej Syrji.

Tu więcej niż w Palestynie rozkoszuję się widokiem pól uprawnych i podobno żyznych, winnic i gajów.

Wchodzę i przechadzam się w cieniu gajów pomarańczowych, oliwkowych. Szczeroszmaragdowy, to znów na przemianę

szafirowy cień morza nęci. Trudno oprzeć się pokusie; wskakuję w fale, a nawet nurty już dawno, bo od tygodnia niewidzianego prawdziwego, niemartwego morza. Przedemną wychyla się z fal słoneczna wysepka z resztkami wysokich murów starożytnego Aradu. Cudny widok w samo południe rozsłonecznia się, bije wszystkiemi blaskami w oczy. Wpatrzony w ruiny starożytnych murów zauważam jednak ku memu niedowierzaniu, że fala przypływu, dotąd umiarkowana, łagodnie uderzająca o moje plecy, to znów piersi, nagle jakby wyolbrzymiała i zdaleka pędzi ku mnie. Spostrzegłszy, że pływam między malowniczemi wprawdzie urwiskami, ale w każdym razie urwiskami, co tchu starczy, płynę z powrotem do brzegu, a natrafiwszy na grunt, pędzę wśród skał, kamieni, kalecząc sobie do krwi kolana i nogi, na brzeg. Wpadam na piasek wybrzeża, tu fala mię dosięga, ale na szczęście nie pełna, ale kończynami swej rozpienionej jakby z gniewu grzywy i na szczęście już tylko na piasku. Daję się już porwać i rzucić dalej na piasek wybrzeża. Oglądam się i stwierdzam ku memu przerażeniu, że poprzednia powierzchowna rachuba mię zawiodła, gdyż fala przypływu okazała się niestałą i przed chwilą właśnie z całą wściekłością wpadła o kilka metrów głębiej w ląd. Teraz dopiero oceniłem grozę mego przed chwilą położenia zdala od brzegu wśród ostrych cyplów. Nie można ufać przypływowi morza i jego wymiarom...

Przyszedłszy do tchu i ubrawszy się, po takim po podróży wypoczynku, teraz dopiero musiałem odpocząć.

Wielkie piękno tej części Syrji leży w niezwykłych warunkach naturalnych w samem położeniu, ujęciu w najszacowniejsze ramy szafiru najcudniejszego, najbłękitniejszego ze wszystkich mórz świata i szmaragdu niegdyś szumiącego cedrami Libanu, którego szczyty są wyższe od naszych Tatr i Giewontu, a tak wysokie jak Gerlach i Łomnica, że zdają się nieba dotykać.

Mijając od czasu do czasu cyple skaliste, wcinające się ostro w morze, które je zarzuca i otacza koronkami swej piany, dojeżdżam do Bejrutu.

Jak Jerozolima poza europejską dzielnicą jest typowem miastem wschodniem, tak Bejrut w tym samym stosunku jest miastem europejskiem.

Starożytna Colonia Julia Augusta, Felix Berytus, pięknie z jednej strony nad samem morzem a z drugiej strony na stoku

górskim położony, liczy dziś wedle ostatniego spisu ludności 80.000 mieszkańców, przeważnie chrześcijan i jest wielkiem ogniskiem handlowem, a nadto siedzibą Wysokiego Komisarza Francji, przemawiającego do ludu z przydrożnych afiszów nie po republikańsku per „moi", ale jako „Nous Haut Commissair de France". A mandat tutejszego komisarza rozciąga się na całą Syrję, stąd też Bejrut błędnie jest pojmowany jako stolica całego kraju, a więc stolica wszystkich tak zwanych państw syryjskich.

Długie, kilometrami ciągnące się molo otwiera szeroki widok na morze, nad którem huczą zabawą kawiarnie i wszelkie lokale rozrywkowe, a plaża roi się od kąpiących. Miasto znane nam z krótkiego tu przejazdem z El Arish pobytu Słowackiego, który tu właśnie tworzył swego „Ojca Zadżumionych". Bejrut jest największem środowiskiem kulturalnem Syrji, posiada bowiem obok wielkiej liczby różnych szkół europejskich aż dwa uniwersytety, oczywiście skromne. Oba są zresztą organami misji chrześcijańskiej. Jeden jezuicki, a więc katolicki, pod wezwaniem św. Józefa, obejmuje wydział filozoficzny, teologiczny, medyczny a i codopiero utworzony fakultet prawniczy, na którym wykłada się wszelkie prawo krajowe muzułmańskie w języku arabskim. Zresztą obowiązuje tu oczywiście język francuski jako wykładowy. Podkreślić należy, że inicjatorem tego uniwersytetu jest Polak, według niektórych Litwin, Jezuita, O. Ryłło, dziś tu najważniejszą odgrywający rolę.

Drugi uniwersytet, to amerykański, protestancki. A więc są to uniwersytety dość szczególne: wyznaniowe.

Podobnie jak Jerozolima, ma Bejrut ogromną ilość kościołów, więcej niż np. trzy razy większy Kraków.

Oprócz O. Ryłły mieszka tu i pracuje drugi Polak, w każdym razie za Polaka się oficjalnie podający, Kazimierz Srebrny (Silberstein) z Warszawy, akcjonarjusz towarzystwa „Pol-Or", Societé de commerce Polono-Orientale, dyrektor tego towarzystwa w Bejrucie dla Wschodu, towarzystwa będącego filją centrali warszawskiej (przy ul. Moniuszki). Dodatnie wyniki działalności tego towarzystwa w całej Syrji stwierdziłem osobiście. W wielu miastach Syrji spotkałem propagowane tu wyroby polskiego przemysłu tekstylnego i drzewnego, a więc wyroby wełniane z Łodzi, Białegostoku i Bielska, meble gięte z fabryki w Wojciechowie z marką angielską: „Made in Poland". W han-

dlu wymiennym otrzymuje Polska od Syrji wzamian wełnę, bawełnę i surowce do wyrobu farb. Funkcje radcy handlowego na terenie Syrji i Palestyny sprawuje w Bejrucie i Jaffie Lwowianin Dr Bernard Hausman.

W przejeździe przez peryferje miasta do Aleppa uderzył moje oczy i uwagę jakby stan oblężenia przedmieść, w szczególności na jednej z ulic widok koszar francuskich, w których bramie wjazdowej ujrzałem dwie armaty z załogą, armaty o lufach wycelowanych w ulice arabskiego przedmieścia.

Na północ od Bejrutu nad brzegami rzeczki Lycos, dziś zwanej Nahr el Kelb, Psią rzeką, wśród skał odszukuję na ich prostopadłych ścianach napisy nietylko greckie, czasem łacińskie, ale i klinowe hieroglify obok wrzynanych rysunków różnych bogów i władców Fenicji. Nieco na północ w starożytnem świętem Byblos, obecnie Dżebejl, oglądam odkryte w r. 1922 przez Monteta wykopaliska nekropolu i świątyni egipskiej.

Wracam z tej wycieczki do Bejrutu; droga do Aleppa wypada mi przez szczyty prawie tu już wyłysiałego z cedrów Libanu.

Bejrut opuściłem w sam 35-stopniowy skwar południa, wpatrzony w mieniące się w złotym blasku słońca szczyty Libanu, zdające się dotykać nieba, na których widok wyrywał mi się wprost okrzyk zachwytu. Ogarnęła mię wprost niepojęta radość, że właśnie wybieram się na ich zdobycie, nieodzowne, by tą drogą dostać się do Aleppa.

Najlepsze, jakie mogłem wybrać w Bejrucie auto, wspina się na pierwsze stoki, przełęcze, urwiska strome, bezleśne, woniejące ziołami górskiemi, mknie ponad przepaściami. Za nami, to znów obok nas na zachód u naszych stóp Morze Śródziemne. Mijamy najniebezpieczniejsze skręty, szofer Arab, najlepszy, jakiego również mogłem wybrać, niezrównany nowoczesny farys, opanował z największą sprawnością swego na gumach rumaka, tak pewny siebie, że jedną ręką z fantazją wymachując, począł zrazu zcicha nucić a potem głośno śpiewać i wykrzykiwać na powitanie coraz to nowych karkołomnych zakrętów i niebezpieczeństw. Lecz w tem o zgrozo, na szczycie drugiego stoku pod kątem ostrym naszej drogi prawie wpadamy na leżące na ziemi, odwrócone do góry kołami pogruchotane auto.

W jednej chwili mój szofer zatrzymuje auto. Obok auta, które tutaj śmiertelnego wywróciło kozła, przygniatając pasażerów swym ciężarem, ani żywej duszy.

Widocznie katastrofa miała miejsce przed kilku dniami.

A więc memento! Widok ten przyprawia mojego szofera, który zbladł jak płótno, o refleksję, jedzie ostrożniej, bez śpiewu, kierownicę trzyma obiema rękami, tem więcej, że o kilka kilometrów dalej widzimy drugie podobne auto, przewrócone bokiem, ale zato nie na drodze, lecz na jej stoku, tuż nad ogromną przepaścią.

Drugie memento. Wreszcie po czterech godzinach tej wprost strasznej jazdy przebywamy część górskiej drogi, stając na najwyższym szczycie, owitym w obłok, jak w płaszcz z mgieł utkany na wysokości przeszło 2000 metrów, a mając na lewo od siebie wysoki na 2608 metrów dumny szczyt Dżebel Sannin, również w obłoku, jak w czapce białej i jeszcze dumniejsze od strony południowej szczyty Hermonu, wysokości do 2759 metrów, naprzeciw siebie Antiliban, a za sobą w dali na zachód głęboko w dole ogromną szafirową taflę Morza Śródziemnego, srebrzącą, to znów złocącą się w blaskach chylącego się już słońca, a nad nami daleki, czysty lazur nieba.

A owe szczyty gór czyż nie są podobne do owych szczytów w naszem życiu, do tej ułudy, którą każdy choćby raz w życiu już, już chwyta i zdaje się sięgać do samego nieba. A gdy stanie u tego szczytu, widzi, że u właściwego celu jeszcze nie stanął, że prawdziwy cel i prawdziwe niebo jeszcze daleko, że w drodze na niejedno jeszcze natrafi memento. I taką jest już owa natura ludzka, nigdy niezadowolona...

III.

Baalbek.

Z zachodem słońca, owiani wieczornym, górskim chłodem, zjeżdżamy w dolinę. Lecz o przejmującym chłodzie, choć niezaopatrzony w żaden burnus, wkrótce zapomniałem, bo oto do auta mego przysiadły się dwie zgrabne, eleganckie, młode Arabki, całe zawoalowane jak czarne domina. Usiadły po obu stronach, częstując mię papierosami. Na odpowiedź, że nie palę, same zapaliły papierosy, z których wydobywający się odór wydał mi się za silny. Uczuwając jakby powolne odurzenie, w obawie, bym nie zasnął, a w jeszcze większej obawie i podejrzeniu, że może jestem upatrzoną ofiarą ich jakichś złych wobec mnie zamiarów, prawie ostatnim wysiłkiem woli krzyknąłem na szofera, by natychmiast zatrzymał auto i prawie równocześnie przez kolana mych towarzyszek i mimo ich oporu wyskoczyłem na drogę, a następnie usiadłem obok szofera.

W Zahle wysiadła jedna z Arabek. W czasie krótkiego w Zahle postoju napawałem się widokiem olbrzymich i smakiem przewybornych miejscowych winogron, mających zasłużoną sławę najlepszych w świecie. Olbrzymie kiście, długości dwudziestu kilku centymetrów, a wagi przeszło jednego funta, których grona rozpływają się w ustach smakiem najlepszej ambrozji. Nie nadają się jednak do transportu i eksportu, w czasie którego grona pękają. Dlatego najwięksi smakosze winogron z najodleglejszych stron tutaj na miejsce przybywają umyślnie w czasie winobrania. Teraz droga do Baalbek.

O zmroku, a na jaką godzinę jazdy przed tem miasteczkiem, spostrzegam w świetle lamp automobilu dwie sylwetki żołnierzy francuskich. Jeden konno, drugi pieszo. Na widok automobilu zlekka zdejmują karabiny, zatrzymują auto, badają tegoż numer, legitymację szofera i puszczają w dalszą drogę. W nie-

spełna 3 kwadranse, a więc o milę od Baalbeku, z daleka dostrzegamy drugi patrol, a ten już z karabinem maszynowym na mule. Wszyscy żołnierze zdejmują karabiny najeżone bagnetami z ramion, karabinami zagradzają w poprzek gościniec. Znów ta sama ceremonja badania legitymacji szofera, lecz już długa i ostra. Z jednej strony pada do auta światło rażące. To dowódca patrolu, ogląda nas wszystkich. Z prawej strony, t. j. wprost na mnie, również pada światło lampki elektrycznej. Patrzę, a tu przedemną a raczej nademną stoi ogromny murzyn w bajecznie kolorowym mundurze i zawoju na głowie. Pokazuje białe kły, bez ceremonji układa karabin na brzegu mego siedzenia, kierując bagnet w moją stronę, opiera się i przypatruje mi się badawczo, celując we mnie wprost swemi ogromnemi białkami, poruszając wargami. Może to nawet ludożerca z Senegalu...

Dowódca w języku arabskim ostro bada szofera, łatwo poznać, że czyni mu jakieś zarzuty, żołnierz arabski bez ceremonji, co tu jest rzeczą zresztą niezgodną z Koranem, podnosi siedzącej w aucie Arabce welon do góry i w języku arabskim coś wykrzykuje, każe wysiąść z auta, bierze miarę jej wysokości i wpuszcza z powrotem do auta. Nie badając reszty pasażerów patrol puszcza nas dalej. Na moje zapytanie wyjaśnia dowódca, że z powodu częstych tu napadów Beduinów władze francuskie i arabskie zmuszone są celem oczyszczenia Syrji z bandytyzmu kontrolować wszystkie drogi.

O godzinie 9 wieczorem jestem w Baalbeku. Zajeżdżam do hotelu Continental. Wchodzę do halu, gdzie zastaję część gości, skąd też otwiera się widok na dalsze sale, również pełne gości. Tu służący zgłasza mię gospodarzowi: Gość z Bejrutu. W tej chwili część służby w czerwonych frakach wybiega do mnie, druga do auta, jakby to nie gość, ale jaki krewny gospodarza z dalekich stron przyjechał. W głębi sali jak na komendę w tej chwili zagrała muzyka. Lecz stanąwszy na progu głównej sali poczułem jakieś niesamowite swędzenie w nozdrzach. Po chwili — tu sit venia verbo, a raczej słownictwu Lindego — czchnąłem silnie, wkrótce zaś drugi i trzeci i tak dalej razy, wywołując tem jakąś wśród gości niezwykłą uciechę. Zażenowałem się, z powodu takiego introitus, w obawie, że w ten sposób stanę się niemożliwy w towarzystwie, dziękując jednak Bogu

w duszy, że goście nie czują się zgorszeni podobnem mojem zachowaniem się.

Wpadam na myśl, że to widocznie działają figle owych tajemniczych w drodze domin. Wtem podchodzi do mnie, jak się pokazało, sam właściciel hotelu, starszy Arab w zielonej szacie, przepasanej czerwoną wstążką, z niebieskim turbanem na głowie, w towarzystwie młodzieńca i podlotka, niosąc coś uroczyście na tacy. Staje przedemną, wyprostowuje się jakby z pozą, poczem kłania się i wita, podając rękę imieniem domu i gości; Arab chrząka i doniosłym głosem wypowiada przemowę trochę po francusku, a trochę z angielska, wtrącając i słowa niemieckie, z której dowiaduję się a częścią domyślam się, że Baalbek nie przyjmuje gości wedle gdzieindziej utartego zwyczaju, chlebem i solą, ale — co kraj, to obyczaj — cebulą i solą. Nakoniec dowiaduję się, że nietylko ja padłem ofiarą tej przedziwnej choroby, czy przypadłości, ale i prawie wszyscy bawiący tutaj goście, przybywający z tamtej strony Libanu, z powodu gwałtownego przejścia z temperatury gorącej w temperaturę tych wysokich gór, a że przybył im nowy towarzysz niedoli, więc stąd radość. Prosi mię zatem, bym spożył całą ofiarowaną mi ogromną cebulę, jako nalepsze remedjum na katar.

Dostaję się w towarzystwo mięszanej narodowości, które zasypuje mię przeróżnemi pytaniami, jakby z jakiego kwestjonarjusza. Przysuwa się do mnie jakiś młodzian angielski z Baedeckerem pod pachą i zadaje mnóstwo pytań pod adresem Europy, w której nigdy nie był, a do której teraz właśnie jedzie. Do młodziana a pośrednio do mnie, przysiada się jego ojciec. Po chwili dowiaduję się, że młodzian ów, to świeżo upieczony maturzysta z australskiej Sydney, zaś jego ojciec, to tamtejszy gubernator angielski. Maturzysta jadący na studja uniwersyteckie do Oxfordu, uradowany spotkaniem i rozmową ze mną twierdzi, że Polska to kraj podbiegunowy i usiłuje to dowodzić etymologją nazwy: Poland. Szczyci się też znajomością historji powszechnej i znajomością imienia jednego z królów polskich, Kazimierza Wielkiego, pogromcy Turków pod Wiedniem, gdzie jednak przy podziale łupów został przez Austrję oszukany, przydzielono mu bowiem niewolnicę Esterę z Sziras, która po zatwierdzeniu podziału okazała się ślepą. W tem wszystkiem przyta-

kuje synowi przysłuchujący się rozmowie gubernator. Sam osławiony historyczny powieściopisarz Braun nie wymyśliłby bardziej frapującej historji. Mimo to jednak radowałem się i temi wiadomościami i uznaniem młodego Anglika dla króla polskiego, jakiegokolwiek jego imię, za odsiecz wiedeńską i tak ucieszną a niepozbawioną prawdziwej w historji analogji koncepcję o oszustwie, czy niewdzięczności Austrji.

Nazajutrz obudził mię cudny ranek. Pierwsze moje kroki oczywiście na sławne ruiny Baalbeku. Baalbek, to chyba największe w świecie ruiny, większe, niż ateńskiej Akropolis lub rzymskich zabytków, większe, niż ruiny Palmiry, jakkolwiek od nich późniejsze, młodsze.

Fenicki Baalbek, a grecki zasymilowany Heliopolis, miasto boga słońca, Baala, który w przyjętej ofierze tyle tysięcy młodzieńców i dziewic żywcem w swoim piecu pożarł, to ostatnia granica, do której dotarło państwo Salomona na północ, to niezawodnie ów Balamon Judyty, przeszedł później pod panowanie rzymskie, potem arabskie, wreszcie tureckie, przez jakiś czas był w rękach krzyżowców, którzy pierwsi odkryli dla Europy te ruiny. Stąd też w niezwykle dobrze zachowanych ruinach mięszanina różnych stylów.

Dziś pod mandatem i troskliwą opieką Francji. W historji chrześcijaństwa pamiętne to miasto, dziś wioska, misją św. Jana Chryzostoma, śmiercią męczeńską św. Eudocji i św. Gelazyma z rąk pogan. Już z daleka z pośród drzew i ogrodów, dawnych gajów świętych widoczne olbrzymie, cyklopowe mury baalbeckiej Akropolis, a na nich dominuje prawdziwa ozdoba ruin, las kolumn. Pierwszem odkopaniem i wydobyciem ruin z piasku i mułu zajęła się paryska Akademja w r. 1900. Były one też przedmiotem szczególniejszego zainteresowania b. cesarza Wilhelma, który je tu długo zwiedzał i badał w r. 1898.

Akropolis leży w dolinie, zajmuje obszar 300 metrów długości, szerokości około 200 metrów, a więc obszar większy od rynku krakowskiego, a tak duży, jak płaszczyzna Wawelu. Wysokie, a czterdzieści metrów szerokie schody prowadzą do głównego wejścia, Propyleji, prowadzących do wnętrza zamku i świątyń, większych niż ateński Partenon. W przedsionku, atrium, uderza posąg Jowisza w postaci młodzieńca w pancerzu, z harapem w prawicy na wzór egipskich faraonów, a w le-

wej ręce dzierżący piorun. Przez przedsionek, następnie przez drugą i trzecią bramę dostaję się na dziedziniec zamkowy przed starą bizantyńską bazylikę. Bazylika o trzech nawach została wzniesioną przez cesarza Teodozjusza około r. 377 po Chr.

Dalej za bazyliką wznoszą się okazalsze, świątynie, Jowisza i Bacchusa, wcześniejsze, starsze od bazyliki o cały wiek.

Świątynia Jowisza w otoczeniu ogromnego, perystylu. Perystyl w greckim, korynckim stylu, składa się z kilkudziesięciu wysokich kolumn, tworzących wspaniały portyk, wysokości przeszło dwudziestu metrów. Najokazalszą jest świątynia Bacchusa, skromnie ukryta na samym końcu Akropolisu, za świątynią Jowisza. Jest ona też najlepiej utrzymana ze wszystkich trzech. Świątynię tę miano początkowo za świątynię Jowisza, a dopiero ostatnie wykopaliska i odkrycia wykazały niesłuszność tego mniemania.

Z czterdziestu sześciu kolumn tej świątyni zachowało się dotąd dziewiętnaście z bogatego różowego egipskiego granitu z Assuanu. Resztę wywieziono do Luwru, do rzymskich i berlińskich muzeów, lub zniszczono. Zresztą niedawno jeszcze mieszkańcy Baalbeku używali części tych kolumn do wyrównywania, walcowania dróg, a nawet wygniatania, t. j. do młócenia zboża.

Wyróżniającą się tę tutaj świątynię ożywia i samo wnętrze z mnóstwem posągów, liczne rzeźby i napisy.

Wszystkie te trzy świątynie noszą oddawna nazwę Trylitonu.

W tem właśnie miejscu wznosiła się świątynia i wznosiły się ołtarze ku czci Baala, przez Fenicjan Elem zwanego, czczonego początkowo przez nich i Babilończyków, a wreszcie uznanego za boga semitów. Panowanie tego boga było zatem rozległe. Jemu to codziennie składano dwanaście ćwierci mąki pszennej, czterdzieści owiec i sześć barył wina. Po złożeniu tych ofiar przez lud z całego kraju, arcykapłan w oczach tegoż ludu zamykał świątynię, zapieczętowując bramę pierścieniem samego króla, który pierścień odbierał w przechowanie. Nazajutrz kontrolor królewski stwierdzał, czy pieczęć nienaruszona i otwierał bramy świątyni ludowi zgromadzonemu. Oczom ludu przedstawiał się ołtarz poprzedniego dnia zapełniony ofiarami, dziś jako pusty, opróżniony przez Baala. Lud uradowany, że ofiara

została przyjętą, tem żarliwiej się modlił. W rzeczywistości jednak istniało pod ołtarzem tajemne wejście, którem w nocy kapłani wraz z żonami i dziećmi wchodzili do wnętrza, ofiary częścią na miejscu zjadali, częścią zaś zapełniali niemi swoje spichrze, gromadząc ogromne majątki, podczas, gdy lud pobożniał i ubożał.

Ale Baal przyjmował z przyjemnością i okrutne ofiary w młodzieńcach i dziewicach raz na rok i te rzeczywiście ginęły na ołtarzu w ogniu. Wreszcie na samym końcu Akropolisu, w północno-zachodnim kącie znajduje się skromny, stary meczet arabski.

W zachodniej stronie murów dominuje ogromna kwadratowa wieża, której podstawa mierzy około 30 metrów kwadratowych. Wieża ta, pochodzenia i stylu arabskiego, nosi nazwę cytadeli.

Pod samemi cyklopowemi murami znajdują się stare również składy, magazyny, piwnice i stajnie.

Pierwotne ruiny są pochodzenia fenickiego, stanowiły one podbudowę dla greckich a wreszcie rzymskich budowli, poczem przyszła kolej na arabskie mury i baszty. Stąd też mamy tutaj aż cztery uwarstwowienia ruin. W samych murach i basztach otaczających Akropolis znajdują się dawne sale i cele. To późniejsze więzienia tureckie, nieme świadki niejednej męczeńskiej sceny i okrucieństwa bisurmanów nad wziętymi do niewoli krzyżowcami.

W cokole tych wspaniałych ruin znajduję olbrzymie bloki. Nie chcę wprost wierzyć, bo widok tych gigantycznych bloków wydaje mi się złudzeniem. Przecieram oczy i stwierdzam przy pomocy metra długość trzech bloków kamiennych w cokole po 20 metrów, zaś grubość względnie wysokość po blisko 4 metry, i to nie na samej ziemi, ale dość wysoko na innych głazach ułożonych, wprost niezwykłe, nigdzie niewidziane monolity, powtarzam cyklopowe kamienie, cyklopowe mury.

Ciekawi, wielcy ludzie i ciekawe, wielkie dzieje!

I chyba rzeczywiście cyklopy postawiły Akropolis, cyklopy zarówno siłą fizyczną jak i rozumem i sztuką. Mury te otacza całe mnóstwo najfantastyczniejszych legend. I tak wśród ludu krąży tu dotąd legenda, że bloki te znosiły cyklopy sprowadzone przez Fenicjan z greckiego archipelagu, to znów,

że tu właśnie istniał ów mityczny świat olbrzymów, wielkoludów. Biegnę do opodal wznoszącego się kamieniołomu, pamiętającego podobnie, jak i same ruiny, króla Hirama, Salomona i na miejscu wśród wielu innych ogromnych bloków znajduję jeszcze większy od tamtych trzech, olbrzymi blok granitowy. Mierzę dokładnie, bo sam własnym oczom nie chcę wierzyć. Długość 22 m., dosłownie dwadzieścia dwa metrów, szerokość, względnie grubość 5 metrów, a wysokość 6 metrów! Takich kolosów nie widział żaden choćby najdalszy zakątek świata, nie oglądała żadna z budowli świata, chyba w opowiadaniu. A tu na jawie, w rzeczywistości, w otwartem polu w kamieniołomie, bez żadnej opłaty wstępu. Widocznie jednak kamień był za wielki, a ciężar przeszedł siły nawet cyklopów, skoro tu w pustkowiu, jakby bezradne go porzuciły.

A może świątynię budowali swoim bogom rzeczywiście Giganci, przedkowie ludzi, sami nadludzie lub uproszeni Tytanowie, przodkowie samych bogów?

O kilkaset kroków na południe od Akropolis znajduję ruiny małej, ale pięknej świątyni Venus, przez chrześcijan przechrzczonej dziś na świątynię św. Barbary.

Praca archeologa tu wielka, bo Baalbek to olbrzymie mauzoleum pamiątek starożytnej architektury, konstrastującej z teraźniejszością, to prawdziwa wizja starożytności. Opiekę nad nim sprawuje obecnie osobny inspektorat wykopaliskowy dla Syrji, z uczonym M. Brosse'm na czele; ma on chronić ruiny przed zniszczeniem przez czas, wpływy atmosferyczne i przed barbarzyńską nieraz ręką ludzką.

Samo miasto niegdyś ogromne, potężne, miasto słońca, to dziś tylko wioska.

W samych murach olbrzymich ruin dziś tylko trawa porasta, w miejscu, gdzie niegdyś u stóp świątyni tłoczyły się rozmodlone na głos tłumy i panował gwar, zalega dziś cisza, przerywana nietylko w nocy, ale czasem w dzień, wyciem zbłąkanych szakali.

Z żalem opuszczam ten czarujący pięknością, a tak mało znany zakątek świata. Czas w drogę do Damaszku.

IV.

Damaszek.

Jadę do Damaszku, a więc znów przez Zahle, skąd wjeżdżam w góry Antilibanu.

W połowie drogi pęka w aucie koło i okazuje się defekt motoru. Przymusowy kilkugodzinny postój w samych odludnych górach. Wykorzystuję postój i przy pomocy planu podręcznego i przewodnika Araba, zapuszczam się w podnóża Hermonu.

Tu odszukuję oddalone o kilka kilometrów źródła Jordanu. Sączą się one tu z pod patyną mchów pokrytych skał.

U zbocza góry natrafiłem w skale na grotę, szczególne mieszkanie pustelnika i na samego zakonnika-pustelnika. Samotnik ten odziany tylko skórą jagnięcą, a więc jak gdzieindziej mówi o niektórych mieszkańcach Syrji prof. Bystroń, w stroju Jana Chrzciciela. Widocznie życie klasztorne było dlań za gwarliwe, bo wybrał w odludziu pustelnię jako domicyl.

Długa a raczej wysoka, ponad głowę sięgająca laska, u samej góry z poprzecznym drzewcem, a więc w kształcie krzyża, dodawała temu starcowi o długiej, siwej brodzie, jakiegoś niesamowitego, ale wprost biblijnego uroku.

Zagadnięty przezemnie, nieznając żadnego języka europejskiego, ale zato kilka słów łacińskich, przywitał mię jedynemi słowami: „Anachoreta sum", a pożegnał hasłem swego życia: „Laudetur Iesus Christus". Z całej z nim rozmowy, zaprawionej słowami arabskiemi i greckiemi i ormiańskiemi, zrozumiałem jedynie, że jest wielbicielem św. Franciszka z Asyżu i że jest Maronitą. Żywi się wyłącznie mlekiem z chowanej przez siebie kozy, korzonkami i jagodami leśnemi. Jest przytem widocznie znachorem, bo okoliczni mieszkańcy zachodzą tu po

zioła lecznicze, za które świątobliwy mąż nie przyjmuje żadnej zapłaty, ani w pieniądzach, ani też w naturze.

Z towarzyszącym mi Arabem rozpaliłem nad strumykiem Jordanu ognisko, piekąc „batata", t. j. nasze zwykłe „perki", ziemniaki, do których jedyną i najsmaczniejszą przyprawą była jedynie sól, szczodrobliwie udzielona nam przez pustelnika.

Używszy krótkiej w samem źródle Jordanu kąpieli, pożegnawszy pustelnię i jej mieszkańca, wróciłem do mego auta, którego naprawę właśnie już kończył szofer, sam będący sobie mechanikiem.

Zdążamy do Damaszku. Szofer pokazuje mi po drodze miejsce, gdzie wedle tradycji miał Szawłowi ukazać się Chrystus.

Pod wieczór wita nas zdaleka ogromny bukiet, czy wieniec ogrodów, a z pośród nich trikolora francuska.

To Damaszek i zdala widoczna cytadela.

Damaszek, po arabsku Damas, liczący 180.000 mieszkańców, to jedno miasto ogrodów, ogrodów i ogrodów. I chyba w całej Syrji niema tyle ogrodów, ile ich właśnie jest w Damaszku, na wielkiej przestrzeni rozbudowanym.

Dopiero z ich ukrycia zdala wyglądają za cytadelą domy, wille, pałace, konaki, seraje, zamki, zameczki, meczety i las strzelistych minaretów, wychylają się z pośród egzotycznej zieleni i zapachu cyprysów, pinji, drzew pomarańczowych, oliwkowych, daktylowych, figowych, które tu zresztą rosną wzdłuż trotuarów, tworząc cudne aleje. Figi dojrzewają i zwisają swobodnie na ulicy z drzew, lecz nikt nie zerwie nawet w nocy ani jednej.

Damas jest siedzibą wilajetu, a więc wali'ego, w rodzaju naszego wojewody, a co najważniejsze, posiada wszechnicę arabską, „dżamija", z wyłącznym językiem arabskim wykładowym. Damas jest też siedzibą promieniującej stąd na całą Syrję Akademji, w rodzaju naszej Akademji Umiejętności. Jest ona akademją wyłącznie arabską, „al-madżma al-ilmi alarabi". Jej członkiem honorowym jest profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr Tadeusz Kowalski, jedyny w całej Polsce wykładający profesor filologji orjentalnej, a jeden z kilku zaledwie w Polsce orjentalistów.

Damaszek posiada i słynie ze swych bogatych wschodnim przepychem kawiarń i najbogatszych w całej Syrji, a podobno

nawet w całej przedwojennej Turcji, ogromnych bazarów. Do dziśdnia wyrabia sławne jedwabne tzw. damasceńskie jedwabne tkaniny, w średniowieczu zaś słynął z wytwórni najlepszych



Dom w Damaszku.

prawie kształtu półksiężyca, damasceńskich szabel, dziwerowanych w żyłki i kwiaty.

Tym razem nie mieszkam w hotelu europejskim, lecz w arabskim, pragnąc poznać bliżej zwyczaje arabskie.

Nad ranem budzi mię szelest. Patrzę, a tu o zgrozo! Na mnie wyskakuje długa na jakie 30 cm. jaszczurka, a za nią druga i trzecia i dalejże harcować po prześcieradle, które tu zastępuje kołdrę lub kocyk, a z prześcieradła wybiegają na ścianę, nawet na taflę lustra, z lustra na moje ubranie, a za niemi inne większe i mniejsze.

Błyskawicznie wyskakuję z łóżka, jednym ruchem otwieram drzwi, wybiegam na kurytarz, wywołuję gospodarza i opowiadam mu wszystko, pewny, że ten conajmniej się zdziwi. Lecz gospodarz i reszta nadbiegłych domowników wyjaśniają z uśmiechem, że to najniewinniejsze, a pożyteczne zwierzątka, bo wyławiają w domu komary, muchy, a jeśli w nocy smacznie spałem, to tylko dzięki tym stworzeniom, które właśnie gospodarz z kurtuazji dla mnie wpuścił wczorajszego wieczora do mego pokoju. Jaszczurki te i nawet węże domowe — i w tej chwili wyjął z kieszeni dwa obrzydliwe węże, tuląc je do twarzy — chowają tu ludzie nieraz w domu i pozwalają im się wylęgać za meblami, chowają jak psy, koty, zwykłe zwierzęta domowe.

Wyszedłszy na ulicę, a następnie do meczetu, jestem świadkiem wielkiej uroczystości mahometańskiej. Jest to bowiem właśnie piątek, a więc święto.

Oto do meczetu głównego ciągnie pochód barwny, a jeszcze więcej orginalny. Na osłach jedzie kilkunastu 12—14-letnich chłopców arabskich i ich ojcowie. Chłopcy i osły toną w kwiatach. Bo chłopcy ci przystępują dzisiaj do uroczystego aktu obrzezania, a więc odmiennie od zwyczaju żydowskiego, który nakazuje tego dokonać zaraz w kilka dni po narodzinach.

Chłopcy mają miny poważne, uzasadnione podobno bolesnością samego aktu, ale zato dodaje im animuszu muzyka, jadąca na czele pochodu również na osłach, i radosne okrzyki ojców i matek, które oczywiście też biorą udział w tej uroczystości i pochodzie, ale w tyle za mężami i synami, a nadto pieszo. I co nadto? Niosą, dźwigają na swych biednych macierzyńskich i tak skołatanych głowach dzbany i kosze, wprost uginając się. Są to podarki dla meczetu i synów. Rola kobiety jest tu bowiem wszędzie ostatniorzędna. Wedle bowiem wszelkich przepisów nietylko Koranu, nietylko Beduina rolnika czy pasterza, ale nawet salonu arabskiego beya czy paszy, pierwszeństwo do wszelkich względów i grzeczności ma mężczyzna,

właśnie jako obrzezany, jakkolwiek u niektórych ludów muzułmańskich i kobieta podlega, jakkolwiek nie obrzezaniu, to jednak tzw. „wyrzezaniu", o którem wspomina i prof. Zieliński w ostatniej swojej pracy; wyrzezanie to jednak jest podobno mniej bolesnem, niż obrzezanie.

Z drugiej strony dalszy widok. Oto do meczetu zdąża strojny w kolorowe szaty wielki muffti, Kbir Muffti, a więc starszy imam, mułła w stopniu naszego prałata, jedzie również na ośle, prowadzonym przez kawasa. Drugi kawas zaś wachlarzem z ogromnego liścia palmowego zasłania przed żarem słońca, to znów powiewając, chłodzi twarz dostojnika.

Obaj zaś kawasi uderzają raz wraz w kamienie gościńca ogromnemi okutemi laskami, głośno stukając, a jeszcze głośniej wykrzykują do tłumu: Kbir Muffti bidji. Roch men haon! (Precz z drogi! Wielki Muffti idzie!) Tłum pochyla głowy, składa ręce na piersiach w krzyż, robiąc miejsce osłu i mufftiemu.

Podążam i ja do meczetu, by choć zdaleka przyglądnąć się wschodniemu obrzędowi, od którego wszak prawdopodobnie i sam gen. Bem i kilkudziesięciu jego polskich i węgierskich towarzyszy nie mogło się uchylić. A więc trzeba i zbadać zwyczaje choćby w przybliżeniu, w które może musiał się wkroić i nasz bohater w 55-tym roku życia.

Rytuał arabski jest symbolem pogardy dla fizycznych katusz w życiu, koniecznej do zbawienia, przypominający chrześcijańskie bierzmowanie, ma swoją genezę w próbie męskości i siły, a jest szczątkiem dawnej próby męskości przed zawarciem małżeństwa; do operacji tej używano pierwotnie noża kamiennego. Obrzędu dokonuje trzech duchownych. Jeden mułła dokonuje operacji, drugi zaś wysysa krew przed nałożeniem opatrunku, podczas gdy wielki muffti uroczyście odmawia modlitwę.

Oczywiście akt ten, przypominający rodzaj skalpowania, jest wedle wszelkiej nauki „rysem barbarzyństwa". Ma on zapewnić zbawienie, a więc u wielu muzułmanów, tylko mężczyźnie, który zasługuje na szczególny szacunek, niedostępny kobiecie. Stąd też mężczyzna Arab w jednej ze swych modlitw dziękuje Allahowi za to, że go nie stworzył kobietą. Wedle wierzeń arabskich Adama obrzezał sam Allah.

Narodziny dziecka płci męskiej są okazją do wielkich uroczystości rodzinnych i towarzystkich, do obsypywania nowo-

narodzonego hulwanem, t. j. podarunkami. Bo syn to przyszły ojciec rodziny, jej opiekun i obrońca kraju. Natomiast naodwrót narodziny dziecka płci żeńskiej obowiązują do 12-dniowego żalu, równającego się jakby żałobie, są powodem płaczu nawet samych matek.

Zakończenie uroczystości stanowi korowód, pochód do ogrodu, otaczającego meczet. Jeden z imamów niesie w srebrnem naczyniu napletki obrzezanych, przykryte kwiatami, wgrzebuje je do ziemi wśród rosnącego wokół kwiecia, a miejsce samo zasypuje duchowieństwo, rodzice i świadkowie obrzędu całemi bukietami kwiatów.

* * *

Jadę do Palmiry. Po drodze zwiedzam kilka wsi syryjskich, w jednej z nich, w Bala, zatrzymuję się przez pół dnia. Wójt muktar i mieszkańcy przyjmują mię najgościnniej, tem więcej, że wójt podobno wysłużony kapral legji cudzoziemskiej, znał nawet kilkanaście wyrazów francuskich. Byłem wśród nich nawet na śniadaniu i obiedzie. Szczegóły życia Beduinów i Druzów godne uwagi, nieraz bardzo frapujące, notuję ołówkiem; godne one nieraz nietylko ołówkowej notatki, ale i dobrego pióra niejednego z europejskich uczonych i pisarzy.

V.

Napad w pustyni.

Palmira.

Jednostajność piaszczystego krajobrazu ukołysała mię do drzemki. Z tej jednak w jaką godzinę drogi za Damaszkiem wyrwało mię gwałtowne wstrząśnięcie auta, tak silne, że podrzucony w górę, uderzyłem hełmem korkowym o dach wozu. W tej chwili spostrzegłem leżącą przed autem najwidoczniej podrzuconą kłodę drzewa, której szofer nie mógł jednak ominąć z powodu, że właśnie w tem miejscu droga była wąska na długość podrzuconej kłody, a brzeg drogi z jednej strony stanowiła skała, drugi zaś sterczał nad urwiskiem. Równocześnie ku memu, więcej niż zdziwieniu posłyszałem dzikie okrzyki: „U-af! u-af!“ (Stój!) i zobaczyłem kilka czarnych twarzy, zaglądających do auta. Nie ulegało wątpliwości, że to napad. Mimo ostrzeżeń ze strony siedzących ze mną podróżnych wyskoczyłem w okamgnieniu z auta, obliczyłem siły przeciwników; było ich pięciu. Byli to Druzowie. Nas jadących autem wraz z szoferem było również pięciu. A więc damy sobie radę, pomyślałem. Dobyłem browninga i ufny w zapas przeszło 30 naboi wystrzeliłem raz w powietrze na postrach, usiłując odrzucić na bok leżącą przed autem kłodę, wsiąść z powrotem i odjechać dalej. Lecz na huk mego strzału niespodziewanie wypadli ukryci dotąd za skałami dwaj inni Druzowie, następnie dalsi czterej i coraz więcej, oddając kilka strzałów, również w powietrze. Otoczyli nas, a raczej mnie ze wszystkich stron. Było ich około dwudziestu, prawie wszyscy zbrojni w rewolwery, dwaj w prawdziwe austrjackie „Steyery“, trzej zaś w najnowsze karabiny, kilku zaś z dzirytami i drągami w ręku. Stałem między nimi z browningiem, wyciągniętym wysoko w górę, zdręt-

wiały, jakby zamieniony w słup soli, ale niestety nie tej atyckiej, bo w tej chwili żaden dowcip nie pomógłby mi. I stała się rzecz zgoła nieoczekiwana. Oto ku memu przerażeniu nawet towarzysze podróży widocznie opuścili mię, bo jeden z nich, podjąwszy od najbliżej stojącego napastnika karabin, silnem uderzeniem tegoż lufą w moją trzymaną do góry rękę, wytrącił z niej opodal na ziemię browning. W ten sposób w jednej chwili stanąłem przed napastnikami podstępnie rozbrojony. Nec Hercules contra plures. Oczekiwałem niechybnej śmierci. Zdrętwiałem, mimo może 40° upału zimny pot wystąpił mi na czoło. Oczekiwałem wystrzału we mnie z przodu, w plecy, tyłogłowie lub ubicia drągami. Wszyscy silnie zbudowani, wysocy a czarni, jak noc, w strasznie kontrastujących białych od stóp do głów szatach. Przeważnie o silnym zaroście, w wieku 30—50 lat. Mowa ich dla mnie oczywiście niezrozumiała, podobnie jak moja dla nich. Dwaj z nich przystąpili do zdejmowania ze mnie marynarki i wtedy dopiero przypomniałem sobie pośrednie, delikatne z przed kilku dni ostrzeżenia wicekonsula Statkowskiego o niebezpieczeństwie podróżowania autem w tych stronach, przypomniałem sobie niedawny tu napad na jednego z biskupów angielskich, gdzie napadający rozbroili dwóch konwojujących go żandarmów, jemu kapelusz zrzucili z głowy, nasadzając stary fez turecki, wszystkich poturbowali i obrabowali. Ale żaden z tam napadniętych nie strzelał. I doprawdy omal żal mi się tutaj zrobiło własnego życia, żal mię zdjął do siebie samego, że tak lekkomyślnie wybrałem się sam jeden jedyny w te najzupełniej mi nieznane kraje, między ludzi dzikich, barbarzyńców. A więc przyjdzie mi tu zginąć zdala od swoich i to w tej pustyni, w tych piaskach. Nikt może nawet nigdy nie dowie się, gdzie i wśród jakich okoliczności i jaką śmiercią zginąłem; trupa mego rzucą gdzieś w rozpadliny, rozedrą go i rozniosą hieny, szakale i ptactwo dzikie. I żal tem większy, że przecież sam, sam wybrałem tę drogę rozmyślnie daleką i dłuższą.

Czułem, że musiałem w tej chwili cały zsinieć, bo z chwilą ściągania ze mnie bluzki poty zimne wystąpiły już nietylko na czoło, ale na całe ciało; cały dosłownie mokry, już sam za siebie począłem odmawiać zdrowaśkę. Przygotowywałem się do egzekucji.

Zdjąwszy bluzkę, zabrali się napastnicy do jej rewidowania, wyjęli z kieszeni portfel, paszport, notatniki, zegarek, szukali pod podszewką. Inni już tymczasem odwiązali z tyłu auta moje bagaże, a jeden z nich nie mogąc otworzyć nowego, ogromnego drewnianego pudła, począł je rozbijać kolbą karabinu, tłukąc drewniane ściany walizy w kawałki. Sam przyszedłem mu z pomocą, bo dobywszy kluczy, otworzyłem ku jego i całego otoczenia zadowoleniu walizę, z której poczęli dobywać ubrania, bieliznę. Teraz dopiero rozpoczęła się rozmowa. A że nie mogliśmy się nawet na migi zrozumieć, więc szofer Arab, znający częściowo język francuski, wystąpił jako tłumacz.

— Poco tu jedziesz, pocoś przyjechał? — Było pierwsze pytanie.

— Jadę do Aleppa. Była moja odpowiedź.

— Poco spisujesz majątek po wsiach? Było drugie pytanie.

Niezasłużone to pytanie zaskoczyło mię niepomiernie, odpowiedziałem jednak spokojnie, że to chyba nieporozumienie, gdyż żadnych majątków nie spisuję. Poco?

Oni chórem: Nie kręć, zapisywałeś majątek ludzki w Bala i innych wsiach na skarb rządowy, widzieliśmy, mamy świadków, dość już tego, poco nas tu wy Francuzi i Anglicy prześladujecie, dość mieliśmy ucisku tureckiego.

W tej chwili zaprzeczyłem kategorycznie jakobym był Francuzem lub Anglikiem, powołując się zresztą na mój paszport, który niektórzy z nich właśnie przeglądali. Co to za paszport, francuski czy angielski? pytają.

— Nie, polski — odpowiadam.

— Co to znaczy polski? Zatem wobec takiego pytania tłumaczę jak mogę.

— Aha! Jesteś francuski dżabi, poborca skarbowy, egzekutor.

Tu głos mi się nieco załamał; odpowiadam:

— Ależ na miłość Boską, nie! I w tej chwili przypomniałem sobie niedawne losy egzekutora francuskiego czy angielskiego, gdzieś w Afryce, którego gdy władze wysłały dla ściągania podatków, tubylcy, nietylko, że nic nie zapłacili, ale samego egzekutora pojmali, zabili i zjedli.

Tłumaczę im w dalszym ciągu za pośrednictwem szofera tłumacza, że jadę tylko z własnej chęci, nienajęty przez nikogo,

z własnej ciekawości, aby poznać nieznane mi dotąd życie i zwyczaje Beduinów i Druzów.

Oni: A poco, a naco ci to potrzebne? Poco nawet do stajen, do komory zaglądałeś, skrzynie oglądałeś? To jakiś interes.

Ja: Ależ przecież Polska jest daleko, tu żadnych interesów niema.

Oni: To jakiej ty jesteś narodowości? Polak? My takiej narodowości, ani Polski nie znamy.

Ja: Jakto nie znacie Polski, Lechistanu, jestem Polak, Lech — mówię im z radością, odkrywając w pamięci średniowieczną turecką z Persji importowaną terminologję.

Lecz widocznie nie znali jej Druzowie i Kurdowie — bo i ci między nimi byli — czy też niedobrze mnie zrozumieli, ponieważ zaraz odezwały się gniewne głosy: Ente jehudi, lechli. — A więc tyś żyd, lechli.

Nie pomogły moje zaprzeczenia, a z tłumaczenia szofera dowiedziałem się, że na moje nieszczęście, Żyd, jehudi, znaczy w dialekcie arabskim, w języku Druzów również: lechli, że taką nazwą obejmują Arabowie przez nieznajomość geografji i historji wszystkich przybywających z Polski jako Żydów, równoznacząc, utożsamiając ich z wszystkimi Polakami.

Poczułem, że wpadłem z deszczu pod rynnę, we własną matnię, zwłaszcza, że przypomniałem sobie z zeszłego tygodnia mord w Transjordanji, dokonany przez Arabów na jednym z Żydów, przybyłych z Jerozolimy. Na wszystkie moje wyjaśnienia Druzowie i Kurdowie odpowiadali: Dobrze wiemy, co to jest Lechistan, ty nas nie będziesz uczyć. Was stamtąd najwięcej jest w Palestynie. Poco tu przyjechałeś?

I dalejże ściągać ze mnie koszulę. Z ust herszta padła dalsza komenda, którą z jej tonu, gestykulacji i natychmiastowych następstw poznałem i przetłumaczyłem na żywe słowo: „Ściągać spodnie!“, bo rzeczywiście przystąpili do tego obrzędu.

W tej chwili pomyślałem: A więc przed egzekucją rozbierają mię do naga, by już rozebranego rzucić do dołu. Zdrętwiałem poraz drugi. Lecz gdy ja widocznie straciłem rezon, nie stracił go herszt, bo biorąc kierujący udział w tej nieuroczystej ceremonji rozbierania mnie, oparł ręce na kolanach, pochylił się przedemną w chwili, gdy napastnicy ściągali ze mnie w dół trzęsące się ze wzruszenia spodnięta. Stanąłem bez listka figo-

wego. Herszt spojrzawszy na moje nagie biodra i okolicę, zawołał z akcentem zawodu: Kalla jehudi! Nie Żyd! Nazrani, chrześcijanin! Reszta przyglądając mi się, również zawtórowała: La, la, nazrani! Tak, tak, chrześcijanin!

Teraz zrozumiałem ten drugi akt dramatu. To była najzwyklejsza „inspectio ocularis".

Odetchnąłem nieco. Herszt położywszy rękę na mojem ramieniu, indagował w dalszym ciągu: No, prawdę mówisz. Ale powiedz nam, dlaczego w tak daleką z Lechistanu podróż wybrałeś się z tak maleńką gotówką. Masz wszystkiego dziesięć dolarów? Dlaczego?

Nie tłumacząc, że resztę pieniędzy przekazałem bankom w różnych miastach do wypłaty po drodze, odpowiedziałem: Bo jadę już niedaleko, do Aleppa; co miałem, to wydałem już w drodze.

Herszt: A cóż ty myślisz tam robić bez pieniędzy?

Ja: Dopiero tam dostanę bilet powrotny i na utrzymanie w drodze.

Herszt: A poco ty jedziesz do Aleppa?

Ja: Na grób generała Bema, który umarł w Aleppo.

Herszt: W tej wojnie?

Ja: Nie, przed 70 laty.

Herszt: To dopiero teraz jedziesz? Rychło w czas; ładnie się wybrałeś...

A podając mi łaskawie swą ogromną, jak łopata, a czarną jak węgiel rękę, kończył: Masz darowane życie, zdrowie, twoje dziesięć dolarów i manatki. Ubieraj się prędko, a w Palmirze zrób zaraz raport w prefekturze policji o napadzie, żeby nas szukali. Napisz do gazet, czy Druzowie to źli ludzie i to że płacą wielkie daniny.

Ja: Oczywiście.

Herszt oddalił się czemprędzej, a za nim cała gromada. A więc wyszedłem żyw i cały zdrów z tej strasznej opresji.

Ale z oddalającej się gromady odczepiło się z powrotem dwóch bez zwrócenia na siebie uwagi przywódcy. Pierwszy począwszy głaskać mię po ramieniu, poprosił, bym mu dał na pamiątkę jednego dolara. Gdy wyjąłem portfel i dziesięć dolarów, Druz tłumaczył mi po arabsku: „Rabuna dalak, ti duhunni ana", „Bóg dał tobie, daj ty mnie" i zabrał mi połowę do-

larów. Drugi również powołując się na ten sam argument, poprosiwszy mię o nową koszulę, i uprzedzając moją odpowiedź, otworzył podróżne pudło, wybrał sobie coś siedm sztuk różnej bielizny, poczem obaj w pokłonach dziękczynnych i wynosząc moją „dobroć“, pobiegli w przeciwną od reszty towarzystwa drogę.

Oczywiście odstąpiłem im te drobnostki bez oporu, który zresztą mógłby mi się nie opłacić. Wszak miałem przed sobą jeszcze kawał drogi. W moment posłyszałem nad sobą w powietrzu warkot i ku memu zdziwieniu zobaczyłem szybujący od strony Palmiry samolot.

„To samolot francuski wojskowy — wyjaśnia szofer — patroluje okolicę, szkoda, że nie pokazał się wcześniej. To jedyna obrona podróżnych i karawan, czasem tędy ciągnących...“ Wsiadamy do auta i czemprędzej odjeżdżamy. Towarzyszący mi podróżni wyjaśniają w dalszym ciągu w drodze: „Całe szczęście, że pan strzelił w powietrze, bo gdyby pan był strzelił w nich samych i nawet nie trafił, oni bezwarunkowo zabiliby pana. Arab szanuje piąte przykazanie i jedynie zaatakowany czynnie, zabija. Rabunki tu dość częste, i między Beduinami, Druzami i Kurdami trafiają się bandyci. Do naga rozbiorą, nagiego puszczą, ale nawet nie ranią, chyba gdy napadnięty broni się, wtedy czasem i zabijają“. A od siedzącego obok mnie Druza teraz dopiero dowiedziałem się, że ten rozmyślnie uderzył mię lufą karabinu w rękę, w której trzymałem browning, w obawie, bym nie zapomniał się i nie strzelił drugi raz, choćby w powietrze.

Teraz wciągnąłem pełną piersią w płuca powietrze, odetchnąłem głęboko i teraz dopiero poznałem ile mój anioł stróż miał ze mną kłopotu.

Już było popołudnie, gdy zdala wśród piasków, najszczerszej pustyni powitały mię kolumnady ruin Palmiry i las palm.

Palmira jest oazą, którą obecnie z całą pieczołowitością nietylko naukową ale i wojskową zajęła się Francja, uznawszy Palmirę za ważny węzeł nietylko dróg handlowych, ale i za punkt strategiczny, umieszczając tu swój garnizon.

Palmira, to w okresie wojen krzyżowych cel wypraw romantycznych, awanturniczych, szukających przygód, rycerzy.

To dawne królestwo różnych romantycznych królowych, począwszy od pięknej i walecznej Zenobji, bohaterki Calderona.

Tu najczęściej owe stęsknione królewny z bajki, wyczekiwały swych również z bajki zaklętych królewiczów i tu owi królewicze, wschodni emirowie, na gruzach świątyni śnili o takichże swoich zaklętych księżniczkach, królewnych. Tu też występowały różne Szecherezady i tu tworzyli arabscy i nawet perscy poeci.

Malownicze to miasto ruin, pełne ulic i uliczek, zapewne dziś tak się przedstawia jak przed prawie dwoma tysiącami lat, kiedy już było ruiną z tą chyba różnicą, że dziś te ruiny są zamieszkane przez miejscową ludność, która sobie z dawnych świątyń, sal, przedsionków, późniejszych kastellów urządziła własne mieszkania, bądź też wystawiła sobie własne lepianki. Wśród ruin uderzają ogromna świątynia, cały las kolumnad i wieże grobowe, wśród nich zaś walające się po ziemi resztki portyków, grzymsów, części, odłamki posągowe, fragmenty całości.

Z dawnej potęgi pozostały dziś tylko mury. Pamiętne one krótkim tu pobytem pierwszego chyba w Polsce orjentalisty, Wacława Rzewuskiego, które wszak w spuściźnie po sobie zostawił „Podróż do Palmiry". Minjaturę ruin Palmiry pięknie skomponował i jako ich surogat umieścił w warszawskim pałacyku łazienkowskim, Stanisław August.

Syrja wraz z swojemi zabytkami jest od niedawna przedmiotem badań geologicznych, stratygrafji, a nadto archeologji i historji sztuki.

Wszystkich podróżników, zapuszczających się w te przepastne strony, prowadził urok historji tego kraju, klasycznej ziemi legend, tysięcy baśni, grobów i sarkofagów. A ruiny, groby i sarkofagi miały nietylko swych badaczy archeologów i historyków sztuki, miały one już swoich oddawna poetów, tak, nawet poetów grobów. Miały też i swoich gawędziarzy.

Jedną z przyczyn tego tajemniczego czaru i sławy Syrji i jej ruin, była dotychczasowa prawie niedostępność Syrji i niebezpieczeństwo samej podróży. Stąd też wnętrze Syrji jest właściwie niedawnem odkryciem. Istotne jej piękno okryły dopiero wojny krzyżowe, a odkrycie to było sensacją w świecie naukowym, ale przemijającą, jak przemijającemi były sukcesy krucjat.

Upadek krucjat przyniósł z sobą i zupełne zapomnienie tych czarownych stron. Podróż w te strony z powodu wrogiego usposobienia świata muzułmańskiego wobec chrześcijaństwa i strasznego fanatyzmu saracenów, była wprost niemożliwą, jak jeszcze do dziś dnia jest ona niemożliwą w niektóre zakątki Wschodu. Mało dostępną była do niedawna Fenicja, a już niedostępnym był Baalbek, Damaszek i Palmira. W te strony mogły się do niedawna zapuszczać jedynie ekspedycje naukowe pod ochroną władz tureckich i konwoju wojskowego.

Faktem jest, że do dziś dnia dostęp do samej Mekki dla Europejczyka, chrześcijanina czy żyda bez konwoju wojska lub policji jest niemożliwy.

Są dla muzułmanina miejsca święte, których przestąpienie przez niemuzułmanina stanowią profanację ich najtkliwszych uczuć.

Gdy w ciągu mej podróży przez Syrję, w rozmowie z niektórymi jej mieszkańcami, wyraziłem chęć zwiedzenia i Mekki, tak Arabowie, jak i najpoważniejsi Europejczycy oświadczyli, że chrześcijanin może do Mekki dojechać, ale stamtąd już nie wróci. Jeśli nie zostanie przez tłum na ulicy ukamienowany, zostanie w sposób skrytobójczy z tego świata tam na miejscu usunięty.

Niestety przejście i wrażenie napadu w pustyni nie pozwoliło mi szczegółowo zająć się badaniem dumnych ruin. Musiałem przedewszystkiem myśleć o zabezpieczeniu dalszego przejazdu i o dostaniu się do Aleppa.

Zrezygnowawszy z dalszej jazdy autem, którem zresztą przejechawszy jeszcze przez miasto Hama, dojeżdżam do miasta Homs. Wysuszywszy w drodze gardło, bo wszędzie tu trudno o świeżą, zimną wodę, w Homs dorwawszy się do przekupniów sprzedających wodę z oazy w glinianych dzbankach, dzbaneczkach i dzbanuszkach, z pragnieniem wielbłąda piję litr za litrem wody, tego już dość długo niepitego trunku, a wypiwszy coś szóstą część „midda" (midd = 18 litrów), kupuję na drogę jeszcze dwulitrowy dzbanek wody za 15 piastrów syryjskich, t. j. za coś około złotego i wsiadam do pociągu zdążającego do Aleppa.

Poraz pierwszy w tej najstarszej części świata wsiadam z uczuciem ulgi do pociągu, może jedyny tu aryjczyk, dostaję

się w towarzystwo pielgrzymki Beduinów, jadących z mułłą do Aleppa i Antiochji. I ku memu zdziwieniu wszyscy się dziwią, że jadę z tak daleka... z Palmiry.

Już dziś za kilka godzin będę wreszcie w Aleppie.

Zagadnięty przezemnie przy pomocy mego arabskiego podręcznika mułła, wyjaśnia, że to właściwie pielgrzymka do jednego z meczetów Aleppa, gdzie znajduje się w przechowaniu wywieziony ze Stambułu płaszcz proroka. Na moją uwagę, że płaszcz ten podobno znajduje się wedle jednych w Mecce, wedle innych nawet w Kabulu, mułła urywa rozmowę i zaczyna modlić się.

Zaczyna się modlitwa pielgrzymujących, którzy siadają na podłodze wagonu, składając nogi w krzyż. Mułła w żółtym, odróżniającym go od innych fezie, staje na ławce i czyta na głos sury Koranu, jednę po drugiej i każdą, jak wnioskuję z przerw i modulacji głosu, tłumaczy, interpretuje. A za odczytaniem każdej sury, słuchający odpowiadają chórem, kilka wyrazów modlitwy, w której słychać słowo Allah. Wreszcie zaczyna się przeciągły, charakterystyczny, jakby miaukliwy śpiew arabski, pełen wykrzykników.

Ciekawy zbieg okoliczności. Z pielgrzymką arabską jadę do Aleppa, sam prawie pielgrzym.

VI.

Aleppo. Jego przeszłość i teraźniejszość.

Aleppo! Aleppo! Czarowne, zwłaszcza dziś czarowne to słowo...

Nie dlatego, że słowo to słyszeliśmy, wyczytaliśmy już w dzieciństwie naszem z czarownych bajek arabskich „Tysiąca i jednej nocy“, ale dlatego, że było ono jednym z najdalszych etapów naszej emigracji po powstaniu listopadowem i dlatego, że miało się ono stać przy pomocy Wysokiej Porty owem Sezamowem zaklęciem, otwierającem przywalony Łazarzowy kamień grobowca nieszczęśliwej ojczyzny...

Halab! Elektryzujące to słowo, rzucone przez współpodróżnych wyrywa mię z siedzenia w stronę okna wagonu. To arabska nazwa Aleppa. Od strony północnej poniżej roziskrzonego, mrugającemi gwiazdami nieboskłonu wyrasta olbrzymi ścięty, sino biały stożek skały, a na nim ciemne mury i bastjony. To historyczna cytadela. W chwilę pociąg wspina się wyżej, ukazując już całe, wychylające się z pośród srebrzystej mgły księżyca bijące już całym snopem świateł miasto. Pociąg staje; wysiadam. Dorożkarz w niebieskich szerokich szarawarach, w zielonym, przepasanym czerwoną materją kaftanie, a w wysokim białym zawoju, z którego wybiega w górę również biały piuropusz, wiezie mnie do zajazdu wśród wschodnich o płaskich dachach domów, ogrodów, pałacyków i pałaców, pięknych jak konaki Konstantynopola, meczetów i z nich wyrastającego całego lasu minaretów w świetle huczących zabawą ogrodów, w miasto, równie jak Damaszek i Bagdad, pełne jakby jakichś czarów, owiane mgłą wschodnich tajemnic, miasto wróżek, wróżbitów, czarodziei i czarnoksiężników, przedmiot snów prawie każdego inteligentnego Araba, którego obyczajowym obo-

wiązkiem jest poznać i znać Aleppo, obok Damaszku największe miasto obu mandatów.

To owo Aleppo, którem — należy to chyba przypomnieć — już na długo przedtem włodarzył, którego emirem, księciem był Wacław Rzewuski. Tak, to jest to samo Aleppo. Rzewuski to może pierwszy w Polsce orjentalista, wielki znawca Wschodu, znawca języka arabskiego, tureckiego, perskiego i tłumacz arcydzieł literatury wschodniej na język francuski, włoski, niemiecki i nawet łaciński. Jako emir nietylko Aleppa, ale i Bagdadu, najdłużej właśnie przebywał w Aleppie, zawsze w zawoju i stroju Beduina, wśród przepysznej wschodniej świty arabskich szeików i beyów, wśród własnych taborów i namiotów i całych stadnin najrasowszych arabskich wierzchowców, zachował się długo w pamięci i poezji arabskiej. Dotąd jeszcze żyje w Aleppie pamięć i wspomnienie o nim jako Emir Paszy, bo tu w Aleppie snuł on swoje najbujniejsze fantazje o sojuszu Polski z Turcją. Charakterystyczne jednak, a może i bolesne, że najwięcej utkwił w pamięci mieszkańców Aleppa jako wielki pan, rozrzucający pieniądze na lewo i prawo.

Początek tego starożytnego miasta ginie w mrokach historji. W każdym razie istnieje ono około 3.000 lat. Aleppo, po arabsku Halab, nosiło pierwotnie nazwę Kahlban, później Borea. Z chwilą zajęcia miasta przez Abbasydów, mieszkańcy przyjęli Islam. Odtąd Aleppo zbyt szybko i często zmieniało swych władców. W r. 948 zawładnęła Aleppem dynastja Hamabamidów, w r. 987 dynastja kalifów egipskich Fatimidów, w r. 1024 Mirdasydów, w r. 1087 Okailidów, 1090 r. zajęli miasto i kraj Seldżucy.

W r. 1124 było Aleppo oblęgane przez krzyżowców i w kronikach Aleppa z tego czasu czytamy poraz pierwszy o dzisiejszej starej cytadeli. Tak więc starożytna ta cytadela, nadkruszona zębem czasu, liczy conajmniej 800 lat, a więc jest nawet starsza, niż mury Jerozolimy.

W r. 1260 zajęli miasto Mongołowie, lecz wkrótce po nich zawładnęli niem egipscy Mamelucy, którzy dzierżyli Aleppo z częścią Syrji do r. 1517, w którym to roku zdobyli miasto i kraj Turcy. Pierwszy historyk Aleppa kadi Kamal ad Din, zmarły w r. 1262, pozostawił dwa dzieła w języku arabskim o Aleppie: Pierwsze pt. „Bougyat at talab fi tarikh Halab“ —

(„Rzecz dla tych, którzyby pragnęli poznać historję Aleppa“), drugie pt.: „Zoubdat al halab min tarikh Halab“ („Śmietanka historji Aleppa“).

Miasto leży na kilku pagórkach w dolinie rzeki Kuweik (Kououeik), zwanej przez Xenofonta rzeką Chalus. Rzeka ta płynie jednak w części podziemnem korytem, tak iż w porze suchej, koryto rzeki szkli się prawie na obszarze całego miasta bagnami. Dopiero w okresie deszczów, zwłaszcza padających w górnym biegu rzeki, nagle z dna koryta ukazuje się woda, płatając niespodzianki na wzór naszej polskiej pod Olkuszem Baby.

Stąd też klimat i stosunki zdrowotne w samem Aleppie były do niedawna fatalne, powodując malarję, „fiévre pernicieuse“, tyfus i cholerę. Dopiero w ostatnich latach od czasu uregulowania biegu rzeki i doprowadzenia do miasta wodociągami z odległych źródeł wody, stosunki te poprawiły się.

Najdawniejsze ślady zostawił tu, jak i w całej Syrji wojowniczy szczep Chetów czyli Chetytów, ślady w rycinach starożytnych płaskorzeźb. Obecna architektura starego Aleppa, jego ośrodka, jest wschodnia, pierścień zaś otaczający ośrodek jest już miastem prawie europejskiem. Domy przedmieść zbudowane z gliny i mułu przedstawiają nędzny widok lepianek.

Jedynym zabytkiem przeszłości jest wspomniana już poprzednio starożytna, okazała cytadela, w części pewnej jednak już w gruzach. Wznosi się ona na dużem wzgórzu, stożku ściętym, jak wygląd wskazuje, na kraterze wygasłego niegdyś wulkanu. Spadziste ściany stożka wyłożone cegłą. Warownia otoczona zewsząd głęboką i szeroką fosą. Do wnętrza prowadzi olbrzymia kamienna brama. Styl budowy mauretański. I dzisiaj cytadela ta jest fortecą, pilnie strzeżoną. Gdy cytadele w Kairze i Jerozolimie, obsadzone wojskiem angielskiem są dostępne dla zwiedzających, wstęp do cytadeli w Aleppie jest wzbroniony i strzeżony.

Aleppo jest wilajetem, na czele którego stoi wali, rodzaj naszego wojewody. Całe obecne państwo Aleppa dzieli się na dwa sandżaki; są to sandżaki: Aleppo i Deirzor. Na czele sandżaku stoi mitesarif. Sandżak alepski dzieli się na 10, zaś sandżak Deirzor na 6 kajasów. Kajas odpowiada tureckiemu kajmanlikowi tj. starostwu. Kajas dzieli się znów na midirjaty.

Na czele samorządu miasta stoi rada miejska, beladije z burmistrzem, muktarem, jako przewodniczącym rady miejskiej, rais el beladije, na czele. Miasto dzieli się aż na 48 drobnych dzielnic (hara). Aleppo jest siedzibą sądu okręgowego i kilku zwykłych sądów pierwszej instancji, 150 adwokatów, 100 leka-



Aleppo. Widok na miasto i stare koszary tureckie, w których mieszkał Bem.

rzy, 47 magistrów farmacji. Jest siedzibą biskupa maronickiego. Ma 12 kościołów różnych wyznań, 30 meczetów.

Zachodnie dzielnice miasta zajmują chrześcijanie.

Mają tu siedzibę konsulaty francuski, angielski, amerykański (St. Zj. P. A.), egipski, perski, hiszpański, niemiecki, rosyjski, austrjacki, holenderski, czechosłowacki. Brak polskiego, choćby honorowego tj. tytularnego, bezpłatnego.

Na uwagę zasługuje pałac kedywa egipskiego w pobliżu cytadeli.

Największym nowszym gmachem Aleppa są wznoszące się na przeciwległem wzgórzu stare koszary tureckie, tworzące olbrzymi czworobok o wymiarach około 400×200 metrów.

Tu poza cytadelą stoi załogą reszta garnizonu, piechota, artylerja i pułk kolorowej legji cudzoziemskiej.

Architektoniczną ozdobę Aleppa poza wspaniałym zabytkiem cytadeli stanowią budowle meczetów z całym lasem minaretów. Górują one nad miastem, ale nad całem miastem i minaretami dominują właśnie wysoko położone cytadela i koszary.

Aleppo nie jest miastem przemysłowem, bo jedynym tu przemysłem jest przemysł tkacki i dywanowy. Zato Aleppo jest wielkiem miastem handlowem, największem na całą Syrję i Palestynę, większem niż sam Bejrut; brakuje mu tylko morza i portu. Jest ogromnem centrum handlu wełną, bawełną, dywanami i skórami surowemi. Z powodu braku wody, mimo ogromnej podaży skór, niemożliwem jest tu urządzenie garbarni, jako przemysłowego zakładu. Z rękodzieł najważniejszy wyrób safjanowego obuwia.

Jak handlowem miastem jest Aleppo, wskazuje obszar, zajęty przez sławne tutejsze ogromne bazary, po arabsku suk; zajmują one obszar prawie jednego kilometra kwadratowego.

Aleppo jak w starożytności tak i dziś jest ważnym ośrodkiem handlu i jego olbrzymim bazarem. Jest węzłem wszystkich dróg lądowych, prowadzących w serce Wschodu i do samych Indji. Droga lądowa do Indji prowadzi nie przez Jerozolimę, za którą w drodze staje cała pustynia, lecz przez Aleppo. Tędy wiedzie droga najbliższa do Iraku, Mossulu, Bazry i dalej. Tędy to ciągną długie karawany; w ciągu roku przeciąga tędy przeszło 10.000 wielbłądów, z Turcji, Małej Azji, Armenji, Turkestynu, z całej Syrji, a nawet Palestyny i Egiptu. Temu też handlowi i ruchowi zawdzięcza Aleppo swój niezwykły rozwój, rozrost i bogactwo. Jednem słowem Aleppo jest ogromnym zajazdem świata kupieckiego Azji. Spis ludności z r. 1874 wykazywał 64.000 mieszkańców, dziś 160.000 dusz. A więc Aleppo jest o wiele większe od Jerozolimy, Bejrutu, a obok Damaszku to największe miasto obu mandatów. Miasto zajmuje obszar nieco większy, niż obszar Krakowa, co stąd pochodzi, że przeważają tu domy parterowe i jednopiętrowe.

Aleppo jest lądowym kluczem do Indji i dlatego też Anglja tak niezadowoloną jest z obsadzenia Syrji przez mandat francuski i chętnie chciałaby się stąd pozbyć tego sąsiada.

Ludność przeważnie muzułmańska, w większej części arabska, a w znikomej turecka, zresztą chrześcijańska. Żydów znikoma ilość. Z pośród chrześcijan przeważają tu Maronici, po nich Ormianie i Grecy.

Ustrój wewnętrzny tchnie jeszcze dotąd resztkami starożytnego ustroju kapłańskiego, teokratycznego, kiedy wszelka władza należała do kapłanów, począwszy od władzy czysto kapłańskiej, a skończywszy na władzy wojskowej, administracyjnej, sądowniczej itd. Ostateczną syntezą tych wszystkich praw była władza sułtana, jako kalifa i padyszacha, a więc jako najwyższej władzy duchownej i naczelnego wodza wojsk. Gdy władza wojskowa z władzą duchowną kumulowała się jedynie w najwyższym stopniu hierarchicznym, władza kapłańska długo jeszcze jednoczyła się z władzą administracyjną i sądowniczą. Ślady pozostały jeszcze w dotychczasowym ustroju. Najniższym szczeblem władzy administracyjnej danego miasta, czy wsi jest imam, mułła. W większem mieście każda dzielnica, hara ma kilku lub nawet kilkunastu imamów. Imam współdziała z naczelnikiem gminy, miasta lub dzielnicy w czynnościach administracyjnych. Jako duchowny kieruje modlitwą, a w piątki nabożeństwem w meczecie. Wystawia świadectwa moralności, możności i ważności świadectwa, narodzin, śmierci, ślubu. Urząd ten pochodzi z wyboru danej jednostki administracyjnej.

Drugim szczeblem hierarchicznym jest moktar, muktar, zwany też seih czyli szeikiem. I tak np. w Damaszku w miejsce nazwy muktar, wchodzi tytuł seih el hara. Jest on w sprawach administracyjnych wyższą instancją dla toku czynności imama. Urząd ten pochodzi również z wyboru. Stoi on na czele rady starszych, a więc w rodzaju naszej Rady gminnej lub miejskiej, zwanej bajat el ihtjarije. Rada ta pochodzi również z wyboru.

Wyższym stopniem duchownego jest wreszcie muffti, odpowiadający stopniowi np. prałata, najwyższym zaś na daną prowincję, wielki muffti, gbir muffti.

Wszyscy oni noszą ogólną nazwę: kadi.

W rzeczywistości jednak urzędowy kadi kumuluje tylko władzę sędziowską w sprawach małżeńskich i notarjalną. Uwierzytelnia podpisy, nawet podania, układa kontrakty kupna, sprzedaży, najmu, małżeńskie, prowadzi całe postępowanie

spadkowe, jest władzą nadopiekuńczą, zawiaduje majątkiem pobożnych fundacyj „wakw". Władza jego odpowiada zatem w wielkiej części władzy naczelnika europejskich sądów (grodzkich, pokoju, powiatowych). Niższe szkolnictwo i szkoły (medressy) spoczywają w ręku nauczycieli duchownych, hodżów.

Charakterystyczną cechą Aleppa jak i wszystkich miast wschodnich są domy o płaskich dachach, służących za tarasy do suszenia bielizny, bądź też do przesiadywania tutaj wieczorami; wychodzi się na nie od zewnątrz kamiennemi schodami. Takąż samą cechą jest do dziś dnia utrzymana tu średniowieczna ciasnota wąskich i krętych ulic i uliczek, nieraz tak wąskich, że dwie osoby zaledwie obok siebie mogą się przecisnąć. W tych dzielnicach całe życie tak publiczne jak i prywatne koncentruje się na ulicy i w bramach domów. Przed domami wykonują swoje wszelkie roboty rękodzielnicy, nawet fryzjer goli swych gości tak wewnątrz lokalu jak i przed lokalem. W bramach domów i pod oknami swych mieszkań siedzą też czy spoczywają mieszkańcy, paląc nardżile, pijąc czarną kawę i leniwie przyglądają się przechodniom lub grają w kości i karty. Niektórzy przesuwają w ręku różaniec. Jednym służy on do odmawiania modlitwy, polegającej na kolejnem wzywaniu przez przepisaną rytuałem ilość razy imienia Allaha. Arabowie tłumaczą, że to starodawny zwyczaj, od nich przez chrześcijan zapożyczony. Innym służy ów różaniec dla miłego, ich zdaniem, w dotyku i rozrywce samego przesuwania paciorków, a więc ma znaczenie najtańszej zabawki.

Policja arabska pod kontrolą francuską. Miasto ma oczywiście oświetlenie elektryczne, a od niedawna wodociągi uliczne, sprowadzające wodę z Eufratu. Brak tu jednak teatru, zato mnóstwo teatrzyków, kabaretów, bud z produkującymi się derwiszami syryjskimi, fakirami indyjskimi.

Miasto posiada obecnie dwa dworce kolejowe, jeden na linji Konstantynopol-Aleppo-Bagdad, drugi na linji kolejowej, prowadzącej do Bejrutu. Tak do Konstantynopola (raczej Haydar Pasza), jak do Bagdadu i Bejrutu odjeżdża pociąg raz na dwa dni, podobnie też tu przyjeżdża z tamtych miast do Aleppa. Ruch zatem kolejowy prawie martwy.

Aleppo liczy zaledwie kilka szkół średnich, liceów, oczywiście tylko męskich; szkolnictwo w szkole średniej jest częścią

arabskie, częścią francuskie. Szkoły niższe są przeważnie prywatne.

Prasę miejscową reprezentuje pięć dzienników arabskich, z tych „Halab“ („Aleppo“), organ oficjalny. Natomiast francuski dziennik „La Syrie“ wychodzi w Bejrucie.

W Aleppie mieszka wielka ilość Ormian. Wielu z pośród spotkanych tu przezemnie Ormian, to uchodźcy z Azji Mniejszej. Opowiadali mi o mordach popełnianych na ich ziomkach w Małej Azji przez Turków w czasie ostatniej wojny. Turcy wtedy wycięli w pień kilkadziesiąt wsi i miasteczek ormiańskich. Spędziwszy w każdej miejscowości na jedno miejsce Ormian, mężczyzn, kobiety i dzieci, przebijali spędzonych bagnetami, poczem jeszcze żywym odcinali głowy. Mordom tym przypatrywały się oddziały wojska niemieckiego, przy akompanjamencie śmiechu i śpiewów. Mordy te odbywały się na komendę niemiecką. Z opowiadaniami temi spotykałem się wszędzie w podróży tak wśród Syryjczyków jak Francuzów, Włochów i Anglików.

VII.

POLONJA W SYRJI.

Na grobie gen. Bema.

Hotel po arabsku karawanseraj, do którego zajechałem, to jedyny w całem mieście hotel europejski Barona, tak się bowiem nazywa jego właściciel, Ormianin.

Prawie pierwszym moim krokiem w Aleppie było odszukanie w Syrji i w Aleppie zamieszkałych tam oddawna Polaków. Natrafiłem bowiem tam na ich ślady, jako epigonów naszej emigracji, podobno już jak mię doszły pierwsze wiadomości, wynarodowionych. Ze wszystkich względów zatem zainteresował mię ten nowy typ Polaków Lewanty.

Pierwsze nazwisko polskie, jakie tu posłyszałem, to nazwisko Zabłockich. I rzeczywiście też stwierdziłem wśród miejscowej kolonji francuskiej, że jestem na dobrych śladach, gdyż jedno z wyższych stanowisk w kolejnictwie francuskiem w Syrji, zajmuje Franciszek Edward Zabłocki.

Natychmiast też nazajutrz po moim przyjeździe odwiedziłem mego ziomka w jego biurze, na dworcu kolei Aleppo-Bagdad, a radość p. Zabłockiego, z powodu tej mojej wizyty była tak wielką, jak moja z powodu jego tu spotkania.

Pracuje w Aleppie od około dziesięciu lat jako inżynier i szef sekcji technicznej wspomnianej linji kolejowej, poprzednio pracował w Persji. a jako inżynier przy budowie kolei w Egipcie i Chinach. Polski wcale nie zna, nigdy w niej nie był, a urodził się w Konstantynopolu, dokąd ojciec jego Feliks przybył wraz z emigracją po upadku powstania węgierskiego, a więc współcześnie z gen. Bemem. Ojciec jego pochodzi z Kopyczyniec w Małopolsce wschodniej, matka zaś z rodziny Dewockich z Krosna. Ojciec Feliks Zabłocki, umarł przed kilku-

nastu laty w Konstantynopolu, gdzie dotąd żyje wdowa po nim, 90-letnia staruszka wraz z rodziną.

Polskiego języka prawie zupełnie zapomniał, bo od czasu kiedy w domu w Konstantynopolu rozmawiał z rodziną po polsku, minęło kilkadziesiąt lat; ucieszył się nastręczającą się mu właśnie sposobnością posłyszenia mowy ojczystej i rozmawiania ze mną po polsku; żona jego jest Włoszką, włada jedynie językiem włoskim, francuskim i angielskim, a dzieci z tego małżeństwa mówią jedynie tylko po francusku.

Tu na miejscu ma brata młodszego, Jerzego Mieczysława, z którym też natychmiast mię zapoznał. Młodszy brat jego, urzędnik techniczny miejscowej francuskiej dyrekcji robót publicznych, również nigdy nie był w Polsce, polskiego języka prawie już nie zna, ożenił się z Francuzką; dzieci ich mówią również tylko po francusku.

Właśnie w toku tej rozmowy wpadł do biura siedmnastoletni syn starszego p. Zabłockiego, gimnazjalista i w języku francuskim tłumaczy, że całemi godzinami szukał z polecenia ojca w całem mieście po hotelach Polaka, który podobno właśnie przyjechał z Polski, odszukał nawet jego pokój w jednym z hoteli, ale mimo wyczekiwania nań całemi godzinami i mimo poszukiwań, nie zdołał go odszukać. Dowiedziawszy się zaś, że to ja jestem owym przezeń poszukiwanym ziomkiem, młodzieniec ogromnie się ucieszył, witając mię serdecznie i przepraszając, że nie zna swego ojczystego języka; cieszy się bardzo, że przecież raz „w życiu“ spotkał rodaka, który przyjechał z Polski, zna ją i będzie mu mógł wiele, wszystko o niej opowiedzieć. Sam tak pragnąłby choćby raz w życiu zobaczyć ziemię swych ojców, cieszy się, że ojciec jego dotąd nie przyjął obywatelstwa francuskiego, ani żadnego innego, bo jako obywatel polski stanie do przeglądu wojskowego przed polskiemi władzami i będzie musiał służyć w wojsku polskiem, a on właśnie tego chce, choćby miał się zgłosić na ochotnika.

O moim przybyciu do Aleppa zawiadomili obaj bracia Zabłoccy telefonicznie trzeciego rodaka z okolic Aleppa, kontrolora kolejowego w Adana, który natychmiast tego samego dnia na tę wiadomość przyjechał do Aleppa i odszukał mię w hotelu. To brat cioteczny obu Zabłockich, p. Stanisław Bednawski, mieszka wraz z matką, z którą rozmawia po polsku i temu

właśnie oboje zawdzięczają jaką taką znajomość tego języka, żona bowiem jest Francuzką, a tak żona jak i dzieci mówią tylko po francusku i arabsku.

W samem Aleppie pracuje w prywatnem przedsiębiorstwie niejaki Hoszowski, syn przed kilkudziesięciu już laty zmarłego oficera z powstania węgierskiego. P. Hoszowski jednak zgoła nic nie umie, ani nawet słowa nie rozumie po polsku. Natrafiłem też w Aleppie i na prowincji na dwie rodziny niejakich Baranowskich, lecz ci nietylko nie umieją, a nawet nie rozumieją ani jednego słowa po polsku, a wręcz oświadczają, że ich rodzice byli Francuzami i oni też są tylko Francuzami.

Wszyscy zatem przedstawiają typ Lewantyńców w różnym odcieniu. W każdym razie jednak i oni też tworzą pewnego rodzaju daleko na Wschód wysuniętą placówkę polską.

Inż. Zabłocki zapoznał mię bezzwłocznie z niejakim Ali Riza Beyem, majorem wojsk tureckich w rezerwie. Ojciec jego, Ali Effendi, — tak mi opowiadał ów Turek, — był swego czasu jako oficer przydzielony gen. Bemowi.

Natychmiast tego samego dnia udaliśmy się wszyscy na stary mahometański cmentarz wojskowy na „Dżebel el Isam", na „Górę wielkich ludzi", i tu pokazał mi Ali Riza Bey grób gen. Bema, w sąsiedztwie którego znajduje się grób ojca Ali Riza Beya, zmarłego i pochowanego tu w r. 1909. Tu zebraliśmy się z całą miejscową Polonją, która złożyła na grobie wspólny wieniec i kwiaty. Ali Riza Bey złożywszy ręce na piersiach, odmówił arabską modlitwę, kończąc ją słowami: „Arju min Allah an ühtie al baraka!..." Boże! Pobłogosław mu!

Słońce właśnie swą niebieską wskazówką znaczyło południe, gdy my wszyscy Polacy zdjęliśmy na tym dotąd opuszczonym grobie z głowy nasze nakrycia, zaś inż. Zabłocki, uklęknąwszy, na głos odmawiał łamanym językiem polskim: „Zdrowaś Marja..."", a za nim my wszyscy.

I bardzo serdeczną i chyba bardzo strzelistą była ta nasza wspólna modlitwa i zapewne Bóg, Ten niewidzialny, nieznany, ale prawdziwy Bóg, wysłuchał tej żarliwej modlitwy.

Z grobu gen. Bema udaliśmy się wszyscy do mieszkania państwa Edwardostwa Zabłockich, w jednym z tamtejszych domów kolejowych tuż obok dworca kolejowego. Tu wita nas wszystkich ku memu niebywałemu zdziwieniu melodja pol-

skiego hymnu narodowego na fortepianie. To gra córeczka państwa Zabłockich, czternastoletnia panna Jadwisia Zabłocka, nierozumiejąca podobnie jak jej rodzeństwo, słowa po polsku.

Zaczyna się ciekawa, charakterystyczna rozmowa Polaków, wszystkich w języku obcym.

Oczywiście w rozmowie obok starszych bierze udział i dziatwa, t. j. dzieci pp. Zabłockich, które nie miały dotąd po-



Grób gen. Bema.

dobnej sposobności pobawardowania. Dzieci, trzech synów i 14-letnia córeczka, żałują, że nie znają języka ojczystego, jakkolwiek — opowiada mi to 6-letni Michaś, który w międzyczasie zdołał wyspinać mi się na kolana, — pacierz wszyscy mówią po polsku; wyuczyły się go tak dzieci jak i mamusia; rano wszyscy oni odmawiają: „Ojcze nasz“, zaś wieczorem wszyscy, t. j. rodzice, rodzeństwo, a nawet służąca, Ormianka, klękają w pokoju, ojciec odczytuje z książeczki na głos litanję do Matki Boskiej, a wszyscy klęczący, choć nie znają języka polskiego, odpowiadają chórem po polsku: „Módl się za nami“. Opowiadającemu przytakuje najmłodszy z rodu, 5-letni Oleś, który w najlepsze przystawił sobie krzesło, a wdrapawszy się

na nie, opiera się na mojem ramieniu i przysłuchuje się z zajęciem dzisiejszej rozmowie. Obaj też dopytują się, czy na zapowiedzianą uroczystość przyjedzie do Aleppa wojsko polskie i ułani na koniach. Przecząca odpowiedź przyprawia ich o smutek, bo wojska polskiego dotąd nie widzieli nawet na obrazku. Ale nietylko oni, ale nawet sam p. Zabłocki mówi, że wojska polskiego również nie oglądał dotąd podobnie jak jego dzieci, nawet na obrazku, a przecież jego ojciec był żołnierzem powstania listopadowego.

Najstarszy z rodzeństwa gra ze siostrą na cztery ręce „Hej strzelcy wraz!“ Tu inż. Zabłocki zwraca uwagę, że tę szczególnie pieśń pamięta jeszcze z lat dziecięcych z Konstantynopola, gdzie ją śpiewano i grano w domu jego rodziców często w towarzystwie Langiewicza, któremu jego rodzice udzielili swego czasu pierwszego przytułku w swem mieszkaniu po r. 1863.

Podejmuje tę pieśń starszy pan Zabłocki, a za nim wszyscy, a nawet całe zjednoczone pokolenie wszystkich trzech zebranych tu rodzin syryjskich Polaków.

Wspomnienie tej pieśni, domu rodzinnego i nieznanej dalekiej ojczyzny, wzruszyło silnie wszystkich moich trzech ziomków, szczególnie zaś starszego p. Zabłockiego, w którego oczach wkrótce też pokazały się łzy. Te pieśni, to najdroższe jego wspomnienie dawnych lat z domu rodzicielskiego, przechowuje jak skarb najdroższy i przekazuje swym dzieciom; tylko trzy pieśni takie zapamiętał, uratował i tutaj w gorących piaskach obcej Syrji zachował. Najstarszy syn wraz ze siostrzyczką na cztery ręce grają tę ostatnią, znaną im, przekazaną przez ojca pieśń: „Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę“. Pan Zabłocki ociera łzy i teraz zato z większą jeszcze siłą, całą piersią, podejmuje tę pieśń, podejmujemy ją wszyscy, a za naszemi basami, barytonami, najmłodsze polskie pokolenie, choć nie słowa, ale z całym talentem podejmuje swemi sopranami i dyszkantami melodję.

I przypomniały się i mnie samemu moje dziecięce na tarnowskiej Strusinie lata... Wszak wspomnienie tej pieśni było jednem z tych, które mnie jak echo daleko, za siódmą górę, siódmą rzekę i prawie siódme morze, aż tu na te dalekie syryjskie zaprowadziło piaski.

Silna pieśń rozlega się nietylko w mieszkaniu, przez otwarte okna przeciska się i dochodzi daleko. Udział w tym nastroju biorą sąsiedzi już ze wszystkich domów kolejowych, a nawet z najbliższych ulic Aleppa, koledzy i podwładni pana Zabłockiego, przystając pod oknami i na progu.

A że panują tu stosunki patrjarchalne, zatem niektórzy najbliżsi sąsiedzi wchodzą do mieszkania. A więc szef sekcji personalnej i zawiadowca stacji kolejowej, obaj Arabowie, szef sekcji administracyjnej Turek, kolejomistrz Ormianin, nawet dwaj konduktorzy z domów kolejowych, obaj Tatarzy, wszyscy przychodzą i ze wszystkimi witają się i ze mną również i rękę ściskają, każdy mając coś o gen. Bemie do powiedzenia.

* * *

Już zmrok zapadał, gdy odprowadzany przez syryjskich ziomków, wracałem do mego zajazdu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W ostatnich dniach mego w Aleppie pobytu, miłą była dla mnie wiadomość, zakomunikowana mi przez służbę hotelową, że od kilku dni poszukują mnie dwaj Polacy z pod Aleppa, lecz nie mogą mnie nigdy zastać. Zdziwiło mię to i zaciekawiło, gdyż nie miałem tego rodzaju wiadomości, z którąby niechybnie inż. Zabłocki ze mną się podzielił.

Wreszcie zastali mnie, przez służbę anonsując się jako Polacy, interesujący się zapowiedzianemi uroczystościami. Ucieszyłem się. Byli to dwaj mechanicy kwalifikowani częścią w Aleppie, częścią zaś pod Aleppem, bracia Leon i Ignacy Herbstowie. Pochodzą ze Lwowa, gdzie się urodzili, uważają się za Polaków wyznania mojżeszowego i między sobą mówią wyłącznie po polsku, akcentując swoją polską narodowość.

VIII.

Kultura arabska.
Kobieta arabska. W meczecie i w sądzie. W teatrze i w restauracji. Na pogrzebie arabskim.

Czas wyczekiwania przyjazdu delegacji, naprzeciw której co drugi poranek wychodziłem z inż. Zabłockim na dworzec, urozmaicałem sobie zwiedzaniem i nawet dość dokładnem poznawaniem Aleppa, jego wszystkich instytucji, stosunków, ludzi, a nawet okolicy i wsi arabskiej.

W średniowieczu kultura arabska stanęła bardzo wysoko, wyżej nawet na pewien czas od kultury zachodniej Europy. Bo Arabowie wchłonęli w siebie wszystkie najlepsze pierwiastki kultur wschodnich, Syrji, Babilonji, Niniwy, Egiptu, a nawet w części i Grecji i oni nadawali właściwie ton światu muzułmańskiemu, liczącemu przeszło dwieście miljonów wyznawców.

Wszak język arabski wraz z wszystkiemi swemi djalektami zapanował już wówczas od Atlantyku aż po Indus, od Araratu aż po Ocean Indyjski, a wraz z językiem i kultura arabska i zwyczaje arabskie. Kultura, która podporządkowała sobie kulturę turecką, jako o całe niebo niższą, bo dziką, prawie mongolską, bo mongolskiego pochodzenia, mimo wszystkich zalet tureckich począwszy od ich dzielności, a skończywszy na ich dotrzymywaniu słowa i uczciwości.

Na wszystkiem zaś, co odziedziczyli lub choćby zapożyczyli, wycisnęli Arabowie gorące piętno swej indywidualności. To też kultura arabska sięgnęła aż na chrześcijański półwysep iberyjski, który jej ślady nietylko w budownictwie nosi.

W średniowieczu święciła poezja liryczna i bajkopisarstwo swoje triumfy. Arabski poeta Dżehastawi pierwsze dał podstawy do budowy najcudniejszych w świecie bajek „Alf

lélè va lélé" tj. „Tysiąca i jednej nocy", najwspanialszego dzieła wyobraźni ludzkiej, skarbnicy poezji prawie wszystkich ludów Wschodu, a ubranego w kolorową szatę arabskiego języka. Wszystkie bajki arabskie z „Tysiąca i jednej nocy" wyszedłszy z jeszcze dalszego Wschodu, tu podobnie, jak w Bagdadzie i Damaszku zyskały swą właściwą oprawę, i tu z surowego djamentu oszlifowane, jako jeden z największych skarbów literatury arabskiej, całem bogactwem tęczy zajaśniały. Oczywiście sam język arabski należy do najtrudniejszych, bo to język bogaty i skomplikowany, jak skomplikowany cały arabski alfabet, składający się z przeszło 400 dźwięków, alfabet, który przyswoiły sobie dotąd prawie wszystkie ludy muzułmańskie, nie wyłączając i tureckiego.

Wpływ literatury arabskiej na literaturę turecką i na literatury europejskie, a w części nawet i na polską, znany. Nietylko Michał Czajkowski i Zygmunt Miłkowski (Jeż), ale sam Słowacki tworzył częściowo pod wpływem tej literatury („Arab", „Ojciec Zadżumionych"), Mickiewicz („Farys"). Ileż to mamy w języku polskim najczęściej za pośrednictwem języka tureckiego, wprost inkrustowanego językiem arabskim, zapożyczonych ze słownictwa arabskiego, wyrazów?

W tym kierunku przypomnę tylko A. Brücknera „Słownik etymologiczny języka polskiego" (admirał — emir al bahr; arsenał — dar assanah, t. j. dom pracy, algebra i t. d.), i niedawną rozprawkę prof. Kowalskiego p. t.: „W sprawie zapożyczeń tureckich w języku polskim", powołane w niej źródło-słowniki i t. d.

Natomiast sztuka arabska przyjęła z powodu zakazu Koranu przedstawiania w jakiejkolwiek formie postaci ludzkiej i boskiej, a to celem ukrócenia bałwochwalstwa, kierunek inny, niż sztuka europejska. Ograniczyła się jedynie do obrazowania świata roślinnego i zwierzęcego, skąd też wydoskonaliło się specjalne malarstwo i rzeźbiarstwo arabeskowe, dając szczególne wzory nowej sztuki plastycznej. Ta odrębność sztuki arabskiej wyróżniła się szczególnie w pięknej architekturze i budownictwie mauretańskiem.

A jakże wysoko w innych dziedzinach stanęła kultura arabska, np. na polu algebry, astronomji, chemji. Zasługi nauki arabskiej w zakresie astronomji podkreśla sam Humboldt.

Nauka filozofji również staje wysoko, starając się pogodzić islam z filozofją Platona. Ten to nowy kierunek naturalistyczny filozofji arabskiej dowodzący, że rozum ludzki jest w stanie poznać prawdę materjalną i bez objawienia, wywarł wielki wpływ na nowy prąd nawet w nauce żydowskiej, a uczeń arabskich filozofów Majmonides wprowadza wyłom w ujęciu i wykładzie Talmudu, usiłując go tylko pod wpływem arabskiej filozofji wprowadzić na drogę liberalizmu, pogodzić go z postulatami rozumu i żądaniami postępu. Prawda, że medycyna stanęła u Arabów nisko z winy zakazu sekcji w dziale chirurgji; zato wydoskonaliła djagnozę i sztukę leczenia chorych.

Gdy w Turcji Mustafa Kemal Pasza, będący jej dzisiejszej w całem tego słowa znaczeniu personifikacją, rzucił już w swojej ojczyźnie złoty most między starym światem a Europą, reszta świata muzułmańskiego wraz z Syrją tkwi dotąd w szczęśliwem dla jednych, ponurem dla innych, średniowieczu.

Jeśli chodzi o podział klasowy ludności muzułmańskiej, to ta rozpadła się na pierwsze dwie zasadnicze klasy, na mężczyzn i kobiety, a więc na płci, będące tutaj równocześnie i klasami. Zatem podział na barwne zawoje, czerwone fezy z jednej strony i na czarne kobiece czarczafy z drugiej strony. Mężczyzna i kobieta to dwa odrębne światy. W tym podziale i jego zestawieniu najlepiej uwydatnia się tutaj wyniosłość i majestat uprzywilejowanego we wszystkiem mężczyzny i niedola, a raczej niewola kobiety, poddanki mężczyzny.

Mężczyzna spełnia rolę pana i władcy wszystkiego, kobieta prawie rolę niewolnicy, dla której życie doczesne jest doprawdy klauzurą od kolebki aż do grobu, bo już w czternastym roku życia przywdziewa cały strój czarny, jakby żałobny i zarzuca na twarz również żałobny welon, czarczaf, z którym nie rozstaje się poza domem. Supremacja ta przebija się i w tonie i stylu kwiecistym, często przesadnym mężczyzny, a potulności i pokorze kobiety.

Zapoczątkowana w Turcji emancypacja niema tu widoków.

Kobieta nietylko nie bierze udziału w życiu politycznem, publicznem, ale nawet w życiu prywatnem. Nietylko w meczecie nie jest godną, dopuszczoną do codzieniego udziału w nabożeństwie, bo i tu ma wyznaczone w owe wyjątkowe dni

osobne zdala od mężczyzn miejsce, ale nie bywa w kawiarni, teatrze lub kinie, a musi zajść coś nadzwyczajnego, by znalazła się na ulicy w towarzystwie męża. Pewien autentyczny zeuropeizowany Turek przyjechawszy zaraz po ślubie ze swą żoną z Konstantynopola w zeszłym roku do Aleppa w podróży poślubnej, a raczej podobno w sprawach majątkowych do swych teściów, zapomniawszy się, odważył się zbliżyć w towarzystwie własnej żony do jednego z miejscowych meczetów. Fakt ten, będący zresztą później przedmiotem oburzenia miejscowej ludności muzułmańskiej, oskarżenia o pogwałcenie Koranu i rozprawy sądowej, stał się powodem napadu Arabów na parę turecką i publicznego wychłostania, a omal nie ukamienowania. Miarę cierpliwości miał podobno przebrać fakt, że para małżeńska szła pod rękę.

Pozdrowienie cudzej żony na ulicy, zaczepienie jej lub zagadnięcie przez obcego lub choćby nawet ukłon są niedopuszczalne i stanowią obrazę męża. Mężatka nie może jechać z obcym mężczyzną na jednym wozie, a w kursujących obecnie pociągach istnieją osobne przedziały dla kobiet muzułmańskich. Zresztą nad przestrzeganiem przepisów Koranu i prawa zwyczajowego stróżuje na ulicy tutaj policja, która w ten sposób jest i policją religijną. I biada Europejczykowi, któryby tu wykroczył. Jeden taki śmiałek, żołnierz angielski, który odważył się przed kilku laty na ulicy Bagdadu z żartu podnieść pewnej Arabce czarczaf, został w tej chwili przez tłum arabski w oczach policji arabskiej ukamienowany.

Małżeństwo, po arabsku „nikah“ jest zwykłym kontraktem, aktem cywilnym, zawieranym wobec kadi'ego; kontrakt ten zwie się „baja“. Przedmiotem kontraktu jest narzeczona i jej jako przyszłej żony ekwiwalent, posag „mahr“. Podmniotem kontraktu zaś jest narzeczony, przyszły mąż. Posag otrzymują teściowie od zięcia. Im więc muzułmanin bogatszy, tem więcej ma żon. Ten pogląd ma dwie strony, bo przez lekkomyślne poślubienie kilku żon, może mąż stanąć po ostatnim ślubie na brzegu niewypłacalności. Jednak zwykle przez ożenek powiększa się majątek męża, bo ten żeniąc się prawie wyłącznie ze względów gospodarczych, wyszukuje sobie kobietę najpracowitszą, któraby i za niego pracowała i wniosła w dom pracę od świtu do nocy i wybitne kwalifikacje zawodowe np. znajo-

mość wyrobu dywanów, których udoskonalony wyrób i sprzedaż na Wschodzie są źródłem dochodu i majątku.

Narzeczony jednak nie widzi twarzy swej przyszłej żony przed zawarciem umowy ślubnej, bo kobiecie nie wolno zdjąć czarczafa nawet wobec narzeczonego. Starający się jednak młodzieniec często znajduje w takim wypadku wybieg. Wchodzi w zmowę ze służbą w domu rodzicielskim swej wybieranej, przepłaca ją i podpatruje upatrzoną z poza portjery przy pierwszej lepszej kąpieli, a wtedy widzi ją bez zasłony. Kąpiel łazienna jest bowiem rytualnym nakazem i obrzędem.

Rozwód jest prosty. Wyrabia i daje go sobie sam mąż przez t. zw. trzykrotne „talak", t. j. w uroczystej formie wypowiedziane słowa: „Odrzucam cię od siebie".

Natomiast Beduinki nie noszą zasłon i tem łatwo odróżnić ją od właściwej Arabki, stanowiącej żywioł miejski. W tem kryje się nietylko różnica stanu, ale i różnica wierzeń i tłumaczenia Koranu. Beduini są podobno właściwymi Syryjczykami, autochtonami, podobnie jak Maronici; pierwsi przyjęli jednak Islam, drudzy chrystjanizm, niosący tu hasło wyzwolenia kobiety.

Cała ludność męska miejscowa tak Aleppa jak i wszystkich miast syryjskich i całego kraju, a więc w tem i ludność tubylcza chrześcijańska, grecka, ormiańska i maronicka nosi na głowie fezy lub zawoje. Stąd mnóstwo Greków i Ormian bierze się z wyglądu za Arabów lub Turków, miejscowi Grecy i Ormianie ubierają się jednak z wyjątkiem nakrycia głowy, po europejsku. Natomiast Lewantyńcy, mężczyźni, bez względu na to czy są Anglikami, Francuzami, Niemcami czy Polakami, w miejsce fezów używają latem południowych chełmów korkowych, białych lub szarych.

Gdy w Turcji każdego inteligenta tytułuje się effendi, w Syrji tubylec nigdy nie nazwie niemuzułmanina tym tytułem, lecz jedynie: howadja.

Jest jednak dziedzina, do której nie wtargnęła siła prawodawcy, ani Koranu nawet, ni Mahometa, ani też państwa. Jest to dziedzina kosmetyki, która tu na Wschodzie wywodzi swój rodowód i dała specjalny typ wschodniej elegantki.

Nie nosząc zasłon, Beduinki, dbają bardzo o podniesienie swych wrodzonych wdzięków przez stosowanie sztuki upiększania, bogatsze nawet, córki szeików kąpią się w ciepłem

mleku oślem. Bogatsze też pielęgnują ręce i paznokcie u rąk, a nawet u nóg, barwiąc je na czerwono. Stąd też u niektórych Beduinek, włościanek, przypominających nasze kmiecinie,



Typ Araba.

a może nawet dziedziczki, paznokcie palców u rąk i nóg, ostatnich oprawionych jedynie w sandały, lśnią polerem i różowią się barwikiem. Oczywiście ołówki do czernienia brwi są im dobrze znane i niemi nadają im kształt dużych łuków.

Zresztą brwi czerni a usta karminuje prawie każda, nawet uboga Beduinka. I przeważnie też palą tytoń.

Stąd często Beduinka, ugniatająca zresztą codzień własnoręcznie nawóz zwierzęcy niczem ciasto, odwiedza składy kosmetyków. W bazarach takich można nabyć nietylko najcudowniejsze środki kosmetyczne, olejek różany z Sziras, na którego kilkukroplowy wytwór nieraz zużywa się cały centnar róż, ale i cudowne zioła na miłość, na jej zadanie lub odczynienie czy obrzydzenie, napoje miłosne, lubczyki, eliksiry życia i śmierci. Ale można tu nabyć i inne remedia. Naprzykład przed tutejszym sądem toczyła się niedawno rozprawa przeciw pewnemu bazarnikowi o to, że sprzedawał jakiś olejek jako olej święty, „jagh kuds", którym natarcie każdego zmarłego, choćby największego grzesznika, wystarczało, by ów zmarły poszedł wprost do nieba; muzułmanom podawał się ów kupiec za ich współwyznawcę, natomiast chrześcijańskim poszukiwaczom nieba przedstawiał się za Maronitę. Na rozprawie sądowej okazało się, że był Grekiem.

* * *

Największe piętno na kulturze arabskiej wycisnęła religja i liturgja. Nawiększym meczetem w Aleppo jest meczet proroka Zacharjasza, Zakkarja dżemi. Meczet jak wszystkie meczety, znane z innych opisów, tem wyróżniający się od innych miejscowych, że wielkich rozmiarów, okazały. Właśnie muezzin wieścił z minaretu na cztery strony miasta i świata melodyjnym, żałosnym głosem chwałę Allaha: Allah Uakbar! Le ile illa Allah. V nashadu ina Muhamed rasul illah! Allah jest wielki! On jest jedynym Bogiem, a ja świadczę, że Mohamed jest jego prorokiem! Pięć razy dziennie temi słowy nawołuje muezzin wiernych do modlitwy. Wszedłem właśnie na podwórze meczetu, gdy wtem dwaj starsi Arabowie na mój widok wybiegli z krzykiem pod moim adresem, a że nie mogłem zrozumieć, o co im chodzi, więc gestami oburzenia pokazując moje na nogach obuwie, dali mi do zrozumienia, że już przed wejściem na dziedziniec winien byłem zdjąć trzewiki. Zarzut ten i wyrzut spotkał mię nieoczekiwanie, gdyż w konstantynopolitańskich meczetach zdejmuje się trzewiki nie na progu dziedzińca, lecz na progu samego meczetu. Zawróciłem zatem do

pierwszej bramy w murze dziedzińca, a usiadłszy na kamiennym progu, zdjąłem buciki, wkładając na ich miejsce sandały, w tej chwili podane mi przez służbę meczetu, oczywiście za opłatą. Tymczasem inni byli zajęci czyszczeniem posadzki podwórza w miejscu, którem przechodziłem w obuwiu; najpierw zamietli miotełką, a potem wyczyścili suknem kamienie, które moją stopą splugawiłem.

Mój Boże! Ledwie wszedłem, a już tyle ze mną tu kłopotu.

Podwórze czworokątne, w każdym rogu fontanna tryska wodą do okrągłego marmurowego basenu. Tu pobożni dokonują ablucji przed i po modlitwie, zmywają ręce i stopy.

Wszedłem do wnętrza świątyni, gęsto i wysoko wyścielonej na posadzce samemi perskiemi dywanami. Z sufitu zwisają olbrzymie pająki lamp. Żadnych krzeseł, żadnych ławek. Cała nawa zajęta modlącymi się, bo to właśnie piątek, samo południe, a jak później dowiedziałem się, spotkał mię ze strony muzułmanów akt łaskawości, że jako giaura w dzień ten dopuścili mię do środka świątyni.

Wchodzący do meczetu pobożni, zdejmują wierzchnią szatę, rzucają ją na posadzkę i w postawie stojącej wykonują modlitwę, poczem spuściwszy ręce do kolan, nachylają się tułowiem wprzód. Następnie padają na kolana, nosem i czołem dotykając posadzki, modląc się szeptem: Allahu Uakbar! Chwała i cześć Tobie. Niech będzie błogosławione Twoje imię, a wynoszoną Twoja chwała. Niema innego Boga nad Ciebie! Do Ciebie uciekam się o pomoc przeciw szatanowi. Jesteś wszechmocnym, łaskawym i miłosiernym, panem, który daje zapłatę za każdy dzień. Ty jesteś, którego chwalimy i prosimy o pomoc. Prowadź nas na ścieżki prawe, nie na błędne, które prowadzą do gniewu i do złego.

Resztę modlitwy odprawia siedząc na piętach. Pięć razy dziennie wedle Koranu ma wierny odmawiać swą modlitwę. Meczet przepełniony wiernymi, modlącymi się jak na komendę, raz w postawie stojącej, to znów na kolanach, czołem do posadzki.

Z boku pod ścianą meczetu stoi rodzaj niskiej ambony, na którą wchodzi imam i głosi kazanie. Oczywiście w ów piątek stałem i słuchałem jak na „tureckiem kazaniu“.

Kobiety nie są dopuszczane do udziału w nabożeństwie z wyjątkiem miesiąca Ramadhan.

Pięć razy dziennie wedle Koranu ma wierny odmawiać swą modlitwę bez względu, gdzie o danej porze się znajdzie.

Do rytuału religijnego należy oprócz modlitwy również śpiew, deklamacja, taniec, nawet gimnastyka, gestykulacja, a nawet zadawanie sobie ran, połykanie ognia i szkła. W regule stosowany jest ten rytuał w klasztorach przez zakonników t. zw. derwiszów.

Z pomiędzy świąt najważniejsze są następujące: Dzień 10 miesiąca Muharram ku czci śmierci męczeńskiej Husseina, syna Ali'ego. Dzień 12 miesiąca Rabia-el awal obchodzi się dzień narodzin „mawlid ennabi" Mohameta. Nadto święto nocy wniebowstąpienia, „miaraj" Mohameta. Również świętem jest też długi post w miesiącu Ramadan ku upamiętnieniu objawienia się Boga-Allaha Mohametowi.

* * *

Złożyłem wizytę arabskiej Temidzie i palestrze.

Sądy mieszczą się tu obok cytadeli. Zdaleka uderza mię widok kilkunastu stolików przed gmachem sądu. Zaglądam na podwórze i również widzę podobne stoliki. Za każdym stolikiem siedzi z jowiszową powagą jakiś przeważnie starszy jegomość w fezie, a czasem w turbanie na głowie i odpowiada na pytania przygodnych gości, udziela im jakby wyjaśnień, odbiera, przegląda podawane sobie papiery i wydaje innym młodszym towarzyszom jakby dyspozycje. Czasem macza w inkauście gęsie lub rzadziej stalowe pióro, i coś na papierze kreśli. Zaciekawiony przystaję, zbliżam się do stolika i próbuję nawiązać rozmowę, chcąc poznać zadanie takiego stolika z jego obsadą. Na moje grzeczne zapytanie otrzymuję niespodziewaną odpowiedź: „Mohami. Jestem adwokat. Jaką masz sprawę w sądzie?" Na moją odpowiedź, że żadnej sprawy nie mam w sądzie, jegomość ów, a raczej, jak się dowiedziałem, adwokat, odwrócił się powoli, ale z całą powagą do mnie plecami.

Idę dalej. Sylabizuję na tablicy napis w języku i alfabecie arabskim: Makembt estinaf. Zaglądam do słownika i tłumaczę sobie sam: Sąd I instancji. Wstępuję do środka i stwierdzam, że sądy w Aleppo ciasnotą swych lokali zupełnie przy-

pominają budynki naszych sądów. Na drzwiach pierwszego napotkanego biura napis: „Elli bidek el bab bisma ljawab“, t. j. „Kto puka do drzwi, ten oczekuje odpowiedzi“. A więc do-



Chłopiec arabski.

myślam się, że to biuro informacyjne lub podawcze. Wchodzę do drugiej sali, w której dostrzegam największy ruch. Pod ścianą na podjum za stołem siedzi trzech starszych Arabów. Najstarszy w żółtym turbanie na głowie, a w kolorowej szacie,

siedzi w środku, po obu stronach dwaj młodsi, w fezach na głowie, jednak w ubraniu europejskiem. To trybunał, składający się z cadi'ego w pośrodku i dwóch sędziów, hakem, po bokach. Kadi, sędzia w sprawach religijnych, to przewodniczący trybunału rais el makembt. A ów najmłodszy z boku, z piórem za uchem, to katep dopt, auskultant czyli aplikant. Zresztą, że to trybunał, świadczy o tem i sam napis na ścianie nad siedzącymi: „In hakamtum fahkaumou bil adl“, t. j. „Jeśli chcecie sądzić, sądźcie sprawiedliwie“.

Na wokandzie znajduje się spór w rodzaju małżeńskiego i majątkowego zarazem. Powództwo wytacza pokrzywdzony ojciec, względnie teść przeciw zięciowi, który zaraz po ślubie ze starszą córką powoda, uprowadził w noc weselną z domu teścia drugą jego córkę, niezapłaciwszy mu ekwiwalentu, zwanego po arabsku mahr, które to słowo oznacza posag, który oczywiście otrzymuje nie pan młody, ale od pana młodego teść jako ekwiwalent za oddaną mu na własność kwalifikowaną siłę roboczą, która ma cały dzień pracować dla swego przyszłego pana i władcy, a ten ma tylko pracy doglądać. Im więcej żon ma taki Arab, tem jest bogatszy, i tą miarą również doprawdy tutaj ocenia się majątek danego mężczyzny. Ojciec zatem wytacza teraz przed sądem powództwo o zwrot drugiej córki, odnośnie do której nie nabył żadnych praw rzeczowych ani osobowych, zatem bez żadnego tytułu znalazła się w jego haremie.

W sprawie tej odbyło się już kilka rozpraw, przeprowadzono już całe postępowanie sądowe, dzisiaj ostatnia rozprawa. Sąd przesłuchuje właśnie ostatniego świadka, który staje przed księgą Koranu, składa na niej obie ręce i powtarza za kadim rotę przysięgi. Po zamknięciu rozprawy trybunał udaje się na naradę, z której po krótkim czasie wraca, a przewodniczący ogłasza wyrok również krótki:

„Battihten bfard id ma byenmesku. Iza kan habibak asalla telhaso kello“, co znaczy po polsku: „Dwóch melonów nie można trzymać w jednej garści. Jeśli twój przyjaciel teść jest z miodu, nie wyliż go całego. (Bo co ci zostanie?)

I czy Salomon wydałby lepszy wyrok?

Zwiedzam t. zw. pokój dla adwokatów. Przed drzwiami wyczekuje klijentela. Na drzwiach napis arabski: „Tlate ma

byentaku: el takk u lbakk u nntakk", co znaczy: „Trzy rzeczy nie są do zniesienia: gadulstwo, pluskwy i narzekanie". Ale nie wiem jednak, do kogo ten cytat się odnosi, do klijenteli, czy też do adwokatów. Sam pokój obejmuje czytelnię, podręczną bibljotekę i bufet, opływający w południowe łakocie, a przedewszystkiem w mokkę, którą tu piją nietylko obrońcy teściów i zięciów, ale i „sierot, wdów i złoczyńców", jak ich wszystkich w całym świecie, a więc tem samem i arabskich, nazwał pamiętnikarz Kitowicz. Piją ją zaś wygodnie z filiżanek, leżąc lub siedząc na grubo dywanami wyścielonej posadzce.

Sąd był dla mnie egzotyczny, palestra też, i ja również byłem tutaj dla nich egzotycznym i temu właśnie zawdzięczam wszędzie tutaj mój dostęp.

* * *

Teatrów brak. Prawie największe w Syrji miasto bez właściwego teatru, bo zresztą same teatrzyki niewiele różnią się od kabaretów, których tutaj zato mnóstwo, niektórych urządzonych z wielkim wschodnim przepychem.

Łatwo tu nadto spotkać impresarjów, urządzających przedstawienie pod gołem niebem. Sceną dla takiego przedsiębiorcy jest najczęściej jakiś wolny placyk lub nawet chodnik, dekoracją odrapana ściana, mur jakiego przygodnego domu czy podwórka, ale czasem i zieleń ogrodu.

Właśnie wchodzę na takie w większym i lepszym stylu przedstawienie w jednym z publicznych ogrodów. Miejsce kasjera, biletera i zarazem wywoływacza zastępują miejscowe piękności dziewczęce. Troje dziewcząt młodych, w bajecznie kolorowych szatach, z mnóstwem bransolet na ramionach, rękach i pęcinach najczęściej bosych nóg, obwieszone błyszczącemi srebrnemi i niby złotemi monetami i świecidełkami, wybiega naprzeciw przechodnia, uderzając w również brzęczący teorhanik lub tamburino, śpiewem i ognistemi spojrzeniami zaprasza gości na przedstawienie. Jedna wywołuje przedstawienie, druga odbiera pieniądze, trzecia wydaje bilety, oddając gościa w opiekę impressarja, ogromnie wysokiego, czarnego jak noc, brodatego Araba, czy Persa. Wchodzę na widownię, na której już znać postęp Zachodu, bo zaopatrzona w ławki.

W kilku pokazach byłem świadkiem jakichś szaleństw czy nadzwyczajnych sztuk syryjskich derwiszów. Słyszałem o syryjskich zakonnikach, uprawiających w zaciszu klasztornem

ascezę, uodporniającą ich na wszystkie fizyczne bóle. Ci jednak widocznie nie byli derwiszami klasztornymi, ale świeckimi.

Oto wychudzeni, nieczesani, czy rozczochrani ci derwisze zapadają na scenie w trans, poczem wprawieni w trans, rozpalają w ognisku do czerwoności noże. Jeden pociera rozpalonym nożem wargi, język, drugi wbija sobie takiż nóż w policzki, inny przyszpila sobie rozpalonym drutem rękę do ściany. Wszyscy następnie połykają rozżarzone węgle i z nożami, drutami w ciele rozpoczynają rytmiczny, jakiś tajemniczy taniec. Produkcja ta, będąca samoudręczeniem, ma być zarazem wyrazem oddania czci Allahowi. Przypomina nieco europejskich, średniowiecznych biczowników.

Całe to przedstawienie zamyka produkcja kapeli, będącej zarazem chórem.

Produkująca się tu śpiewem młodziutka, cudna Beduinka, pięknie zbudowana, jakby ulana z bronzu, w otoczeniu kapeli hałaśliwej w połowie jakby deklamuje, to znów śpiewa, przyczem zcicha podźwiękująca, to znów pobrzękująca muzyka w antraktach uderza z całą siłą w swe instrumenty, bębny, bębenki, piszczałki. I znów muzyka ta w całym stylu wschodnia, hałaśliwa, prawie milknie, i znów do głosu przychodzi śpiewaczka, swym własnym, pięknym a żałosnym śpiewem tak przejęta, że nieraz wprost wybiega na front sceny, przed którą wzruszona publiczność wprost stygnie z zapartym oddechem. Tak, bo widocznie śpiewa w swym języku jakąś tkliwą opowieść. I w tej chwili z oczu Beduinki padają dwie ogromne łzy, Beduinka przystaje, kładzie rękę na piersi i głęboko oddecha. Lecz kapela, w której rej wodzi jakaś stara, lecz o pięknych rysach wróżka, przebierająca karty w ręku, nie pozwala na tę chwilę wzruszenia i z całą siłą uderza we wszystkie instrumenty, a najhałaśliwiej gra i wykrzykuje jakiś siedzący na tapczanie Tatar zezowaty.

W tej chwili przychodzę do siebie, zdaje mi się, że tę kapelę, tych ludzi już gdzieś raz w życiu widziałem i w tej chwili przypominam sobie, że tę samą kapelę, tę samą starą wróżkę, tego samego zezowatego Tatara i tę samą śpiewaczkę widziałem i słyszałem przed kilkoma tygodniami tam na okręcie, na Morzu Czarnem. I te same łzy widziałem. Wszyscy ci sami, tylko poprzebierani.

I chciałem wołać na głos: Te łzy widziałem i oglądałem już na okręcie na Czarnem Morzu! To chyba za wiele! To ta sama Turczynka, co swemi łzami ujęła czy uwiodła kapitana



Piękność beduińska.

francuskiego okrętu. Albo sam się mylę sądząc, że to łzy zamówione.

Lecz kapela, jakby sama mnie poznała i moje zdumienie poznała, w tej chwili cała wraz z całym chórem i swą boha-

terką uderzyła z największą siłą we wszystkie instrumenty, podniosła larum muzyki i śpiewu i nagle w okamgnieniu znikła za kulisami.

Oniemiała z podziwu, wzruszona publiczność opuszczała teatr w skupieniu.

Długo szukałem owej kapeli i samej Beduinki czy Turczynki, lecz bezskutecznie. Kapela i Turczynka przepadły jak kamień w wodę...

* * *

Szukam restauracji arabskiej, koniecznie arabskiej, wschodniej. Wskazują mi jakiś opodal sklep, a nad nim wiszący, krwawiący jeszcze tułów barana. Wskazany mi lokal biorę oczywiście za zwykłą jatkę, lecz zbliżam się i przypatruję. Przez otwarte drzwi i okna widzę w całości lśniącą od czystości kuchnię i obok pierwszorzędny, jak mi wyjaśniono, lokal restauracyjny. A więc wiszący baran służy tylko za szyld. Wchodzę, podają mi kartę wyłącznie w języku i alfabecie arabskim. Nie mogę się dorozmawiać, więc kelner prowadzi mię przed front restauracji, okazuje wiszącego, oskórzonego barana i zachwala najlepsze kawałki mięsa. Widzę, że czynią to i inni smakosze, osobiście przed restauracją dysponując odcięcie wybranego przez siebie świeżego kawałka mięsa, który też kuchcik natychmiast rzuca na patelnię i podaje kucharzowi. W ten sposób gość osobiście kontroluje jakość, ilość, a przedewszystkiem świeżość danej potrawy. Obiad składa się przeważnie z solbatu, rodzaju zupy i jedynego mięsa, baraniny, koziny i drobiu. Inne mięso tu nieznane, chyba ośle lub wielbłądzie salami. Goście obywają się bez łyżki; tę zastępuje rodzaj macy miękkiej, którą nabiera się i podaje do ust gęstą zupę. Uszu moich dochodzi od czasu do czasu głośne wśród biesiadników, jakby pełne lubowania się, odbijanie z ust.

Ale wtem co widzę. Przed restaurację zajeżdża w galopie na ośle przekupień drobiu. Osioł obwieszony z obu stron zwisającym głowami w dół drobiem. Mimo, że istnieje osobne do kuchni wejście, wchodzi jednak do niej, względnie wprowadza go gospodarz, przez pokoje restauracyjne, przez szpalery obsadzonych gośćmi stolików. Tu znów goście wybierają najsmakowitsze kąski, wydają dyspozycje, kucharz zabiera wy-

brany drób do kuchni i tam w pewnej odległości od okna, ale w oczach publiczności, podniósłszy daną sztukę w jednej



Narzeczeni beduińscy.

ręce w górę już odpowiednio zwiniętą czy nastawioną, przeczystym, błyskającym nożem w oczach ucztujących gości rzeza. Widzą to oczywiście w sali, przylegającej bezpośrednio do kuchni, tylko goście „najwybredniejsi". A wnętrze kuchni jest

widoczne przedewszystkiem z ulicy. Europejczyk z takiego lokalu ucieka.

Panuje tu odmienna niż w Turcji lub Palestynie waluta i kurs. Gdy w Turcji kurs dolara wynosi 194 piastrów, zaś w Palestynie (podobnie jak w Egipcie) około 20 piastrów, w Syrji funt t. zw. syryjski, liczący 100 piastrów, przedstawia wartość 80 centimów, t. j. przeszło 7 złotych.

Przy zmianie pieniędzy jak i przy wszelkich transakcjach prywatnych czy handlowych, w umowie z szoferem łatwo tu można być okpionym. Jak przeciętny Arab nie kradnie, bo tego wyraźnie zakazuje jego prorok Mojżesz w siódmem przykazaniu, tak zdaniem całego Wschodu, gdzie i jak może, wyzyskuje, oszukuje. A już o jakiejś bezpłatnej grzeczności niema mowy. można z nią spotkać się tylko na wsi wśród Beduinów. U szczepu i sekty Metualów jest nawet prawem zwyczajowem dopuszczalne złożenie fałszywych zeznań a nawet przysięgi przeciw sunnicie, a cóż dopiero przeciw obcemu rasą.

Arabów cechuje choć nie rasowa, ale żywiołowa ślepa nienawiść do Żydów i do wszystkiego, co żydowskie. Tak wieśniaka, mieszczanina jak i inteligenta arabskiego cechuje nawet wiara w żydowski mord rytualny, którego nieistnienia w żaden sposób nie mogłem im wytłumaczyć. W opowiadaniach swych ograniczają ten rytuał do jednej tylko jakiejś sekty żydowskiej, której od czasu do czasu ich zdaniem mają padać ofiarą opuszczone, bezdomne dzieci arabskie.

Wśród niewielkiej ilości Żydów, zamieszkałych w Aleppie, wyróżnia się część t. zw. Żydów chrześcijan.

Zapoznając się nieco z literaturą arabską, wyczytałem w jednej z dawnych opowieści opinję o mieszkańcach Aleppa: „El Halebi shelebi...“, „Alepińczycy to urwisze“, która weszła w Arabji w znane ogólnie przysłowie.

Skwar nie do wytrzymania, 30° R. Nie mogąc w mieście użyć kąpieli, bo w lecie rzeka Kuek wcale nie płynie, lecz sączy się bagnem, zresztą w dzień i noc kłuty i pokłuty przez maleńkie, a złośliwe moskity, wprost dusiłem się przez cały czas w tem mieście, zlewając się cały całemi drogo opłacanemi konwiami wody, która zaledwie na chwilę chłodziła.

Zakład czyszczenia miasta, tak w Aleppie jak i wszędzie na całym Wschodzie, ma uproszczone zadanie, w pracy oczysz-

czania podwórzy i ulic z odpadków wyręczają go bowiem w wielkiej mierze jastrzębie i sępy, które całemi dziesiątkami swobodnie, wcale nietępione, krążą i kołują nad miastem i okolicą. Nietępione, bo w pojęciu Araba, pożyteczne. Na widok bowiem wyrzucanych poza dom odpadków, błyskawicznie z powietrza spadają prawie między przechodniów i różne kąski z rynsztoka zabierają. Zato też drób nie przechadza się tu swobodnie, nawet po podwórku.

* * *

Pewnego dnia miałem sposobność przypatrzeć się większemu pogrzebowi arabskiemu, oczywiście muzułmańskiemu.

Był to pogrzeb mężczyzny, bo na czele pochodu szedł Arab, niosąc w obu rękach zawój nieboszczyka; w razie pogrzebu kobiety, niesie się na czele pochodu czarny welon zmarłej. Dalej kroczyło dwóch imamów, za nimi jechał wóz o dwóch wielkich kołach, t. zw. arba, zaprzężony wyjątkowo w dwa piękne arabskie konie. Na wozie w pace spoczywały zwłoki zawinięte w prześcieradło.

Za wozem tym jechały dalsze wozy wraz z rodziną, przyjaciółmi i kolegami zmarłego. Wtem słyszę płacz, a wreszcie lament i krzyk kobiecy. To w szeregu wozów dwa wielkie wozy, których platformy zapełnione kobietami, dziewczętami, wszystkiemi płaczącemi, lamentującemi; niektóre nawet ręce załamują lub pod niebo wznoszą. Inne zaś rozdzierają szaty i zdają się wyrywać włosy z głowy, a inne znów biją siebie po twarzy, to znów czerpią pełną garścią w stojącej na platformie konwi błoto, rzucają sobie niem w twarz, skąd twarze prawie u wszystkich szpetnie zabłocone. Jak za chwilę dowiedziałem się, są to płaczki, które najęte na pogrzeb, symbolizują ciężką po zmarłym żałobę. A więc starożytny wschodni zwyczaj.

IX.

Wieś syryjska.

Ludność wiejska rozpada się tu na ludność mającą stałe miejsce zamieszkania w pewnej wsi i na nomadów, koczowniczych pasterzy.

Pierwsi zajmują się uprawą roli i chowem owiec, kóz, wielbłądów. Bydła rogatego tutaj brak, gdyż z powodu braku większej paszy, chów jest niemożliwy. Trawa bowiem jest bardzo niska i często ukryta pod kamieniami, z pod których jedynie owca lub koza jest zdolna ją dosięgnąć.

Istnieje i tu większa własność ziemska w rękach beyów, bo nazwa beya oznacza w języku arabskim i tureckim właściciela większego obszaru ziemi.

Ustrój wsi jest w zasadzie taki sam, jak w mieście, a więc wieś ma swego imama, muktara i swą radę. W uboższych wsiach władzę imama kumuluje muktar, a czynność muezzina wychwalania Allaha z minaretów, spełnia nieraz i sam policjant gminny. Wieś jest otoczona naokoło murem kamiennym lub z gliny. Domy, to lepianki również z gliny w kształcie krągłego stożka, a więc w formie głowy cukru. Każde średnie gospodarstwo obejmuje kilka takich stożków, jako domu mieszkalnego i zabudowań gospodarskich.

Kuchnia oczywiście jarska, brak paliwa, bo niema tu drzewa ani węgla; zastępuje je nawóz zwierzęcy. Nawóz ten rozrabia kobieta własnemi rękami jak ciasto, mięszając z wodą, ugniata zeń rodzaj plastrów, te rozwiesza na murze do słońca, a wysuszone plastry służą potem za jedyne paliwo. Plastry te też wkłada się do pieca chlebowego, po wypaleniu usuwa się je, a na ich miejsce kładzie się chleb do wypieku.

Umeblowanie w mieszkaniu bardzo proste, bo niema tu wcale mebli. Łóżko zastępuje zwykły trzcinowy tapczan, czasem jest nim cały stos dywanów. Krzesła, szesłągi, ławki również rzadko są w użyciu. Siada się na tapczanie, nogi składając w krzyż pod siebie. Stół zastępuje najczęściej najnaturalniejsza w świecie posadzka z gliny lub podłoga z ubitej ziemi. Zastawa stołowa bardzo prosta, bo jej prawie tutaj



Wieś syryjska. Widok ogólny.

niema. Wszyscy spożywają jedzenie równocześnie z jednej wielkiej misy, nie używając noża ani nawet łyżki. Łyżkę przy spożywaniu zupy zastępuje zwitek chleba, który tutaj stanowi rodzaj grubej, miękkiej macy, maczanej w zupie. Zwykłe placki wypieka się nad ogniskiem na kamieniu.

Zwyczaje panują tu patrjarchalne. W rozmowie traktują każdego przez „ty", choćby najwyższego dostojnika, jedynie czasem dodając tytuł: effendi, howadja.

Ze zboża rodzi się tu jęczmień, owies, rzadko żyto, a pszenicy nie spotkałem ani zagonu.

Uprawa roli prymitywna, archaiczna. Ziemię orze się sochą, bronuje kłodą drzewa, zboże rznie się sierpem, młóci się zaś

przez wydeptywanie snopów zboża przepędzanem bydłem lub też przez przesuwanie ciężką kłodą drzewa.

Ogrody leżą nie wśród wsi, lecz poza wsią. Są to ogrody, gaje pomarańczowe, cytrynowe, oliwkowe, figowe. Winnice syryjskie dostarczają specjalnych win, znanych na rynku światowym.

Wieś syryjska i obozy Beduinów dostarczają przemysłowi tkackiemu znakomitej wełny wielbłądziej i owczej, bawełny, a nadto surowca jedwabiu.

Ludność rolnicza spokojna z natury ciężkiej już swojej pracy. Żywszego zaś temperamentu są ruchliwi nomadowie, właściwi Beduini, pasterze, niemający ani stałych domów, ani wsi, a koczujący pod gołem niebem lub namiotem z wielbłądziej wełny.

Tu już nie występuje „muktar"; naczelnik obozu, względnie plemienia, nazywa się szeih, lub szeik.

Obóz taki Beduinów, pełen romantyzmu i poezji, tchnie tętnem obrazów biblijnych, bo starożytny romantyzm nie zaginął w życiu tych pasterzy, zachował się prawie bez skazy. Zachował się od wieków i przylgnął silnie, nierozdzielnie do ich pierwotnego życia, archaizmu w zwyczajach i obyczajach, do ich namiotów, do blasku ich ognisk, do ich stroju, ich dzikości, to znów dziecięcej łagodności i dobroci, do ich opowieści, bajek i pieśni, wreszcie do ich gościnności i szczodrości, a z drugiej strony do niezwykłej urody dziewcząt beduińskich, bajecznie pięknych i w również bajecznie kolorowych szatach, obwieszonych od stóp do głów świecidełkami, rzucających swe ogniste, palące spojrzenie.

Mieszkanka tak osiadłej wsi jak i obozu beduińskiego chodzi w regule w obrębie wsi czy obozu nie w sukni, ale w zwykłych szerokich spodniach. Suknię zarzuca idąc do miasta, ale i tu spotyka się Beduinki często w samych spodniach z papierosem lub fajką w ustach. Zasłony na twarzy nie nosi. To jedyna emancypacja owej kobiety muzułmańskiej.

Postać Beduina spopularyzował, lecz zanadto wyidealizował mickiewiczowski „Farys". Jak rzeczywistość zwykle odbiega od poezji, bo rzeczywistość jest tworem życia, a poezja wyobraźni, tak też i rzeczywisty Beduin, odbiega od mickiewiczowskiej fantazji. Życie Beduina choć pełne romantyzmu, jest

jednak ciężkie tak w Palestynie jak i w Syrji, siedzibie moskitów i jadowitych owadów, w większej części pozbawionej wody, a conajmniej dobrej wody, stąd też i siedzibie nagminnie tutaj panującej malarji.

Świeża, źródlana, czysta woda jest tutaj rzadkością i w wielu miastach i wsiach jest przedmiotem przetargu, a źródłem utrzymania właściciela jakiej takiej studni. W niektórych okolicach przekupnie roznoszą ją na sprzedaż jak u nas włościanki mleko, roznoszą w ogromnych skórzanych, o niemiłym wyglądzie włochatych baranich workach, rozwożonych na grzbiecie osła.

X.

Czciciele djabła.

Mało kto wie, że właśnie tutaj niedaleko Aleppa, na północ istnieje może najoryginalniejsza pod słońcem sekta, sekta czcicieli djabła, tak, najprawdziwszego djabła. Jest to sekta muzułmańska Jazydjów, względnie Jezydjów. Zajmuje ona dwadzieścia kilka wsi na północ od Aleppa, a liczy kilkanaście tysięcy dusz. Przedtem sekta ta liczyła więcej zwolenników, lecz większą jej część wyniszczyły pogromy tureckie. Stąd też dzisiejsi czciciele djabła są ostatnimi Mohikanami owej dawnej wielkiej sekty.

Członkowie, tej sekty uznają Allaha, ale z drugiej strony wierzą w djabła, jako bóstwo czy też jako jednego ze strąconych aniołów, któremu również cześć choćby półboska należy się. A więc Jazydjowie modlą się dosłownie i do szatana, czyli jednem słowem Bogu świecą jedną świeczkę, drugą zaś szatanowi. Czynią to zaś może nietyle z czci, ile z obawy przed prześladowaniem złego ducha. Gdy do Allaha modlą się w dzień i otwarcie, nabożeństwo i modlitwy swe, poświęcone djabłu, odprawiają w nocy pokryjomu. I skrycie też przechowują ten kult jakby dziś w obawie przed dalszemi pogromami już nietylko Turków.

Jako taką wieś wskazano mi tuż pod samem Aleppem, wyjątkowo w południowej stronie od miasta jednę dużą wieś Joudehi, również Voudehi zwaną. Pierwszą nazwę wsi, podobno właściwą, tłumaczą przezwiskiem danem tej wsi przez jej przeciwników, przezwisko to bowiem ma pochodzić od imienia Judasza. Lecz tylko część mieszkańców tej wsi wyznaje djabła, i to w tajemnicy przed resztą mieszkańców.

Oczywiście zwiedzając i odwiedzając wszystkie osobliwości Syrji, a zwłaszcza Aleppa i jego okolic, nie mogłem pominąć

tak oryginalnej wsi i sekty, tem więcej, że wieś ta leży w odległości zaledwie do 10 klm. na południe od Aleppa.

Postanowiłem zatem wieś tę odwiedzić. Do wycieczki tej zachęciły mię przeróżne w hotelu Barona wieczorne opowiadania miejscowej Szecherezady, podającej się za rodzoną córkę ekssułtana, zbiegłą ze Stambułu i opowiadania akompanjującego jej w ogromnym turbanie, na jedno oko ślepego Araba, między innemi i o tem wszystkiem, co się tam w Judehi



Świątynia djabła i jej kapłani. Obok paliwo z nawozu wielbłądziego.

o północy dzieje i nie dzieje, co oni tam o północy widzieli i czego nie widzieli.

Wszyscy temu opowiadaniu z zapartym oddechem się przysłuchują, a wśród słuchaczy są Francuzi, Anglicy, Niemcy, Persowie, Arabowie, Turcy. Ponieważ opowiadający bają po arabsku, bo nie znają żadnego języka europejskiego, więc opowiadanie tłumaczy dragoman na kilka języków europejskich raz po razu, a tymczasem opowiadający niespostrzeżenie śledzą skutki swego opowiadania, objawiające się nieraz w przejmujących dreszczach wsłuchanych w ich opowiadanie pań. A więc w święto, to jest w piątek około północy gromadzą się zwolennicy djabła w miejscu jemu poświęconem i tu dopiero

dzieją się dziwy i niesamowite sceny. Zalegającą całe miejsce i przestwór powietrza ciszę grobową przerywa nagle świst powietrza. To znak, że zbliża się świta djabelska, dżiny i szajkany, złe duchy. W tej chwili dają się słyszeć z pod ziemi przeraźliwe krzyki, i rzeczywiście z pod ziemi wychodzą straszne postacie, jedne piękne o czarnych jak smoła twarzach, drugie brzydkie, białe, wszystkie zaś pootulane w białe prześcieradła, włóczą się, pełzają ukradkiem po ziemi. Zbierają się na jakieś tajemnicze zebrania, to znów na skrzydłach nietoperza przelatują powietrzem ponad głowami zebranych, którzy ze strachu zaczynają modlitwę. Czasem daje się słyszeć w powietrzu głuchy szczęk oręża walki janczarów i spahisów, przeciągłe jęki rannych i konających, aż wreszcie wśród błysków ognia ukazuje się sam czart. Ale nie wszyscy go widzą, bo nie wszyscy są godni go widzieć. Jednak im żarliwiej kto do niego się modli, temu w tem dokładniejszych ukazuje się konturach. Pokazuje się jako cień o strasznie błyskających w mroku oczach, poczem wysłuchuje modlitwy i przyjmuje hołdy. I wtedy to dopiero zaczyna się żarliwa wiernych modlitwa, mająca na celu uproszenie szatana o uchylenie wszelkich szkód, o odczynienie złego.

Modlitwa trwa tak długo, póki pierwszy blady brzask dnia nie spłoszy widziadeł.

W zwiedzeniu tej wsi i częściowem podpatrzeniu jej zwyczajów i wierzeń, starali się pomóc mi polityczni urzędnicy z Aleppa, Arabowie, muzułmanie, którzy w tamte strony często wyjeżdżali na komisje i stąd też najlepiej znają tak wieś, jak jej mieszkańców i jej zwyczaje i mają w owej wsi znajomych Beduinów. Wybraliśmy się późnym wieczorem wszyscy trzej w fezach, bo i ja z konieczności musiałem przywdziać fez. Wycieczka się udała, bo noc była jasna i piękna, ale cel wycieczki nie udał się. Bo jakkolwiek przybyliśmy na czas o samej północy na miejsce, gdzie znajduje się wielki kamienny ołtarz djabelski i odbywa się nabożeństwo do djabła, rozległy się we wsi gwizdy i na podwórzu, na którem odbywają się zwykle owe nocne misterja, zastaliśmy tylko pustkę i oszczekujące nas psy, tak, że z niczem, t. j. niczego nie podpatrzywszy, wróciliśmy z powrotem rozczarowani do Aleppa.

. . . .

Dogmatem wiary czcicieli djabła jest wedle twierdzeń Arabów uznanie przez Jazydjów konieczności istnienia zła obok dobra, tego nieodzownego dualizmu tak w świecie materjalnym jak i w świecie moralnym, stąd też i dualizm w kulcie tych dwóch potęg.

Czciciele djabła są ostrożni. Nie chcą być podpatrywanymi i niechętnie przyznają się do swego kultu przed Arabami i resztą Beduinów, którzy podobnie jak niedawno Turcy, prześladują ich i tępią.

Wróciwszy do Aleppa, dopiero na miejscu dowiedziałem się od samych Arabów, że wycieczka taka jest bardzo niebezpieczna.

XI.

Nad Eufratem.

W hotelu Barona poznałem jako lokatora sąsiedniego pokoju i współstołownika, prezydenta sądu apelacyjnego i zarazem inspektora sądowego Naket Beya, który w te strony przybył na wizytację sądów. Jedna z tych wizytacyj przypadła na następny dzień, inspektor też zaprosił mię do towarzyszenia mu w tej przejażdżce, na co nietylko zgodziłem się, ale nawet dopilnowałem inspektora, by mi zawodu nie zrobił, odnośny sąd bowiem znajduje się na wschód od Aleppa, na samej północno-wschodniej granicy Syrji, niedaleko Eufratu, a te strony właśnie bardzo mię interesowały, z towarzystwa zaś inteligentnego Araba obiecywałem sobie wiele różnych korzyści.

Do miasteczka tego przybyliśmy nazajutrz autem około godz. 2 rano podług zegara arabskiego, zaś około godz. 8 rano wedle czasu europejskiego. W sądzie pustki, woźny dopiero zaczynał robić porządki, a zobaczywszy nas i widocznie wziąwszy za adwokatów stołecznych, na zapytanie inspektora, gdzie są sędziowie, wyraził niedwuznaczne zdziwienie z powodu naszego tak wczesnego przybycia do sądu, dodając, że naczelnik sądu właśnie wybiera się na polowanie, sędzia zaś właśnie kończy zabawę w kasynie zaczętą i prawdopodobnie dziś nie będzie urzędować. Zresztą, co to kogo obchodzi, zakonkludował woźny, zapomniawszy, że sam już wiele powiedział. Jednak tak wczesne przybycie dwóch gości z Aleppa zaintrygowało go cośkolwiek, gdyż wkrótce pobiegł do przyległej sali i tam coś cichcem z drugim woźnym gwarzył, radził. W skład sądu wchodzi dwóch sędziów i kilku urzędników. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko ruszyć na spacer po miasteczku, do czego zresztą sam inspektora zachęcałem.

Wróciwszy około 10 rano do sądu, dowiedzieliśmy się, że naczelnik sądu co dopiero przybył, ale na godzinę, bo dziś nie ma czasu.

Inspektor wszedł na salę, w której urzędował naczelnik, wypowiadając zwykłe pozdrowienie „Salem alejkun!“, „Pokój



Podwórze domu arabskiego.

Wam“; za inspektorem i ja wszedłem. Widocznie przybycie nasze było niespodziewane, bo naczelnik właśnie przesłuchujący jakiegoś Araba, więcej był zajęty daktylami, których kilka w tej chwili z góry spuszczał do ust, niż samym przesłuchiwanym i protokołem. Naczelnik Aref Ali Bey, wieku około 60 lat, średniej budowy ciała, w białej powłóczystej szacie, w niebieskim turbanie na głowie, z jednem gęsiem piórem za prawem, a dwoma prawdopodobnie zapasowemi pierzastemi piórami za lewem uchem, widocznie znał i poznał mego towarzysza, gdyż na jego widok nagle zbladł, to znów w okamgnieniu sponso-

wiał, zachłysnął się i zakrztusił. Jeden z daktyli ugrząsł mu w przełyku, lecz przytomny przesłuchiwany Arab w tej chwili zorjentował się, bo jedną ręką zdjąwszy ze swych bioder szeroki pas, zaczął nim obcierać naczelnikowi usta, drugą zaś rękę zwinąwszy w kułak, uderzał zakrztuszonego w kark. Zabieg ten okazał się skutecznym, bo stary rais zdołał wstać, pochylić głowę przed przybyłym gościem, w którym poznał pana swego życia i śmierci, wyciągnął rękę po jego dłoń, a przyłożywszy czoło swe do grzbietu jego ręki i pocierając o nie, wschodnim zwyczajem bił pokłony, krztusząc ze siebie z trudem nawzajem odpowiedź: „Alejkun salem!". Zakłopotanie starego naczelnika było dla mnie jako świadka przykre, cichcem zatem na palcach wycofałem się z biura sądu na zwiedzenie miasteczka. Nie znalazłszy tu nic ciekawego, wyszukałem w pobliskim chanie, to jest arabskiej gospodzie, naszego szofera. Gospoda jak wszystkie wschodnie gospody, na oścież otwarta ze stolikami przed drzwiami. Przy stolikach siedzą Arabowie mimo białego dnia i prawie poranka całemi grupami, paląc fajki, ciągnąc nardżile, zapijając się czarną kawą lub chłodząc się lemonjadą; odchodzi też i gra w domino, kości i karty. Widocznie mają wiele czasu, wszak zresztą w domu mają żony i córki, a te za nich pracują od świtu do nocy, choć i oni mają pracę z doglądaniem ich robót i szukaniem rynku zbytu dla produktów domowego przemysłu. Żony i córki są producentkami, a oni kupcami; więc praca podzielona z tą jednak różnicą, że żony ciężko, bardzo ciężko pracują, mężowie i ojcowie lżej.

W drugim pokoju zastaję grającego przy stoliku policjanta w karty, policjant popija wódkę, rjaki, niezwykle smakowity trunek, pędzony ze specjalnej trzciny, zaś towarzysz jego w fezie na głowie popija wino, przekąsając z półmiska, rzecz dziwna, szynkę wieprzową.

Wykorzystuję wolny czas i jadę autem nad Eufrat, szeroki tu prawie jak Wisła pod Warszawą. Oba wybrzeża piasczyste, prawie bezdrzewne, zato po bokach krze i trzcina, nad którą gonią ogromne złociste motyle.

Wsiadam do łódki, kilkanaście poślizgnięć po modrej wodzie i już jestem na przeciwległym brzegu, w El Dzesyreh, tak zwanym tu przez Arabów, kraju. El Dzesyreh oznacza wyspę,

a więc starożytną Mezopotamję, bo międzyrzecze to jest jakby wyspą, która w zaraniu ludzkości miała być ową legendarną wyspą szczęśliwości.

A więc jestem jednem słowem w samym raju, który jednak widocznie inaczej tu wyglądał jako domniemana siedziba pierwszego człowieka, Adama, bo „adam" oznacza w języku arabskim człowieka. Zatem pierwotne słowo to nie było imieniem własnem.

Z rozmyślań nad rajem i prehistorją świata wyrwał mię tymczasem okrzyk z przeciwległego, t. j. prawego brzegu rajskiej rzeki.

Widzę podjeżdżającą w stronę mnie łódkę i słyszę wywoływane moje własne nazwisko. Przyglądam się bliżej i poznaję w łódce samego Naket Beya w towarzystwie miejscowego naczelnika sądu.

Widocznie wizytacja sądu nie wzięła złego obrotu, skoro razem tu znaleźli się i to z dubeltówkami na ramionach. Obok stojący trzeci mężczyzna, to hakem, sędzia, niesłusznie rano przez woźnego jako nieobecny zarekomendowany. O mnie nie zapomnieli, nawet przywieźli ze sobą dla mnie dubletówkę; wsiadam na ich łódkę. Zaczyna się polowanie na ptactwo wodne. Naket Bey strzela do zrywającej się z sitowia dzikiej kaczki i chybia. Ale prawie równocześnie złożył się Aref Bey, strzelił i uciekająca kaczka spadła na fale Eufratu. Aref Bey i hakem wołają „brawo!" i gratulują gościowi zakłopotanemu, wmawiając weń, że to od jego strzału padła kaczka. Po chwili natrafiliśmy na kilka kaczek, które wytropione przez psa od strony brzegu, zerwały się w powietrze. A że przyszła na mnie kolej, więc złożyłem się i niestety spudłowałem. Ale tymczasem po moim strzale w okamgnieniu padł strzał hakema. Kaczka spadła do wody. I obaj, rais i hakem krzyczą w niebogłosy „brawo!". Każdego postrzelonego ptaka przynosił pies w pysku żywego i teraz dopiero Aref Bey za każdym razem dobywał scyzoryka i ptakowi przecinał szyję, wedle przepisów rytualnych muzułmańskich, a następnie podawał psu dla zlizania obficie broczącej krwi. Po polowaniu wróciliśmy do miasteczka, zaproszeni przez Arefa Beya do jego domu. Dla mnie złożyły się zatem szczęśliwie okoliczności i zaproszenie to uwa-

żałem sobie za wielki wzgląd, zwyczajnie bowiem Arabowie nie zapraszają innowierców do swego domu.

Aref Bey, to miejscowy obywatel z dziada. Ojciec jego był tutaj funkcjonarjuszem policji, ogólnie poważanym, pozostawił też synowi swemu mająteczek ziemski w obszarze 500 denin (raczej „dinim"), t. j. około 100 morgów pola. Aref Bey pojął na miejscu trzy żony, jednę córkę muktara (burmistrza), drugą miejscowego mułły, a trzecią widocznie z sentymentu dla rodzinnej tradycji, córkę sierżanta policji w rodzinnem miasteczku. Za dwie żony drogo funtami złota zapłacił, trzecią podobno zbrojnie z domu porwał. Wywiązała się stąd walka dwóch rodów, zakończona szczęśliwie rodzajem naszej średniowiecznej treuga dei, tak dla bohatera szczęśliwej, że mimo postanowienia władz przeniesienia podwładnego do innego miasta, wpływy bogatych teściów zwyciężyły i Aref Bey pozostał na miejscu nietknięty. Czwartą żonę pojął w Konstantynopolu, gdzie ukończyła angielski kurs w europejskim pensjonacie i stamtąd podobno wniosła nad Eufrat nieco nowych poglądów. Błogosławione to małżeństwo o jednym kadłubie, a pięciu głowach doczekało się przeszło dwadzieściorga dzieci.

Wchodzimy wszyscy do domu. Dom otoczony dokoła murem kamiennym, sam również zbudowany wyłącznie z kamienia, jak wszystkie na Wschodzie domy. W zewnętrznych ścianach wprost brak okien, bo chyba nie można brać za nie, wysoko w górze małych, zakratowanych otworów, wyglądających z muru, jakby z jakiej fortecy. Zresztą to taki sam dom, jakich mnóstwo w samem Aleppie.

Stajemy przed zamkniętą bramą domu; w górnej części bramy wisi metalowa kołatka. Za jej kilkakrotnem w bramę stuknięciem otwiera służący bramę i wchodzimy na obszerne podwórze, wykładane płytami marmurowemi, podwórze nakryte u góry drewnianemi ramami, przeplatanemi winogradem. Dolna część ścian kryje się w bluszczach. Na środku w miejscach nieobjętych płytami marmurowemi, rośnie kilkanaście drzew oliwkowych, figowych i granaty. Na środku fontanna, naokoło basen marmurowy „bahra" z pływającemi w nim złotemi rybkami. Pod ścianami tapczany i dywany. Jednem słowem podwórze-ogród i rodzaj salonu, o nazwie „dyar". Lecz zatrzymujemy się najpierw w „mrabba" osobnej pod gołem

niebem ubikacji, w kącie zwanym „ataba", gdzie wszyscy siadamy na ławce wyścielonej dywanem, zdejmujemy buciki, ustawiając je pod ławką, a wkładając na nogi podane nam czer-



Piękność z nad Eufratu.

wone, safjanowe pantofle t. zw. babusze. Następuje przy fontannie ablucja rąk. Teraz dopiero wchodzimy do gabinetu, rodzaju pracowni gospodarza domu, zwanej „mahda", poczem do dużego salonu, t. zw. „kaa". Mało mebli, zato ściany wyło-

12

żone makatami, a podłogi szczelnie wyścielone najdroższemi dywanami.

Wszystkie pokoje, a szczególnie salon, toną wprost w zbiorach najcenniejszych dywanów, kobierców, kilimów, makat, tkanin, sumaków, brokat, brokadel, haftów, niektórych z bordiurą, nietylko najnowszych, pochodzących z warsztatów samego gospodarza i jego haremu, ale i najstarszych z wieku XVI. A więc okazy sztuki mauretańskiej, saraceńskiej, szyickiej, kaukaskiej, turkiestańskiej, perskiej, tureckiej, a nawet afrykańskiej, indyjskiej. Wiele ze starych kobierców to dawne łupy wojenne. Wyjaśnień udziela nietylko mnie, ale i inspektorowi gospodarz.

Najdostojniejsze miejsce zajmuje w salonie na ścianie jakiś bardzo stary, nadtargany okaz, wielkości pięciu metrów szerokości a dziesięciu długości. Właściciel widocznie miłośnik i znawca sztuki kobierniczej tłumaczy nam, że jest to zaledwie mały ułamek historycznego, a może raczej legendarnego kobierca „Khosroesa", który niegdyś podobno około 1000 metrów kwadratowych wielkości, zdobił podwórze w „Białym pałacu" Khosroesy, króla Sassanidów, w tegoż rezydencji w Ktesiphon, a następnie stał się łupem wojennym Arabów. Tkaniny te wyrabiane ręcznie lub na warsztatach, noszą przeróżne nazwy i prawdopodobnie są przeważnie naśladownictwami, bo właściciel wymienił mnóstwo nazw technicznych, ale i w tem nazw geograficznych, wskazujących pochodzenie oryginału czy wzoru. A więc szeleściały mi jedwabiami, miliły się, najmiększą, najdelikatniejszą wełną, srebrzyły i złociły się nazwy: Kirszichir, Karaman, Erzerum, Smyrna, Ferahan, Hamadan, Kirman, Sziras, Karadagh, Saruk, Dagestan, Szirwan, Afgan, Kaszmir, Beszir i inne. Pierwszorzędny surowiec, solidne wykonanie. Przecudna ornamentyka, bajeczny koloryt. Przebogata ornamentyka arabeskowa, geometryczna, skala bardzo żywych barw i ich zestawienie niezrównane. Wzory, desenie tak najnowsze, lub nowsze, jak i średniowieczne, a nawet archaiczne. Niektóre z kobierców noszą efektowne napisy, zgeometryzowane cytaty z Koranu. W ornamentyce brak postaci ludzkiej lub zwierzęcej. Wyjątek stanowią dywany, wyroby Szyitów jako wolnomyślicieli; przedstawiają one sceny z biblji. Całość daje najcudniejsze efekty barw, które podnosi

połysk i mienienie się barw. Największy kobierzec z Sziras, prawdopodobnie jednak nie oryginał, ale we własnym haremowym warsztacie na perski wzór wykonany okaz, liczy 20 draa kwadratowych, t. j. przeszło 20 takichże łokci (1 draa = 67 cm.) i waży, jak twierdzi sam właściciel, około 100 okka (okka = 1283 gramów). Cały przetykany srebrem i złotem.

Dość wysoko na dywanach ułożone tapczany zastępują krzesła. Żadnych obrazów, zato dużo na ścianach starej broni. Zajęci przeglądaniem broni, przechodząc z pokoju do pokoju, w czasie, gdy na chwilę gospodarz domu wydalił się dla wydania jakichś dyspozycyj, uderzył moje i Naketa Beya nozdrza zapach wonnych olejków i w tej chwili znaleźliśmy się na progu otwartego szczególnego pokoju o zakratowanych oknach, wychodzących na podwórze i dalszych podobnych pokoi w amfiladzie. Naket Bey zapomniał się, bo stanął na progu pokoju, w którym zobaczyłem z daleka kilka kobiet arabskich, które na widok obcych żałośnie kwiląc, jak spłoszone ptaki zarzuciły na twarze czarne czarczafy, lecz dwie nie mając widocznie pod ręką welonów, ukryły twarz w rękach, jakby przed grzesznem obliczem intruza. „Harem!", padło egzotyczne słowo z ust towarzysza, będącego już w odwrocie. W tej chwili dał się słyszeć z kurytarza krzyk, a raczej bełkotanie jakiegoś mężczyzny, który nas obu pchnął do natychmiastowej ucieczki do salonu. Był to bowiem pilnujący, a zgorszony naszem tu ukazaniem się, dozorca haremu, eunuch niemowa.

Bo harem, to wprost jakby miejsce święte i dla obcych niedostępne, a w nim żony i córki gospodarza domu, zajęte wyrobem drogich tkanin od świtu do nocy.

Tymczasem wrócił Aref Bey, po chwili dało się słyszeć kołatanie do bramy domu, poczem weszły do środka trzy panie całe w czerni z odkrytemi twarzami. W rozmowie z mężem nazwały go z pokorą „jasidi", a więc przemawiały do niego przez „mój panie", natomiast pan ich przemawiał do nich przez „ente" („ty"). Spostrzegłszy nas, natychmiast zasłoniły twarze czarczafami i czemprędzej się oddaliły do przyległych pokoi, a nielitościwy, okrutny ich pan i władca z całym rygorem właściciela zaryglował za niemi drzwi, zamykając je w reszcie mieszkania, jak w kojcu.

Była to jedna ze żon pana domu z dwiema córkami.

Gospodarz zaprasza nas teraz do „mede“, jadalni, bo jest to już godzina dwunasta, więc według czasu europejskiego godz szósta wieczorem, zatem już czas na „aza“, wieczerzę. Gdy na śniadanie „kasr safra“, jak i obiad „ftur“ podaje się najmniej jadła, tak wieczerza jest bardzo obfitą. Usiedliśmy do stołu na wysoko ułożonych tapczanach. Do zupy nie podano łyżek, spożyliśmy ją przy pomocy kawałków chleba - macy, maczanego w zupie. Potrawy wedle zwyczaju wschodniego spożywa się tylko jedną ręką i to jedynie prawą.

Na stole ukazało się wino i rjaki, przepyszna syryjska wódka, której dobrocią i smakiem nie dorównają żadne koniaki, osobno zaś podano dzban wody. Aref Bey i Naket Bey piją ze mną rjaki, wino jednak pijemy sami tylko z postępowym Naket Beyem, który stara się nakłonić sędziego do wychylenia kieliszka wódki i napicia się jednej szklanki wina, bo i Naket Bey więcej nie wypije. Sędzia jednak składa ręce na piersiach w krzyż, a wpatrzony w swego pana życia i śmierci jak w półbożka, zaklina się, że przestrzega Koranu i nietylko wina, ale i wódki nie pije, bo trunki mu szkodzą. Zrobił zaś przytem tak skruszoną, nabożną do inspektora minę, że dopiero po tej minie poznałem, że mój znajomy to ten sam, którego dziś rano spotkałem w szynku pijącego z sierżantem policji, czy z samym policjantem, wino i zajadającego szynkę wieprzową, a poznałem go właśnie po tej minie i przewróconych oczach, jakie rano do wina, a teraz do swego przełożonego robił.

Najrozmowniejszymi byli gospodarz domu i jego młodszy kolega. Gospodarz domu poraz wtóry dopytywał się mnie, jakie jest moje imię, a potem jak się nazywa kraina, z której przybywam, czy Polska jest tak wielką i piękną jak Syrja lub Arabja, a wreszcie czy Polacy wierzą w Boga jedynego tak, jak oni muzułmanie.

Młodszy zaś jego kolega opowiadał szczegółowo o genezie zakazu picia wina, jak to ongiś sam Mohamet pijał ten trunek, ale od czasu własnej uczty weselnej, gdy od pijanych współbiesiadników — wedle innych od zawiedzionej kochanki — dostał uderzenie puharem w głowę, przyczem oko mu wybito, zakazał picia go pod najsurowszemi groźbami i Koran uzupełnił odpowiednią surą.

W ciągu uczty gospodarz wpadł w dobry humor, bo klasnął trzy razy w dłonie, na który to znak nadbiegł eunuch, temu wydał dyspozycje i wkrótce otworzyły się drzwi od haremu, z którego wyszła jedna z żon gospodarza z zarzuconym tylko przez pół twarzy welonem, a z niemowlęciem na ręku. Usiadła,



W oknie haremu.

a raczej prawie uklękła obok męża na tapczanie i podała mu dziecię do pocałowania. Ojciec z namaszczeniem pocałował dziecko w czoło, dał znak, a żona wstawszy i pokłoniwszy się mu i całemu towarzystwu, wróciła z powrotem do swej gotowalni. Naket Bey na ucho wytłumaczył mi, że to żaden wyjątkowy wzgląd męża dla owej małżonki, lecz zwykła kolej, a żona również przypomniała przy tej sposobności mężowi, że to jej dzisiaj dzień, że pan jej o niej zapomniał; była jednak wyrozumiałą, widząc w domu gości. To najukochańsza, najmłodsza jego małżonka Helu. „Helu" znaczy w języku arabskim „słodka".

Najbardziej ożywiła całe towarzystwo dyskusja na temat a właściwie zadane przezemnie pytanie, czy Mohamet był, czy też nie był w Jerozolimie. Naczelnik sądu i sędzia oświadczyli, że oczywiście Mohamet był w Jerozolimie, bo jako pierwszy prorok boski musiał przecież być w Ziemi Świętej jako ojczyźnie proroków.

Ale okazało się, że i inspektorowi sądowemu chodziło o ścisłość, czy Mohamet był w samej Jerozolimie. Już obaj sędziowie mieli potakującą na ustach odpowiedź, lecz jakoś poczuli się niezupełnie pewnymi swych wiadomości, bo popatrzyli wyczekująco na swego przełożonego. Naket Bey zapijając właśnie ku podziwowi podwładnych już trzeci puhar wina, zrobił znak ręką, który wziąłem za zaprzeczenie, bo wyciągnął w górę rękę i opuścił dłonią w dół. Przypuszczenie moje okazało się nietrafnem, bo to właśnie zwyczajem muzułmańskim znak potakiwania, zgody.

Aaaa! Padło słowo podziwu i uznania dla prawowierności zapijającego już czwarty puhar wina przełożonego i jego znajomości życia proroka.

La, la, la! Wszyscyśmy już — bo i ja też już zacząłem bodaj tyle rozmawiać po arabsku — uznaliśmy słuszność i bezapelacyjność tego wyroku w rzeczach wiary.

Tak — przemówił Naket Bey — Mohamet był w Jeruzalem, ale we śnie. Śniło mu się, tem więcej, że był ślepym na jedno oko, a na drugie źle widział. I tu Naket Bey wstrząsnął brodą do góry, co wziąłem za potakiwanie, lecz znów przekonałem się, że to właśnie zwyczajem wschodnim, znak zaprzeczenia.

Obaj sędziowie aż chwycili się rękami za usta pod samem wrażeniem grozy tych słów.

Mohametowi — ciągnął dalej nasz dostojny rozmówca — wystarczył sam sen, że był w Jeruzalem, za rzeczywistość, bo sen ten był raczej widzeniem i objawieniem samego Allaha. Tak, bo sam archanioł Gabrjel na skrzydłach Boraka uniósł proroka do Jeruzalem, gdzie go partjarchowie Abraham, Jakób i prorok Mojżesz pod przewodnictwem największego dotychczasowego proroka Chrystusa witali. Z dawnej świątyni Salomona Mohamet wstąpił wprost do nieba, gdzie mu się objawił Allah, rzekąc, że pierwszem miejscem świętem na ziemi jest Mekka,

a on, Mohamet, jego pierwszym prorokiem, że zatem nie potrzebuje pielgrzymować do Jeruzalem. Oto był miradż proroka, który wobec tego objawienia oszczędził sobie podróży do Jerozolimy.

I teraz dopiero obaj syryjscy hakemowie podziwiali wiedzę swego przełożonego.

Gospodarz domu najwięcej pamiętał o swych gościach, inspektorowi własną serwetą obcierał usta i brodę, mnie zaś palcami zsuwał z półmiska na talerz kawałki baraniego szaszłyka, to znów przemocą starał mi się wsunąć ręką do ust kawałek kabaka, poczem głaszcząc się po podpiersiu, a potem głaszcząc i mnie, mlaskaniem wyrażał zadowolenie ze smaku potraw. Zrozumiałe to, bo koniecznie potrzebował towarzystwa, zajadając ogromny kawał szczupaka z Eufratu i obficie ptactwo codopiero upolowane.

Po kesta tj. kremie z owczej śmietanki i owocach podano w naczyniu mosiężnem wodę do obmycia rąk i ust przy stole i ręczniki. Jednym z podających był właśnie zarekwirowany z haremu eunuch niemowa.

Już późny był wieczór, gdy wracaliśmy, Naket Bey z komisji, ja z wycieczki. Na niebo właśnie wschodził księżyc w pełni, jakby o uśmiechniętem obliczu, okrągły i żółty jak lampion chiński.

XII.

Jeszcze raz na grobie gen. Bema.

Grób gen. Bema zwiedziłem kilka razy, a do końca mego w Aleppie pobytu, może nawet i kilkanaście razy. Zmusiły mię do tego zresztą i ówczesne uwagi trzech miejscowych obywateli o autentyczności grobu gen. Bema, o czem osobno piszę.

Wysunięte przez nich uwagi zmusiły mię do zatrzymania się w Aleppie dłużej, bo aż na czas trzech tygodni. Wprawdzie na tak długi pobyt nie byłem przygotowany, nie dysponując ani czasem ani pieniądzmi, lecz dla sprawy samej postanowiłem poświęcić cały mój czas i wysiłek, byleby tylko wykorzystać mój tu tak daleki przyjazd i pobyt. Pozostanie w Aleppie na jeszcze kilka czy kilkanaście dni i wyręczenie w tym wypadku delegacji wzgl. Komitetu, uznałem wprost za mój obowiązek.

Chodziło mi o wyszukanie drugiego, najstarszego dozorcy cmentarnego, liczącego lat siedmdziesiąt kilka, a wreszcie i o sprowadzenie go na cmentarz, jak również o sprowadzenie na cmentarz i Ali Riza Beya. Wszystko nie było łatwe do wykonania, tem więcej, że miejscowi Arabowie uważali sobie sprawę grobu gen. Bema i moje zainteresowanie się nim za sposobność do wyzyskania mnie. Pomijam tę okoliczność, że pan Zabłocki przypomniał mi, że Ali Riza Bey spodziewa się odznaczenia go lub wynagrodzenia pieniężnego, gdyż taka nadzieja czy żądanie może mieć i swoje usprawiedliwienie. Ale za każdą informację, adres itp. musiałem tutaj płacić Arabom. Musiałem opłacić wskazanie mi imienia owego najstarszego dozorcy, a już najwięcej musiałem zgóry zapłacić za sprowadzenie tego staruszka na miejsce na cmentarz. Pierwsze rendez-vous wyznaczyłem na dzień 5 października o godz. 5 popołudniu, lecz starowina zawiódł i nie przyszedł. I nazajutrz, mimo

że posłałem poń fiakra, a pragnąłem zetknąć go na cmentarzu z innymi mieszkańcami Aleppa, nie dopisał starowina.

Wytłumaczył się przez posłańców, których znów sam musiałem opłacić, ze swego nieprzybycia, wielkiemi upałami, oświadczając gotowość przyjazdu na cmentarz w którykolwiek dzień o godz. 12, tj. wedle czasu europejskiego o godz. 6 zrana.

Nadszedł dzień oznaczony. Był to ranek 7 października.

Właśnie z minaretów Aleppa muezzini melodyjnym głosem wywoływali chwałę Allaha, nawoływując wiernych do pierwszej modlitwy, gdy wspinałem się na wzgórze cmentarza wraz z Rudolfem Poche'm, wicekonsulem holenderskim.

Tu stanął przedemną ów staruszek, jako człowiek i jako świadek niezwykły o imionach i przydomkach: Hadż Saleh Ebu Mohamed Man Kecheli, liczący lat 72. Hadż to przydomek jego, jako tego, który odbył do Mekki daleką pielgrzymkę pieszo, w tem częścią dosłownie na kolanach. Na głowie miał zielony zawój, który mogą nosić tylko ci, którzy taką pielgrzymkę odbyli. Pełnił od lat już 50 aż do niedawna funkcje dozorcy cmentarza, jako dozorca cmentarza zna najdokładniej cały cmentarz, podobnie jak i grób Magyar Murad Paszy i w tej chwili zaprowadził mię na grób wskazany mi już poprzednio przez Ali Riza Beya, jako grób gen. Bema, wskazał wśród modlitwy arabskiej, z której doleciały mię tylko słowa: Allah Uakbar! Wielki Boże! Grób ten wskazał mi najmiarodajniejszy ów świadek, jako wyłącznie grób gen. Bema, które też oświadczenie przyjąłem do wiadomości z całem uznaniem.

Pobożność jednak nie przeszkodziła staruszkowi w jednym drobiazgu. Oto upomniał się nastychmiast na grobie o wynagrodzenie za wskazanie miejsca.

Gdy w odpowiedzi na to oświadczyłem mu, że już Ali Riza Bey ma pierwszeństwo do nagrody albo jakiego odznaczenia, ponieważ właśnie Ali Riza Bey pierwszy wskazał mi grób generała, jako grób Murad Paszy, staruszek obruszony zaoponował, oświadczając, że wszystkie wiadomości, jakie ma Ali Riza Bey, zawdzięcza jedynie tylko jemu, jako najstarszemu gwardjanowi cmentarza, zatem nagroda należy się jemu Saleh Ebu Mohamedowi Man Kecheli'emu, a nie tamtemu.

W międzyczasie przybyli z sąsiedztwa inni Arabowie z prawie nagiemi dziećmi. Te, w wielkiej części piwniczne

roślinki, natarczywie wyciągnęły do mnie rękę, wołając: „Bakszysz, bakszysz!", a najmłodsze nie mogąc jeszcze dokładnie swej oferty wypowiedzieć, wypowadały zaledwie ułamek słowa: „Szysz!" „szysz!" „szysz!", niczem małe szerszenie. Jeszcze nie umieją mówić, ale to zaklęcie już w pierwszem swem dziecięctwie z całą swadą wymawiają.

Zapewniwszy zatem staruszka, że przybędzie na miejsce delegacja i ta z pewnością go wynagrodzi, z prawdziwą wdzięcznością ofiarowałem mu prawie ostatniego dolara. Widok dolara rozrzewnił staruszka, bo wzniósł ręce w górę i przemówił:

„Synu mojego serca, niech Allah rozmnoży twój dostatek, twoje trzody i twoje szczęście, i błogosławi twój kraj tak bogaty. Oby Muradowi Paszy twoi ziomkowie wybudowali kiedyś jeszcze wspanialszy grobowiec, niż te wszystkie na Dżebel el Isam. Ale synu pamiętaj, że nie jestem sam jeden, mam bowiem spólnika, tego oto człowieka". I w tej chwili drugi towarzyszący mu młodszy Arab wyciągnął rękę. „Daj mu także jednego dolara, bo to człowiek biedny, który zato codzień będzie modły zanosił wraz ze mną do Allaha za duszę twojego tutaj spoczywającego ziomka!" — mówił w dalszym ciągu stary gwardjan. Lecz niestety nie mogłem już zadość uczynić żądaniu staruszka, bo sam goniłem prawie ostatkami pieniędzy.

Dlatego ze smutkiem opuszczałem stary cmentarz muzułmański i ze smutkiem pożegnałem staruszka Hadż Saleh Ebu Mohamed Man Kecheli'ego i jego zawiedzionego, a może rozczarowanego towarzysza.

Nazajutrz przybył do mnie do zajazdu, hotelu Barona, jeden z tamtejszych ks. ks. Jezuitów w wielkim kapeluszu o szerokich rondach i wyraził zdziwienie, że też mnie chce się tak chodzić i modlić z samymi tylko Turkami, Arabami, Polakami po cmentarzach muzułmańskich i zapytał, czy jestem muzułmaninem. Na moją odpowiedź, że jestem chrześcijaninem i to katolikiem praktykującym, trochę nie dowierzał i kazał mi się przeżegnać, co też z całą pokorą chrześcijańską uczyniłem, wypowiadając słowa po łacinie. Ksiądz staruszek zrobił wielkie oczy, ucieszył się, ale jeszcze długo kiwał głową.

* * *

W międzyczasie dowiedziałem się, że jeden z biskupów pewnego niekatolickiego wyznania w Aleppie jest podobno historykiem, zajmuje się sprawą gen. Bema i zna dobrze szczegóły odnoszące się do jego tu ongiś pobytu.

A więc ze względu na zainteresowanie księdza-biskupa historją Bema, obowiązany byłem go odwiedzić. Uczyniłem to bezzwłocznie i na szczęście zastałem go w mieszkaniu. Jest to starszy, mniej więcej około siedmdziesięcioletni człowiek. Ucieszył się bardzo moim przybyciem; zaraz wskazał mi kanapę obok siebie, zaczem usiadłem obok staruszka, przychylnie poruszającego głową w stronę mnie i przyglądającego mi się z zaciekawieniem. Rozpocząłem przemowę w języku francuskim, a więc opowiadałem o celu mojej podróży, wreszcie i tutaj przybycia do niego. Biskup przypatrując mi się z zainteresowaniem, słuchał. Widząc, że gospodarz domu nic nie odpowiada, a więc cierpliwie, chętnie, a może nawet z zainteresowaniem mojego opowiadania słucha, opowiadałem dalej i dalej, może cały kwadrans. Ksiądz-biskup nie przerywał mi, ale dalej słuchał, dając znać służbie, by nam podała lemonjadę. A że przemową moją nieco się zmęczyłem, tem więcej, że szedłem tu tak daleko i dość po Aleppie nabłądziłem i namęczyłem się, nim odszukałem mieszkanie biskupa, więc chętnie począłem popijać z czcigodnym staruszkiem podany chłodnik i czekać, kiedy też ksiądz-biskup zacznie odpowiadać na moje przemówienie i co mi też powie i opowie o gen. Bemie. Gdy delikatnie zacząłem się dopraszać odpowiedzi, interlokutor zamiast przemówić choćby kilku słowy do mnie, zrobił jedynie rękami rezygnacyjny ruch, rozkładając ręce w powietrzu, to znów przykładając wskazujący palec prawej ręki do ust i wyrzucając jedyne w całej rozmowie słowo: „Arab“, dając mi do zrozumienia, że nie zna języka francuskiego. I widocznie nie zrozumiałem gospodarza domu, bo próbowałem przemawiać innemi językami, lecz za każdym razem spotykałem się z tym samym ruchem rąk i głuchą odpowiedzią: „Arab“. Widocznie niedomyślny, teraz dopiero domyśliłem się, że ksiądz-biskup nie zna innego języka, oprócz arabskiego.

Starsza z otoczenia biskupa pani wybiegła tymczasem z mieszkania, a za nią poczęli się schodzić z innych domów sąsiedzi, próbując rozmówić się ze mną, lecz próby te pozo-

stały bez skutku, bo jak się pokazało, sąsiedzi mówili tylko po arabsku, turecku, ormiańsku, nawet po grecku, lecz żadnym więcej językiem.

Tedy zrozpaczony pobiegłem sam do miasta po tłumacza, a znalazłszy go i poprzednio zapłaciwszy mu zgóry za fatygę, wróciłem z nim do alepińskiego uczonego. Tu przy pomocy tłumacza, przekonałem się ku mej radości, że sprawa Bema nie jest biskupowi obcą i że zna niektóre szczegóły jego w Aleppie pobytu, mnie samemu również dobrze znane, które mu chwilowo nie tkwią w pamięci, ale szczegóły te może wyszukać i mnie podać do wiadomości w pisemnem zestawieniu w przeciągu czternastu dni w języku arabskim, bo w tym języku istnieją tu w miejskich instytucjach o Bemie zapiski. Ucieszyła i nawet rozrzewniła mię ta wiadomość, bo zapodania arabskie mogłem później w kraju przetłumaczyć na jeden z języków europejskich. Byłem księdzu-biskupowi niewymownie wdzięczny za przyrzeczenie dostarczenia tych choćby w najmniejszej ilości szczegółów, wśród których przecież mogą znaleźć i nieznane mi dotąd drobiazgi.

Ponieważ już byłem na wyjezdnem, więc uczony syryjski przyrzekł wysłać mi swoje szczegóły do dni czternastu pocztą do kraju, wobec czego pozostawiłem mu mój dokładny adres.

Początkowa radość moja jednak uległa małemu załamaniu, bo nieco zafrapowało mię wydobycie przez księdza-biskupa z portfelu złotego funta tureckiego, pokazanie mi go i wypisanie na karteczce liczby 25, co wszystko miało oznaczać żądanie zapłaty takiej sumy za dostarczyć się mające notatki o Bemie.

Zmartwienie moje było uzasadnione, gdyż właśnie sam z powodu przedłużenia mego pobytu w Aleppie z kilku dni na czas aż trzech tygodni, stanąłem wobec chwilowych kłopotów pieniężnych, wobec czego żądanej zapłaty w sumie około 900 zł. nie byłem w stanie uiścić.

Dostojnika żegnałem zatem ze smutkiem, prawdziwie zmartwiony i zeżenowany moją początkową prośbą, a z drugiej strony moją niewypłacalnością. Incydent ten przytaczam jedynie dla ilustracji, wśród jak ciężkich warunków znalazłem się w Aleppie, gdzie za każdy szczegół informacji musiałem płacić drogo.

Jedyne wytchnienie dawały mi tylko chwile spędzane wśród syryjskiej Polonji.

. . . .

Dzień 11 października był ostatnim dniem mego w Aleppie pobytu. Jeszcze po raz ostatni w poranek tego dnia poszedłem na stary muzułmański cmentarz wojskowy na Dżebel el Izam z dwoma Arabami, znawcami pisma arabskiego i napisów na nagrobkach.

Właśnie słońce wschodziło na niebie, a był to cudny poranek, gdy wstępowaliśmy na wzgórze cmentarne, a na sąsiadującem ze wzgórzem polu posłyszałem ćwierkot skowronka, tak, najprawdziwszego w świecie skowronka, zataczającego obok góry cmentarnej kilka kręgów, ćwierkot, będący raczej jakby zawodzeniem, to znów dzwonieniem, biciem srebrnego dzwoneczka nad poranną ciszą aleppińskich pól.

Wreszcie ptaszyna zatrzepotawszy swemi skrzydłami, zatoczyła nad ziemią jeszcze kilka kręgów i wzbiła się w górę wysoko, strzelając prostopadle pod same niebo, niosąc tam swój hymn. Znikła w przestworzu, ale śpiew jej płynął na ziemię przez drgające jakby złotym pyłem promienie w górę już wznoszącego się słońca.

A może to jeden z przelotnego ptactwa, tu zabłąkany polski skowronek...

Odcyfrowawszy na sąsiednich, tuż obok grobu gen. Bema, arabskich nagrobkach daty i jeszcze raz pożegnawszy grób Wielkiego Bohatera, wracam.

Tu na końcu, wśród ogrodów Aleppa, przy samej sadzawce, patrzę i widzę ze zdziwieniem i radością:

Kilkanaście niezapominajek, tak, najprawdziwszych w świecie niezapominajek, których nie spodziewałem się tu na gorących piaskach Syrji spotkać, wygląda z pod krzewu i patrzy na mnie odchodzącego swemi wielkiemi niebieskiemi, niewinnemi, a również zdziwionemi i jakby pełnemi jakiejś rzewnej prośby, oczyma...

. . . .

Nie, nie zapomnę i nie zapomnimy.

Wracam z powrotem otwartym samochodem przez prawie całą wzdłuż Syrję i znów przez Ziemię Świętą, przez Nazaret, Jeruzalem, Betlejem. Staję i jeszcze raz rzucam ostatnie w dal na te ziemie spojrzenie.

Żegnaj mi słoneczna Syrjo i ty Aleppo! Żegnam cię Ziemio Święta i ty Jeruzalem!

Czy na pustyni mego życia byłyście mi oazą...?

Bo za taki prawdziwy, świetlany dzień jeden, dałbym teraz życie całe; wszak szczęście jest tylko złudą, a rzeczywistością przedewszystkiem cierpienie. I chyba tylko przez chwilę tę, gdy tam na grobie wielkiego bohatera i wielkiego tułacza wraz z ziomkami polską mówiłem modlitwę z wiarą, że będzie u Boga wysłuchaną.

I chyba, gdy nad brzegami Cedronu, u stóp Góry Oliwnej, w jej Ogrojcu, usiadłszy pod najstarszem z owych tysiącletnich drzew, wsłuchany w ich rozmowny szelest, sam zdawałem się z niemi rozmawiać, siedząc może właśnie na tem samem miejscu, gdzie Chrystus klęcząc, ostatnią posyłał modlitwę...

Lub, gdy uciekając od gwaru i zgiełku wszystkich ceremonji, uroczystości i patosu, z takim trudem znalazłem ją jedną, chwilę ciszy i skupienia, gdy ukląkłem na wzgórzu Golgoty u stóp krzyża, albo usiadłszy u grobu Chrystusa, wspomniałem, że tu z tej właśnie ostatniej Jego wylanej nad ludzkością łzy, narodziło się przebaczenie i zbawienie. Bo mimo przestróg, bym ominął twoje Jeruzalem progi, w których tylko mogę wiarę stracić, wstąpiłem w nie i wiary mojej nie straciłem, nie dzięki tobie, a tylko mojej własnej sile, bo jak na rodzinnej ziemi, tak i tam wszędzie czułem obecność tego zawsze i wszędzie samego i jednego, nieznanego Boga. Jednak mimo wszystko z murów twoich właśnie wyniosłem całą Golgotę w sercu, że przecież religje i wyznania nie zawsze łączą, ale często dzielą ludzi i narody...

SPIS RZECZY.

[illegible]

[illegible]

[illegible]